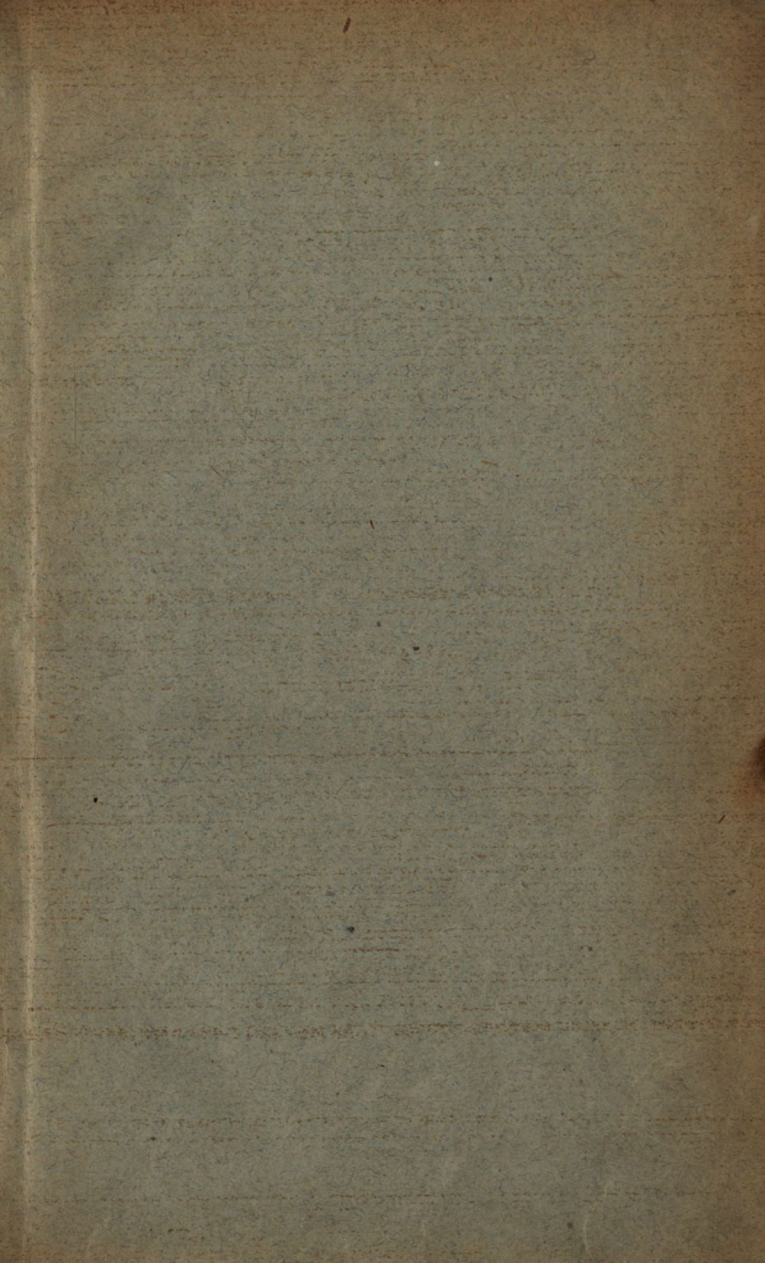
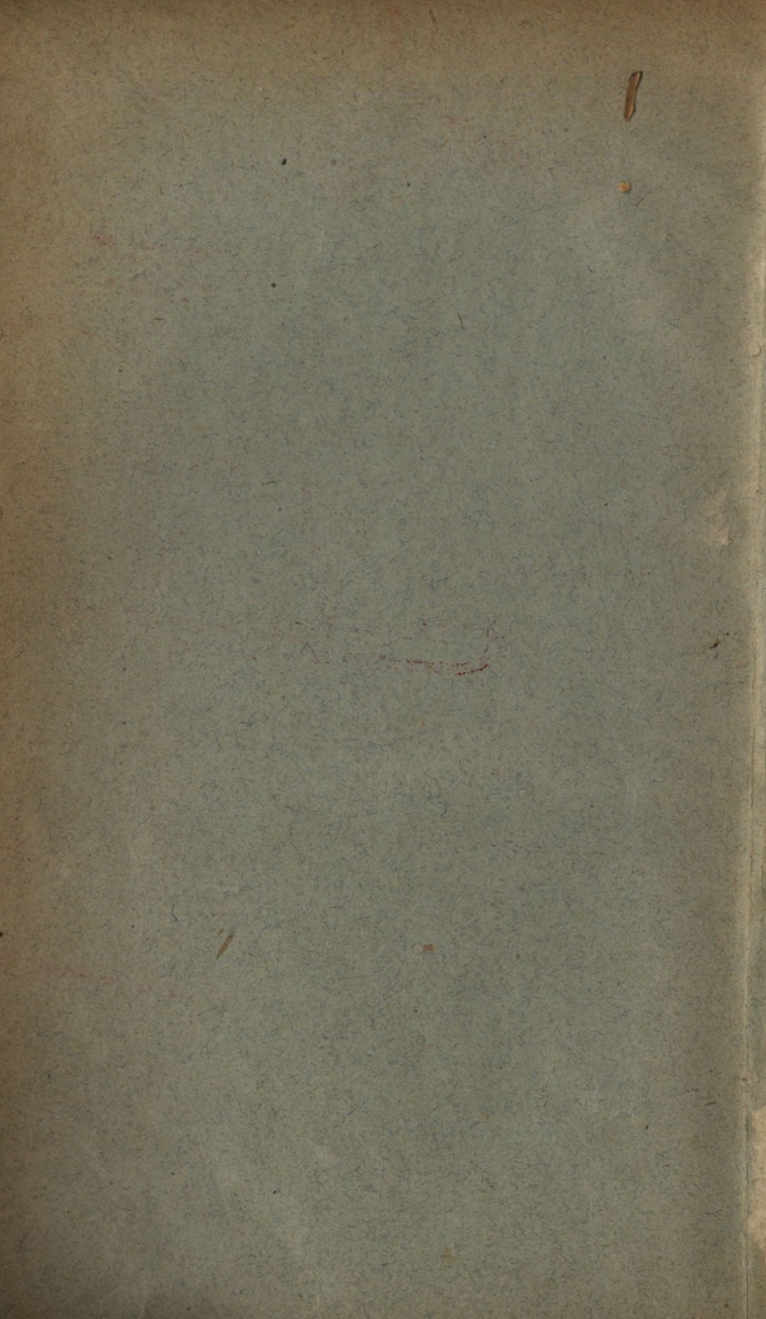


BIBLIOTEKA
PW
SP
KRAKÓW

3045







324

SZKICE Z WŁOCH

~~807~~

PRZEZ

KAZIMIERZA CHŁĘDOWSKIEGO.

KSIĄŻNICA UCZNIOWA
 Sem. naucz. męskiego w Krakowie
 L. inwest. 324
 Dz. L.

Inwent: ⁶²²1959.



Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego.”



~~19 B.~~

~~20 B.~~

W KRAKOWIE

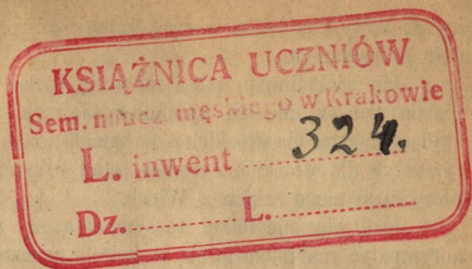
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO

pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.

1873.



3045



I.

OGRODY.

Szereg szkiców z Włoch, dla których w „Przeglądzie“ znalazłem gościnność, zaczynam od spostrzeżeń, do jakich mi dały powód tamtejsze ogrody. Dlaczego zaś nie stawiam na czele, raczej jakiego szkicu z dziedziny włoskiej sztuki, albo nie rozpoczynam tytułem, coby mnie uprawniał do uwag nad tamtejszem życiem społecznem, zaraz się wytłomaczę:

Pierwszą sympatyczną rzeczą, co nam na wstępie Włochy ofiarują, są kwiaty, skoro tylko bowiem wysiądziesz w hotelu w Wenecyi i biegiesz czemprowadziej oglądać plac świętego Marka, zaledwie staniesz pod rzędem kolumn, prowadzących koło kawiarni Floryana, a już ci zastępuje drogę dziewczyna z różą, goździkiem lub fijołkiem.

Nie powiem bynajmniej, aby ta dziewczyna usposobiła cię na korzyść włoskich piękności, Włosi są bowiem zazdrośni i nie tak łatwo pokazują, to co im się podoba — ale za to

kwiat, który znajdziesz w swej butonierce, przyjemnem ci będzie przywitaniem...

Jak wielu innym tak i mnie się wydarzyło, że na wstępie na plac św. Marka, spotkałem się z koszykiem kwiatów, ztąd sympatya dla włoskich róż, kamelii i rododendronów, ztąd sympatya dla włoskich ogrodów, ztąd wreszcie napis na czele pierwszego mego szkicu z Włoch.

Jeżeli więc nie loiką, to sympatya się usprawiedliwiłem, a sympatya ma także swoje w świecie znaczenie.

Pąsowy więc goździk przywitał mnie w Wenecyi, prosiłem jednak o różę, gdyż do goździków mam uprzedzenie, odkąd słyszałem frazes pewnej damy, która powiedziała, że goździki są to sposoby: *au moyen desquels certains hommes réussissent à faire croire, à dix pas, qu'ils sont décorés, et à faire voir, à trois pas, qu'ils sont des sots.*

Bezpieczniej więc chodzić z różą, aniżeli z pąsowym goździkiem w butonierce!

Gdyby zwyczaj sprzedawania kwiatów na ulicy, po cukierniach i kawiarniach był zaprowadzony w Niemczech; we Wiedniu lub Berlinie, nie wątpię, że duch młodej Germanii powierzyłyby tę sprzedaż najpiękniejszym dziewczętom swego wszechwładnego ludu, nie omieszkałyby praktycznie skorzystać ze sposobności, aby wdzięki kwiaciarek ułatwiły drogę do publiczności: liliom i kameliom.

Włosi pod tym względem daleko są skrupulatniejsi, oni roznoszenie kwiatów zostawiają tylko takim córom Italii, przy których nietylko róże, ale nawet nasturcyje na swej piękności nic a nic nie tracą.

Jeżeli ci w Wenecyi kwiaty ofiarowała przed Floryanem dawno już pełnoletnia dziewczica, bądź pewnym, że z podobnych rąk dostanie ci się także fiołek w passażu Wiktora Emanuela w Medyolanie, na „Piazza de la Sinioria“ we Florencyi, lub nawet na „Piazza Colonna“ w Rzymie.

Nie mało się też zdziwiłem, gdym w jednym publicznym ogrodzie w Genui na „Aqua sola“ prawdziwie piękną spotkał kwiaciarkę. Czyżby Genueńczykom zabrakło na nieładnej twarzy? I rzeczywiście podobne pytanie może wieczorem na „Aqua sola“ przyjść na myśl cudzoziemcowi, gdzie cały elegancki świat wychodzi morskiem oddychać powietrzem. Za wiele na-

pisano i naopowiadano o piękności Rzymianek, Transteweranek, Neapolitanek, tak że po tych ideałach, rzeczywistość bardzo wiele pozostawia do życzenia; nie chcąc się jednak z połową piszącego o Włoszech świata wdawać w niebezpieczną walkę, radbym tylko dla kobiet w Genui, również pierwszorzędne co do piękności uzyskać stanowisko.

Wenecya mogłaby pod tym względem pozazdrościć swej morskiej rywalce, a gdyby Tycyan był Genueńczykiem, toby jego kobiety bardziej były wysmukłe, bardziej idealne, straciłyby może na karnacy, aleby zyskały na wyrazie twarzy.

O ile czarna woalka kształtnie upięta na głowie Wenecyanki, nadaje jej pewny tajemniczy wdzięk i pobudza w nas uczucie ciekawości, o tyle biała koronkowa chustka w ten sam sposób ułożona na włosach kobiety z Genui podnosi w jej twarzy pewną swobodę i odrywa ją cokolwiek od ziemi, czego zresztą nadzwyczaj Włoszkom potrzeba.

Wracam jednak do „Aqua sola“ do ogrodu położonego na bardzo wysokim wśród miasta pagórku i mającym wielką zaletę, że jedyne większe w Genui źródło na tym pagórku swój początek bierze. Dwa najpiękniejsze widoki w Genui na miasto i na morze; to ogród o którym mówimy, i Sta Maria di Carignano kościółek pełen wdzięcznych kształtów i nieocenionych dla miasta tradycji.

Morze kominów i dachówek, toby jeszcze nie było nic czarującego, to się nam bowiem najbliżej przedstawia, gdy po mozolnem drapaniu się stromemi ulicami wyjdziemy na „Aqua sola“, skoro jednak nasz wzrok minie już kominy i dachy i wieżycy kościołów i dalej pójdzie swobodnie pohulać, to będzie miał horyzont niezrównanej piękności. Ku południowi trudno ci rozróżnić, gdzie się morze kończy a niebo zaczyna, tak podobny niebieski barwi je kolor, na zachód ciągnie się ku Francji jedno z najpiękniejszych wybrzeży w Europie, droga do zawsze zielonej i zawsze kwitnącej Nicei, na około siebie zaś zobaczysz półkole zielonych gór upstrzonych willami i ogrodami, zamykające od strony lądu genueńską zatokę.

Dziwnym zbiegiem okoliczności najpiękniejsze dawniej włoskie ogrody, musiały się mieścić stosunkowo na nadzwyczaj małej przestrzeni, wieszac się po wybrzeżach, po urwiskach skał, walczyć o każdą stopę ziemi, z otaczającą je przyrodą.

Tak się dzieje na „Aqua sola“ w Genui, gdzie szczupłe miejsce nie pozwalało ogrodowi rozwinąć się w szerokie gazony i dalekie ulice, z tą samą trudnością musiano się spotykać w Rzymie zakładając prześliczne „Monte Pincio“, lub we Florencyi, rysując przytykający do pałacu „Pitti: giardino Boboli“; po skałach i wybrzeżach musiano się wiszeć z ogrodami co się rozsiadły na „Pozilipie“ w Neapolu, miejsca wreszcie brakowało hr. Boromeuszom, gdy swe wyspy na „Lago Maggiore“ w rajskie przemieniali ogrody.

Ba! — byłbym zapomniał o grodzie w „willi Palavicini“, koło Genuy, gdzie także szczupła przestrzeń wybiła na nim pewne charakterystyczne cechy.

Przestrzeń i klimat zadecydowały o rysunku i właściwościach włoskiego ogrodu.

Na małej przestrzeni starano się pomieścić wszystko: i gazony, i szpalery, i wodotryski i kaskady, przyczem nie można było naturalnie pogardzić pomnikami, bez których nic we Włoszech istnieć nie może, jak również trudno było zapomnieć o efektach, jakie się dają osiągnąć z pomocą najpiękniejszych południowych krzewów i kwiatów, dla których trudno znaleźć lepszego klimatu nad klimat ciepły; a morzem otoczonej Italii.

Na włoskiej ziemi zrosztą nic bez rzymskiej nie powstało tradycyi, wszędzie się tam snuł ów wątek związany z starożytną Romeę, a gdziekolwiek i nadczemkolwiek rozbierzemy badania, wszędzie do starożytnych odnieść się musimy czasów.

Gdybyśmy robili studia nad pięknością poematów Dantego, chcieli szukać początku tonów, któremi „Palestrina“ rozbudził nową muzykę, śledzili z kąd Michał Anioł lub Rafael do swych doskonałych doszli form, lub stojąc w rzymskich bazylikach, ciekawi byli owego budowniczego, co rzędami słupów, wspaniałe potrafił wywołać wrażenia, to zawsze musimy wrócić do starożytności, rozczytywać się w Pliniuszu, lub studyować dzieła Witruwiusza.

Nigdzie się tak doskonale jak we Włoszech, nie widzi tej ciągłości cywilizacyi, tej nieprzerwanej myśli ludzkiej, jaka łączy najdawniejsze z dzisiejszymi czasy. Gdym chodził po ulicach Pompei, lub błąkał się po ruinach rzymskich Cezarów,

musiałem przywoływać całą znajomość historycznych faktów na pomoc, aby uwierzyć, że owe ruiny mają już z górą lat półtora tysiąca. Ten sam kolor czerwony, którym w Genui obecnie jest pomalowany tak zwany „Palazzo rosso“, znajdziesz na ścianach komnat cesarskich na „Palatynie“, ten sam bruk po którym stąpasz w „Puzzoli“ lub „Castellamare“, znajdziesz na ulicach wykładanych w Pompei wtedy, kiedy jeszcze włoska nie istniała mowa. W ruinach willi Tyberyusza na wyspie Capri, spotkasz się ze szczątkami posadzki układanej z drobnych różnokolorowych kamyczków w ten sposób, w jaki ją układają dzisiaj w hotelach lub domach prywatnych w Wenecyi Florency lub Neapolu.

W muzeum narodowym (dawniej bourbońskim) w Neapolu, widziałem kolczyki wykopane w Herkulanum uderzające oryginalnością formy, podobne do małej gwiazdy wykładanej drogimi kamieniami, jakież było jednak moje zdziwienie, gdy w „Portici“ ujrzałem takie same kolczyki u dziewczyny sprzedającej limonadę. Elegantka w „Portici“ nie szukała z pewnością wzorów do swych kolczyków w neapolitańskim muzeum, jej matką i babka jednak takie nosiła, a babka znów ich formę odziedziczyła po swoich poprzedniczkach. Gdybyśmy chcieli szukać początku srebrnych dużych strzał, które włoskie kobiety noszą we swych czarnych włosach, tobyśmy z pewnością znaleźli jakiegoś starożytnego amora, którego strzała po raz pierwszy po drodze do serca, utkwiała we włosach.

I we włoskich więc ogrodach, znajdziemy mnóstwo rzeczy, które Włosi pożyczyci od starożytnych Rzymian, a ów styl klasyczny w ogrodach, owe pod linie strzyżone szpalery, bokszańskie obcinane w kształcie piramid, cyprysy służące zamiast obelisków, marmurowe figury wychylające się z mirtowych kłębów, fontanny spadające w bassen ze złotymi rybkami—wszystko to bywało za czasów, kiedy Oktawian szalał za Kleopatram, albo kiedy Horacy w morskich kąpielach w „Baiae“ pisywał wierszyki do pań wielkiego świata.

Powiadają starożytni pisarze, że jakiś pan „Matius“, a musiał być wielkim panem, bo był przyjacielem Augusta, pierwszy wprowadził zwyczaj obcinania drzew w ten sposób, aby tworzyły pewne regularne linie i architektoniczne kształty. Odtąd wszystkie wille, koło „Tusculum i Tibur“ w Misenum

Putuoli i Baja, otoczyły się bukszpanami wycinanymi w kształcie urn, piramid, wazonów, a najmiłszem dla oka oparciem stała się zielona obcinana ściana z zagłębieniem dla Apolina lub Diany z marmuru, zupełnie w ten sposób, jak to dzisiaj ujrzyć możemy w Wersalu, Potsdamie lub Schönbrunnie.

W tych rzymskich ogrodach, w których panował bukszpan i cyprysy, pełno było drobnych, eleganckich budowli, altan, kiosków, świątyń, gołębników i domków do hodowania ślimaków, gdyż niestety nie myśmy pierwsi, co według słów jakiegoś polonusa zajadamy żaby i ślimaki, na stole Lukulla stawiano już bowiem obok pasztecików ze słowiczych mózgów takie faszerowane ślimaki z cytryną.

Monotonność regularnych linii w rzymskich ogrodach, przerywały czasem imitacje dzikiej natury: grotty, wodospady lub urocze doliny. W tiburtyńskiej willi Hadryana znajdowała się mała kopia doliny Tempe, tak jak w bulońskim lasku imitacje szwajcarskich widoków. W swobodzie, wielkich aleach, naturalnych klombach, drzewach i złożystych, nie było jednak mowy w starożytnych ogrodach o konwencyonalność, harmonia linii wszędzie panowała, a romantyzm w sztuce ogrodniczej późniejszych dopiero czasów jest wynalazkiem.

Darujecie mi państwo, że mówiąc o starożytnych ogrodach nie zacząłem od początku świata, od raju, że nie opisałem ogrodów Semiramidy, o których z dziesięć słów przeszło tylko do potomności, że nie nazbierałem domysłów o greckich i egipskich ogrodach i nie opisywałem chińskich parków, o których czytałem, że za dawnych czasów bywały zupełnie podobne do dzisiejszych angielskich ogrodów. Ręczę jednak, że te wiadomości nikomuby się na nic nie przydały a znaczną część czytelnikówby nudziły. Ponieważ zaś bynajmniej nie pragnę, aby moje szkice służyły za lekarstwo do sprowadzania błędnego snu, więc ograniczam się na wzmiankach o ogrodach rzymskich. Jeżeliby zaś pomiędzy moimi czytelnikami znalazł się amator, coby bliższe w tej mierze chciał wiedzieć szczegóły, to niech się przygotuje do łacińskiej literatury, niech rozłoży przed sobą dzieła młodszego Pliniusza, który się na tych rzeczach doskonale rozumiał, z pięknej przyrody czerpał natchnienia, i jakgdyby jaki dzisiejszy romansopisarz unosił się

nad morzem, nad jego brzegami: *O mare, o littus quam multa invenitis, quam multa dictatis.*

Jeżeli śmiałem powiedzieć, że włoskie ogrody powstały na tradycyi dawnych ogrodów rzymskich, to odważyłbym się również utrzymywać, że owe francuzkie ogrody, które czasem uchodzą za jakiś odrębny styl i swojskie charakterystyczne mają nosić cechy, są ostatecznie tylko kopiami ogrodów włoskich zakładanych w XV i XVI wieku. Istotne różnice pomiędzy tak zwanymi francuzkimi ogrodami, a właściwymi włoskimi ogrodami, na tem chyba zależą, że nie wszystkie rośliny, które się dały użyć do upiększenia szpalerów i kłębów pod włoskiem niebem, można było zastosować w Wersalu i nawzajem nie jedno drzewo co we Francyi piękną ogrodową stało się ozdobą, we Włoszech nie było w użyciu.

Znam tylko dwa typy ogrodów: angielskie parki, jako wyraz nowożytnego romantyzmu w ogrodnictwie i włoskie ogrody ściśle klasycznej trzymające się miary, mogące mieć tu i owdzie pewne odmiany, ale w ogóle do jednej starożytnej stosujące się modły.

Nie przeczę, że są różnorodne tych typów kombinacje, nie chciałbym także rozłożystej lipie na podwórzu i kamien-nemu pod nią stołowi, odjąć ściśle polskiego charakteru, nie uwłaczając jednak ani szpalerowi z pożyczek lub agrestu, ani grabowej alei, muszę wyznać, że i nasze polskie ogrody podobnie jak wszystkie inne w Europie, na włoskich kształciły się wzorach i dopiero w ostatnich czasach, angielskiego zaczęły nabierać romantyzmu.

Zanim jednak cośkolwiek o kombinacjach pierwotnych typów ogrodowych mówiłbyśmy mogli, muszę wam opisać wrażenia jakie wyniosłem z ogrodu w najczystszy włoskim stylu, z ogrodu noszącego klasyczny charakter, z siedzibą hr. Boro-meuszów na „Isola Bella.“

II.

W maju się wybrałem na Lago maggiore, pora więc do zwiedzania była doskonała, nie moją już jednak było winą, że

w Alpach przez dni kilkanaście ulewne lały deszcze, i w No-
 varze już mi mówiono, że lago wystąpiło z brzegów, że za-
 liczne mnóstwo will niżej położonych, i że boromejskie wyspy
 już doskonale używają kąpieli. Mimo jednak perswazyi re-
 stauratora kolejowego w Novarze, siadłem na pociąg do
 Arony...

Kto był w Novarze, a nie poznał tamtejszego restaura-
 tora w dworcu kolei żelaznej, ten był w Rzymie, a papieża nie
 widział. Przedziwny człowiek! najdoskonalszy typ północnego
 Włocha, za zapłacony u niego rostbeef i pół butelki wina,
 bawił mnie półtorej godziny, oprowadzał po najbliższych ryżo-
 wych kanałach, ubolewał nad tem, że taka ilość wody, jaka
 płynie temi kanałami, dotychczas nie jest zużyta jako siła do
 fabryk, młynów itd. Marzył o tem, że on wspólnie z emigran-
 tami z Alzacyi, którzy tutaj przenoszą swoje kapitały, założą
 kolosalne fabryki przędzalni jedwabiu, i że pierwszy okiełza
 siłę spoczywającą w ryżowych kanałach, zużyje powoli płynącą
 w nich wodę, porobi jary i groble, i każe tej wodzie dzień i
 noc pracować, obracać koła i prząść na tysiące wrzecion.

Zarozumiały na wielkość swojego narodu, do którego li-
 czy tylko Sabaudczyków i Medyolańczyków, chce wojny z Fran-
 cyą i uważa Korsykę i Niceę już za włoską własność, portret
 krótkiego a grubego Wiktora Emanuela wiesza nad łóżkiem
 i nad szynkwasem, południowców nienawidzi i opowiada o ile
 oni mieszkańcy Włoch północnych, są od nich wyższymi, da-
 wny Rzym przedstawia w takich kolorach, jak Kaulbach świę-
 tą inkwizycję, sądzi że Prusacy to ideał ludzi, ich instytucye
 żywcem powinny być do Włoch zastosowane. Wierzy, że *Ca-
 rabinieri reali*, włoscy żandarmi, rekrutowani w północnych
 prowincjach, zorganizują nową Italię, albowiem z ukosa się
 patrzą na Neapolitańczyków i mają pruski regulamin służby.
 Rozpacza nad tem, że Włochy nie mają własnego piwa i że
 on sam rok rocznie posyła do Wiednia, za *Lissinger Bier*
 5.000 fr. słowem jest to człowiek, którego nadzwyczaj wszyst-
 ko interesuje, który ma psa co mu kasy pilnuje, cudzoziemcom
 każe drogo płacić, ale daje im wszystko w wybornym gatunku
 i poleca się względem: angielskiej, niemieckiej, francuzkiej, a
 nawet i polskiej publiczności. Ja z mojej strony, gdybym był
Bildkerem, wystawiłbym mu jak najlepsze świadectwo i radzę

tym moim czytelnikom, których losy do Novarry zapędzą, wypić w dworcu kolei — choćby czarną kawę.

Ów restaurator więc radził mi, aby do Arony nie jechać, dopóki „Lago“ nie opadnie; będąc jednak podejrzliwym i sądząc, że Włoch radby, abym dłużej konsumował jego rosbefy, nie zważałem na uwagi, tembardziej, że nie miałem czasu do stracenia.

Arona leży nad samem jeziorem, nie dziw więc, że gdyśmy wjeżdżali na stacyę, pociąg brnął w wodzie, która z górą szyny zakrywała. Pospierano jednak deski na progi wagonów, i w ten sposób mogliśmy się mniej więcej suchą nogą dostać do sali.

Mając szansę pływać po dworcu w Aronie, wolałem naturalnie wypłynąć już na pełne jezioro, poszedłem więc do kasy kompanii parowców i kazałem sobie dać bilet do „Isola bella.“ Wkrótce też stanąłem na pokładzie statku i ku wielkiej radości znalazłem francuzkie towarzystwo, z którem kilka dni przepędziłem na wyspie Capri. Była tam sawantka francuzka spisująca dziennik podróży z córką nie młodą już wprawdzie i nie zbyt przystojną, ale szczęśliwą, bo młody człowiek który mi był na Capri przedstawionym, jako cywilny inżynier, na statku już funkcyonował w charakterze narzeczonego panny Eufemii i niesłychanie czuł się szczęśliwym.

Jak też to szczęście ludzkie jest względnem i od różnorodnych zależy warunków, gdyby mi ktoś był powiedział, że zostanę narzeczoną owej wiele mówiącej paryzkiej grzechotki, byłbym z pewnością skoczył w jezioro i starał się jak najprędzej odpłynąć od szczęścia, któreby mnie spotkać mogło; mój Francuz wszakże był rzeczywiście szczęśliwym, znać mu to było po oczach, po mowie, po ruchach.... a przecież był młodym, przystojnym, miał wyobrażenie o piękności, bo doskonale rozprawił o madonnach Rafaela, i o kobietach Pawła Weroneza. Wielebym dał za to, gdybym go dzisiaj mógł zobaczyć, bo jest już po ślubie — i zapytać, czy jeszcze szczęśliwy?

W wesołem więc i uśmiechniętem towarzystwie, wezbrane jezioro więcej może dla mnie miało uroku, jak gdyby w zwykłym swym znajdowało się stanie. Małe strumyki z gór do jeziora spadające, poprzemieniały się w pyszne wodospady, wille

po pierwsze piętro stały w wodzie, a wierzchołki drzew rozpuszczały swe liście po zielonej fali.

Kolosalny spiżowy św. Boromeusz, służący zwyczajnie za mieszkanie niedoperzom i podporę dla gniazd jaskółczych zdala na nas spoglądał, i prowadził nas wzrokiem, po ulubionem przez niego jeziorze.

Za kilka godzin minąwszy wiele różnorodnych obrazów, z których każdy wart penzla znakomitego pejzażysty, ujrzelśmy Isollę bellę.

Wśród jeziora rzucona zabawka, kaprys pański, zielona kępa, mała, zgrabna, jak gdyby na wielkim stawie zrobiona na mieszkanie łabędzi. Cała wyspa tworzy jeden na terasach do góry wspinający się ogród, upstrzony gdzieniegdzie kamiennymi posągami, a u spodu obwiedziony sklepieniem krużgankiem... Na zachodniej tylko części, przyczepił się do ogrodu, mały hotel, kilka domków, jak gdyby z kart zbudowanych i wielki pałac hr. Boromeuszów, do połowy opustoszały, niezabitemi świecący oknami.

Cokolwiek głębiej na jeziorze, znów sterczy podobna kępa służąca za mieszkanie kilku rybackim rodzinom, a na prawo na wschód widać Izolę Madre, największą z wysp boromejskich nie mającą jednak tego uroku co Izola bella.

Te panorama zamykają wysokie góry umajone winną latoroślą i srebrną oliwką, upstrzone willami różnorodnych kształtów, w głębi tylko na wschód i na północ, białe szczyty poważnych Alp. łagodnemu pejzażowi cokolwiek ponurej nadają grozy.

Warczenie kół parowca ustało, statek się zatrzymał, pożegnałem się z moimi Francuzami i zbiegłem co prędzej do łódki mającej mnie zawieść do hotelu Delfina. Sądziłem, że wśród takich stosunków, jak wtedy, wśród wylewu jeziora sam jeden popłynę na wyspę — tymczasem znalazłem w łodzi towarzysza, po którym w żaden sposób nie mogłem wymiarkować, z której części świata przybywa podziwiać piękności wysp boromejskich. Krępy, śniady, o kruczonych kędzierzawych włosach i przenikliwym spojrzeniu, w białym wielkim kapeluszu, w paryzkim stroju najmodniejszej formy, nieumiejący dobrze żadnego europejskiego języka, widocznie jednak człowiek bardzo wykształcony, w niemały mnie wprowadził kłopot, nie

wiedziałem bowiem na razie, gdzie go w mej myśli ulokować czy pod cywilizowanymi rządami wicekróla egipskiego, czy w Indyach angielskich, czy też w krainie Kafrów lub Hottentotów. Zwykła grobla kamienna służąca do wysiadania z łodzi zupełnie była wodą zalaną z wysokich na niej rosnących drzew wierzchołki tylko ku nam się naginały, a czołno kierowało prosto na balkon hotelu, gdzie garson z białą na ramieniu serwetą, oczekiwał płynących gości.

Wjeżdżać łodzią na pierwsze piętro do hotelu, była to w każdym razie dosyć oryginalna sensacja. Grzeczny kelner przeprosił nas, że nie będziemy obsłużeni ze zwyczajnym komfortem, gdyż sala jadalna, kawiarnia, ogródek wszystko pod wodą; pokój więc na pierwszym piętrze musi teraz służyć na przyjęcie gości.

Nie mogliśmy naturalnie nic mieć przeciwko bardzo słusznym uwagom garsona, trochę nas tylko niepokoiło, czy w tej jeziorom oblanej fortecy, nie trzeba będzie z głodu kapitulować, obawy jednak były płonne, gdyż za pół godziny doskonałe przed sobą ujrzeliśmy śniadanie. Pozostawała jeszcze druga obawa, czy nie trzeba będzie wśród nocy wędrować na dach, gdy się woda jeszcze bardziej podniesie, garson jednak nas zapewnił, że łodzie będą przywiązane po pod oknami, a w razie nawet większego wylewu, pozostawałyby nam bardzo wygodna ucieczka.

Przy śniadaniu z wielkiem zadowoleniem dowiedziałem się od mego towarzysza, że jego ojczyzną jest Rzeczpospolita peruwiańska, a jego powołaniem: malarstwo. Ciekawy więc byłem, jak się w Peru zapatrują na sztukę, pokazało się jednak, że amerykański malarz bardzo rozsądnie o niej rozprawił, czy zaś pięknie malował, tego zaręczyć nie mogę, albowiem nie widziałem jego utworów.

Po śniadaniu udaliśmy się do pałacowego ogrodu, który wyżej od hotelu położony, nie uległ wpływom wylewu.

Jeden z protoplastów hrabiów Boromeuszów, ale nie święty Karol, miał dziwaczną myśl, aby wysepkę w ogród przemienić a że wyspa dość wysoko nad jeziorem się podnosiła, i nieregularne miała kształty, więc utworzył z niej terasy, a na tych terasach pozakładał ogród w najczystszej włoskiej, klasycznej stylu.

U spodu więc otoczono wysepkę groblą z ciosowego kamienia, na tej grobli rosną cytryny, pomarańcze, bzy, kamelie i rododendrony, za nimi na około ciągnie się cała galeria jaskiń, grot, sztucznych skał i źródeł....

Jaskinie wysadzone muszlami, i różnokolorowymi skrawkami marmurów, mchy i powoje pną się po ścianach, wśród skał rosną paprocie, gdzieniegdzie krzewi się trzcina bambusowa. Pełno pretensyi, na jednym miejscu chciano pomieścić wszystko, co natura ma najpiękniejszego. Zaledwie wyjdiesz z jakiej wilgotnej groty, a już się znajdziesz w lasku z dużych drzew kamelii. Drzewa tulipanowe, krzew herbaciany, dąb korkowy, sosny z Australii i z Ameryki, wszystko to rośnie w symetrycznych grupach, jakgdyby w salonie, w którym ma być bal za godzinę, i na środku ustawiono fontannę, a po kątach porobiono kląby z wazonów, na jakie tylko stać było miejską oranżeryę.

Z dolnej terassy prowadzą wschody na wyższą terasę, na ballustradach, tu i owdzie poustawiane kamienne posągi Diany, Minerwy, Satyrów i całej olimpijskiej plejady. Czasem dla efektu — jakgdyby kwiatów zabrakło — kląby i rabaty układane z kolorowych kamyków, tłuczonej cegły lub wielkich muszli.

Takich kondygnacyi jest coś cztery, czy pięć, na samym wierzchu platforma, z kąd na jezioro „bella vista“, daleki widok na góry i przepyszne brzegi jeziora.

Gdy spuścisz wzrok na wysepkę, to ujrzysz u swych stóp architektonicznie zbudowaną piramidę, udekorowaną prześlicznymi kwiatami, i mnóstwem owych przyborów, co mają z niej zrobić harmonijną całość.

Ku północy przytyka do ogrodu pałac Boromeuszów, wielki gmach kamieniczny, bez szczególnej konstrukcyi. Wewnątrz jednak znów ten sam smak sielankowo klasyczny, któryśmy widzieli w ogrodzie.

W jednej części pałacu wszystkie dolne pokoje urządzone w kształcie grot wykładanych muszlami i drobnymi kamieniami, gdzieniegdzie stoją posągi z marmuru, z których kilka znakomitej wartości, gdzieniegdzie stół zastosowany do ogólnego stylu.

Napoleon I z marszałkiem Berthier przed bitwą pod Marengo w tym nocowali pałacu. W zachodnim skrzydle pokazuje duży pokój z alkową, gdzie potężny spoczywał człowiek. Całe urządzenie pozostało, jak było za owych czasów, obszerne łoże w stylu cesarstwa rozsiało się w alkoWie.

Pałac zawiera zresztą kilka dzieł sztuki, które jednak niejednokrotnie bywały już opisywane.

Izola Bella wygląda jak klasycznym wierszem pisana sielanka, w której „Dafnis“ i „Chloe“ gruchają sobie słowa platonicznej miłości. Dla większego efektu Dafnis może usiąść w ciemnej grocie, na sztucznej skale z kaskadą, Chloe może się ukryć w gaju kamelii lub rododendronów, a księżyc zejdzie im nad Alpami, a wody jeziora będą im naśladować szum bałwanów morskich. Gdyby Wirgiliusz widział był Izolę Bellę, byłby dla niej stworzył nowy poemat, pełen klasycznych wdzięków.

Jean Paul układając swego Tytana, chciał go osadzić na tej wysepce, pomiarkował się jednak zawczasu, że bohaterowi poematu, byłoby tutaj zanadto spokojnie i uroczo, potężny duch byłby był uciekł z mdłych grot i jednostajnych terasów, więc go w dalszą wyprowadził podróż.

Nie zdziwiłem się bynajmniej, gdy mi ogrodnik powiedział, że państwo hrabstwo Boromeusze bardzo rzadko na Izoli Belli mieszkają, rzeczywiście gdybym miał wybierać pomiędzy naszą górską wsią, a ową przesliczną w swoim rodzaju klatką na łabędzie, to już cię bym wolał swobodną ścieżkę pomiędzy łąkami owsa i hreczki, aniżeli zakłętą koło jednostajnych grot i ścieżek kolorowymi wykładanych kamyczkami. Podczas mego pobytu na wysepce, bawił tam właściciel, i dziwiłem się bardzo jego cierpliwości wobec ciekawych cudzoziemców. Pan hrabia pozwala bowiem zwiedzać pokoje obecnie zamieszkałe, co więcej nie żenuje go to bynajmniej, gdy smacznie drzemie za parawanem, a służący prowadzi do tego samego pokoju ciekawego cudzoziemca i opowiada mu całą historię matki i babki hrabiego.

I mnie się coś podobnego zdarzyło: z powinności turysty zaglądam za parawan, pytam się, któż tam spi?

To pan hrabia — odpowiedział służący.

Pomyślałem sobie, że chyba „propinacya“ musi wiele czynić hrabiemu, jeżeli tak cierpliwie znosi ciekawość cudzoziemców.

Wróciwszy z ogrodu i z pałacu, wsiadliśmy z balkonu hotelowego na łódkę i kazaliśmy się zawieść na „Isolę Madrę“ największą z wysp boromejskich, będącą również własnością, owego hrabiego, co tak smacznie spał za parawanem.

Silny wiatr dął z gór, a dwóch wioślarzy natężyło wszystkich sił, aby szczęśliwie dopłynąć do drugiej wysepki. Czasami mocniejsza fala trochę wody nam do czółna naląła, czasami łódka zanadto ekwilibrystyczne wyprawiała ćwiczenia, ale koniec końców, przyплыliśmy pod bramę służącą za wejście na wyspę „Isola madre“ bowiem jest jedynym ogrodem, z pałacem we środku.

Na wschodkach przed bramą sielankowa dziewczyna prała bieliznę w jeziorze, a zanim się mieli czas obdarzyć ją jakim komplementem, już ogrodnik bramę otworzył, i nie witając nas nawet, wskazał nam natychmiast na jakieś drzewo i cytował: *quercus suber*... poczem posypało się bez liku nazwisk krzewów i kwiatów i zdawało mi się, że jestem na lekcyi botaniki u śp. pana Warszewicza w Krakowie.

Ogrodnik się spieszył, albowiem zdala ujrzał inną łódkę, z przyplywającymi cudzoziemcami, więc się chciał szybko z nami ułatwić, aby czempredzej kilka franków więcej schować do kieszeni.

Na „Isola madre“ znów najrozmaitsze drzewa i krzewy, pomiędzy którymi wolno sobie spacerują bażanty, ale ponieważ ogród już nowszy, więc nie ma w nim tyle pretensjonalności, co na „Isola bella“; pod względem sztuki ogrodniczej jednak nic nie zawiera szczególnego. Usłyszawszy więc z kilkadziesiąt nazwisk cytowanych jakby z uczonego dzieła botanicznego, obeszlśmy za pięć minut całą wyspę, podziękowaliśmy naszemu ciceronowi i wsiadliśmy napowrót do łodzi.

Jezioro się cokolwiek uciszyło i dziwny spokój, dziwna niemiecka „*Gemüthlichkeit*“ osiadła na całej okolicy. Te góry, te wyspy, te wybrzeża, wszystko takie cywilizowane i takie wygładzone, że się lada chwila oczekuje, czy jażi szczupak z jeziora nie wyjrzy, i po francuzku się nie zapyta, która godzina w Medyolanie według tamtejszego zegaru. Je-

zioro *Como* pomimo, że równie jak Lago maggiore obsypane naokoło ludnymi miasteczkami, niezliczonymi willami i pałacami, przecież ma więcej siły, więcej grozy w swoich pejzażach. Widok z „Bellaggio“ na śnieżną górę nie da się porównać ze spokojnym widokiem na Isolli belli. Lago maggiore stworzone dla pejzażystów z Düsseldorfskiej szkoły, gładkie widoki dla gładkiego pęzla.

Gdybym był lekarzem i kurował ludzi, co im niewiele brakuje, tobym formalistów, pensjonowanych urzędników, profesorów, niemieckie gosposie, wysyłał na lato na Lago maggiore; trzydziestoletnim wdówkom, których serce uporczywie dopomina się przedmiotu miłości, podstarzałym kawalerom szukającym przygód, młodym mężatkom stęśchnionym za piękną naturą, doradzałbym pobyt nad jeziorem Como. Kobięcieta będą się tam mogły stroić jak w Paryżu, znajdą znajomości niekompromitujące, gdyż się z nimi drugi raz w życiu nie zobaczą, starzy kawalerowie spotkają się z najzupełniejszym komfortem, artystycznie zrobionym rostbeefem i pasztetem z trufkami, a może i z zagranicznym sercem, co na zawołanie mocnym bije [tentnem...]

Jak to miło komuś, co w ojczyźnie niestety już nie robi podbojów, wrócić z zagranicy i opowiadać o czarującej Angielce lub namiętnej Włoszce, która się poznała na lekceważonym w domu adonisie!

Amatorom podobnych słabostek radzę jechać nad jezioro Como...

Kto zaś znużony życiem, pragnie odmiennych stosunków i w naturze chce szukać sił do nowych trosk, kto się przesycał uganianiem za sławą, za pieniędzmi, za ideami, co mu przysły jak bańki mydlane, ten nie znajdzie miłszego nad wyspę Capri — ustronia. Tyle tam słońca, tyle dzikiej a uroczej przyrody, tyle niebieskiego morza, tyle prostoty, że nie znam zakątka w Europie, któryby bardziej nad tę wysepkę do serca przemawiał i pociągał do siebie swym niewypowiedzianym wdziękiem.

Zanadto jednak szybko podróżują: z Izoli belli w mgnieniu oka zajechałem na Capri — więc przepraszam: wracam do obowiązku, ach te obowiązki! dla czego ludzie wymagają, aby pisać o tem, o czem tytuł opiewa, dlaczego pedanci krzy-

wią się na autora, gdy wolno zaczyna błędzić po krętych ścieżkach wyobraźni! Co do mnie, gdy jestem czytelnikiem, nadzwyczajnie lubię spotkać się w książce z czemś, czego się po tytule znaleźć w niej nie spodziewałem, zachęca mnie to do czytania, nie pozwala przerwać rozprawy w połowie. Nioszaczowany pod tym względem jest Bōrne; otworzyłem niegdyś jego dzieła, wzrok padł na tytuł: „Kąpiele w Montmorency.“ Spodziewałem się znaleźć opis kąpielowego życia, a spotkałem się z przedziwnym szkicem o młodem małżeństwie.

Gdy z wycieczki z Isola madre wróciłem do hotelu Del-fina, zastałem dobry a bardzo upragniony obiad, wodę pluskającą pod samemi oknami, starą francuzką ilustrację z czterdziestego osmego roku, przygotowane do bawienia gości i Bogu dzięki łóżko nie pływające jeszcze w jeziorze. A gdy zasnąłem ze spokojnem sumieniem, że zwiedziłem wyspy boromejskie, śniło mi się, iż nieproszone jezioro oknem wchodzi do pokoju i że łóżko łodzią się stało. Co gorsza jednak ujrzałem naraz pływającą ku mnie wielką rybę morską, z rzędami białych ostrych zębów, ryba widocznie wielki na mnie miała apetyt.

Nie chcę być Tobiaszem! zawołałem, obudziłem się, zobaczyłem piękny dzień i wodę poniżej pierwszego piętra, usłyszałem żalony świst parowca, zapłaciłem i popłynąłem z powrotem do Arony.

III.

Na ostatniej wystawie paryskiej, był bardzo piękny obraz p. Heilbuth, powszechną zwracający uwagę, pod napisem: „Le Monte Pincio.“

Dwaj kardynałowie, każdy z parą lokai, spotykają się na spacerze i wymieniają obok głębokich ukłonów, kilka słów konwencyonalnego przywitania, lokaje trzymają się w odpowiedniej odległości, w długiej poważnej, prawdziwie kardynalskiej liberyi. Słodki nie bardzo szczery uśmiech igra na twarzach prałatów i jak echo odbija się na pokurczonych fizyonomiach dyplomatycznej służby.

Tyś sprytny, myśli sobie każdy z kardynałów — ale ja jeszcze sprytniejszy — a pyta się o zdrowie i powodzenie monsignora.

Za witającą się grupą, widać w pobliżu marmurową balustradę, a w dalekiej perspektywie Watykan i świątynię św. Piotra.

A więc znajdujemy się w Rzymie, na terasie jednego z najbardziej włoskich ogrodów, na „Monte Pincio“, z kąd przeducny widok, na *piazza del popolo*, na zamek św. Anioła — na Watykan.

Znajdujemy się w ogrodzie przed dziesiątą zrana, bo to godzina spaceru wysokich dostojników kościoła. Ludzie świecący jeszcze spią, dzienne czynności nie rozpoczęte, na Monte Pincio spokój, gwarnej nie ma publiczności. Wieczorem około siódmej ogród się zaludnia, powozy dążą za powozami, jeźdźcy asystują damom: to godzina ludzi uciech, ludzi zabawy, z którymi się poważni starcy w jednym tłumie znajdować nie mogą.

My jednak idźmy za życiem, zamieszkajmy się pomiędzy gwarny świat.

Wzdłuż Corso ku Piazza del popolo powolnym stępem ciągnie się cały sznur otwartych powozów i kabrioletów, konie powiększej części rosłe, a kare, w świecącej uprzęży, nie rzadko ze srebrnym lub stalowym naszelnikiem, lub z kiścią różnokolorowych piór na głowie, jakby wyjętych z rynsztunku średniowiecznych rycerzy, co jadą kopię kruszyć, w imię niebieskiej lub szkarłatnej damy. Gdzieniegdzie z ordynku wysuwa się lekki kawalerski ekwipażyk, o parze dziarskich biegunów, z dzwonekami i lisiemi ogonami po obu stronach końskiej głowy, albo też jednokonna amerykanka na ogromnych kołach, stworzona dla synów Merkurego, co skrzydła noszą na pięcie.

Jakiś spóźniony osiołek, co rano jeszcze przywiózł do miasta karczochy, przestraszony tym blaskiem arystokratycznych koni, schodzi z drogi ku trotuarowi, aby obok kijów swego poganiacza, cudzych jeszcze nie znosić batogów. Omnibus z napisem „al Popolo“ jak może zjeżdża na prawo chcąc wyprzedzić te powozy, co wyjechały, aby swemu państwu, dwie godzin czasu wykreślić z dziennego porządku.

A proszę popatrzeć do powozów! ile tam kobiet z ry-
sami Beatricy, Fornariny lub „belli“ Tycyana? ile tam oczu-
lśniących najpyszniejszymi kamieniami Golkondy? jaki tam
przepych kruczych włosów, gęstymi splotami opierających się
na ramionach, którychby kapitolńska Wenus pozazdrościć
mogła.

Ach przecież piękne te rzymskie kobiety! a niechaj pu-
ryści jak chcą zaprzeczają, toć lyońskie materye, złoto i klej-
noty, mają swój w świecie urok. Idź na Trestevera, a zoba-
czysz gdzieniegdzie w wychudłej i wynędzniałej twarzy, oko
pełnem jaśniejące płomieniem, kibić która mogła była służyć
za model rzeźbiarzom, otulona w łachmany, co wzrok ci każą
odwrócić! Chciwość spotkasz na każdym kroku, i zbrodni
długo szukać nie potrzebujesz.

Więc wyjdiesz ztamtąd z niemiłym wrażeniem, a szu-
kałeś wrażeń najmiłszych, bo wrażeń piękności.

Powozy toczą się na Monto Pincio, boć tam najpierw
każda najmodniejsza suknia musi się pokazać, tam zachodzące
słońce musi dodać blasku złotu, kamieniom i jedwabiom. Wielka
platanami i kasztanami wysadzona aleja ciągnie się naokoło
ogrodu, a wzdłuż alei po obydwu stronach na postumentach
stoją artystycznie wykończone popiersia sławnych mężów wło-
skich, z białego marmuru.

Znajdujesz tam Petrarkę Bokaccia, Leonarda de Vinci,
Machiawela, Cawoura i Arnolda z Brescii, wszystkie nazwiska
co zostały z przeszłości przestrzegające niejako tych co obecnie
piją z pełnej czary życia, że nieśmiertelnym czynią tylko praw-
dziwe zasługi.

Monte Pincio należy do najpiękniej założonych włoskich
ogrodów a pomimo że jest niewielki, przecież z taką sztuką
są prowadzone ulice wśród krzewów południowych, zawsze
zielonych dębów, palm i cyprysów, że się nie czuje tej małej
przestrzeni i pełną oddycha się pierśią.

Bo też tak pysznego położenia jaki ma Monte Pincio, nie
prędko w świecie znaleźć potrafisz, wzrok tam może bujać swo-
bodnie w dal, i na każdym kroku spotka coś, co ci wielką
rzymską przeszłość przypomina, lub rozwija przed tobą dzieje
patryarchów kościoła, dzieje ludzi potężnych, żelaznej siły i
woli, jak Sykstus V, albo Juliusz II.

Wśród ogrodu zieloność drzew przerywają fontanny, obelisk, marmurowe statuy, najpiękniejsza jest jednak, północno zachodnia terasa, otoczona balustradą z białego marmuru, terasa na której spotykamy kardynałów Heilbutha. Terasa tak wysoko wznosi się nad plac *del popolo*, że obelisk na placu małym się wydaje, a cóż dopiero powiedzieć o ludziach co tamtędy przechodzą.

Jeżeli porównamy plan ogrodu na Monte Pincio z Isola bella, którąśmy poprzednio poznali, to przyznać musimy, że tensam styl klasyczny, te same środki, a mianowicie egzotyczne drzewa, marmury, obydwu planom służyły za podstawę, a przecież różnica pomiędzy nimi jest ogromna, ogród na monte Pincio wyniósł się na szczyt włoskiej sztuki ogrodniczej, podczas gdy Isola Bella wpadła już nawet w owego stylu przesadę; pomiędzy temi ogrodami jest taki stosunek, jak pomiędzy czysto greckim korynckim kapitelem, a kapitelem korynckim z czasów cesarstwa, mającym tyle liści i kwiatów, że słup się zdaje uginać pod ich brzemieniem.

Nie można było lepiej skorzystać z małego stosunkowo miejsca, jak na monte Pincio, nie można było stosowniej wyzyskać przepysznych widoków jakie się z tej góry otwierają. Terasa jest arcydziełem perspektywy, tak jak arcydziełem w swoim rodzaju są schody w palazzo Dorazzo w Genui, albo w kilku innych pałacach ojczyzny Fieska i starego Dorii.

Na monte Pincio czysty styl ogrodowy włoski staje się koniecznym, każdy inny styl ogrodowy z trudnością dałby się tutaj zastosować, spadzistość góry przytykająca do znakomitych budowli na piazza del popolo, wymagała, aby ją ująć w pewne regularne, architektoniczne formy, któreby niejako odpowiadały budowom całego placu. Terasa dokonała tego dzieła wybornie i nadzwyczaj zręcznie prowadzi myśl patrzącego się od regularnych architektonicznych linii, do linii więcej swobodnych, jakie na górze w ogrodzie spotykamy.

Gdzie teren ogrodowy bardzo nieregularny, górzysty, gdzie mało miejsca, tak, że trzeba sztuczne perspektywiczne wywołać wrażenia, tam styl włoski jest najodpowiedniejszy przy zakładaniu ogrodu, i z pomocą włoskiej ogrodniczej sztuki, można tam daleko więcej osiągnąć, aniżeli gdyby się starało angielskim sposobem, rozścielać gazony, których niema gdzie po-

mieścić, albo gdyby się rzucało tu i owdzie pojedyncze drzewa i kłaby, któreby tem dokładniej poznać dawały niestosowność położenia, do tego rodzaju ogrodowych planów.

Angielski ogród musi swobodnie bujać na równinie, musi mieć łąkę i strumyk, musi mieć dość powietrza, aby rozwinać swe dalekie perspektywy wśród gajów, kłabów i gazonów. Sami Włosi pojęli doskonale tę odrębność dwóch ogrodowych typów, a nowy angielski park w Turynie, najlepszym jest tego dowodem.

Ale ktoby chciał robić studia nad rzymskimi ogrodami, niech nie poprzestaje na samem Monte Pincio, choć on zapewne najkosztowniejszy i najludniejszy, choć może uchodzić za typ włoskiego smaku w ogrodach. Są tam inne, do których przejezdny turysta może nie tak często zagląda, ale po których artysta woli błędzić szukając w nich bogatego plonu niespodziewanych widoków i wrażeń.

I tak zaraz kiedy już jesteśmy na Pincio, zejdźmy z jego głównej ulicy: odwróćmy się od tych wszystkich przepychów Rzymu oświeconych słońcem chowajacem się za kopułę świętego Piotra, przejdźmy na przeciwną stronę ogrodu, żałować tego niebędziemy. Co za zmiana, co za przeciwieństwo, zamiast tłumów ludzi, pustka, zamiast turkotu powozów cisza, zamiast wielkiego i wiecznego miasta, zamiast błyszczących w słońcu marmurów, przed oczyma przedmiejska samotność, podrujnowane ceglane mury, a z wieczornego cienia wysterczają grupy cyprysów. Ta opuszczona od ludzi strona ogrodu ma wdzięk inny, ale nie mniejszy. Nie widać z niej św. Piotra i Watykanu, ale widać w dali niebieskawe ostre kontury gór sabińskich, wzgórze na którym się stoi nie jest ustrojone wspornikami marmurowymi schodami i terasami, ale prosty mur który je otacza pamięta czasy kiedy Pincio nosiło jeszcze nazwę Collis Hortorum, długa linia tych murów wiedzie oko w Kampanię, a bliżej mimowolnie spoczywa ono po lewej stronie na bujnej i gęstej zieloności platanów, po prawej na wysmukłych czarnych cyprysach. To po dwóch stronach ogrodu publicznego, założonego z wielkim przepychem i kosztem przez panujących, jak żeby dla porównania dwa ogrody prywatne. Platany na lewo to Villa Borghese, cyprysy na prawo Villa Ludovici.

O ile pierwsza głośna i bardzo zwiedzana, o tyle druga mało znana forestierom. Anglik zmęczony rzeźbami, ogrodami i malowidłami, szukając coby sobie mógł darować i nie zwiedzać, powiada sobie, że nie umrze choć nie zobaczy jakiejś tam Junony, że Aurory Guercina nie ma co żałować, bo fresków piękniejszych widział już tysiącami, i nie idzie do Villi Ludovici: tak samo jak Anglik robi Francuz i Polak, Niemiec tylko, który zazwyczaj uczył się historii sztuki, rzadko kiedy zaniedba złożyć hołd sławnej kolosalnej głowie „der Ludovisi'schen Juno.“

I ten Niemiec ma słuszość. Nie mówiąc o Junonie, która na teraz nie obchodzi nas wcale, nie mówiąc o energicznej Aurorze, którą zawsze z przyjemnością widzieć można, dla samego ogrodu warto zajrzeć w tamte strony. Jest to z ogrogów włoskiego stylu w Rzymie, najczystszy może a z pewnością największy. Prawie za wielki do tego stylu: laury, mirty, bukszpany, znikają cokolwiek w tych przestrzeniach, a raczej znikłyby, gdyby nie były tak wyjątkowo bujne, gęste, wielkie, a przepyszne cyprysy swoim wzrostem nadstawiają to czego tamtym braknie, tak że niedostaku dużych drzew nie czuje się wcale. Kilka ulic, długich, szerokich, prostych, wiedzie różnymi kierunkami do środka ogrodu: wszystkie strzyżone, wszystkie niewolniczo wymusztrowane, schodzą się jak promienie koła przy Vili, która stoi na środkowym i najwyższym punkcie ogrodu. Przypomina się tu wszystko, co tylko kiedy złego powiedziano o włoskim smaku, monotonia, barbarzyńskie tyranizowanie natury, Krasickiego „Merkury z ligustru“ i Mickiewicza cyprys „lokaj w dworskiej żałobie,“ wszystko to jest i wszystko prawda. Tylko z tej masy laurów i bukszpanów wieje taka jakaś aromatyczna, upajająca atmosfera, tylko słońce padając na ich okrzyczane „lakierowane“ liście wywołuje w nich taką różnorodność i grę kolorów, tylko ten ogród nie-naturalny, dekoracyjny, ma taki jakiś dziwny charakter spokoju i powagi, w których nie ma przecież nic ponurego i smutnego, że z wielkiem swoim zdziwieniem zapomina człowiek o Junonie Polykleta dla bukszpanowych Jowiszów i zostawszy tam jak mógł najdłużej, wychodzi z przekonaniem, że w tej jednostajności i symetrii włoskich ogrodów jest przecież poezja. Cóż dopiero, jeżeli szukając Aurory Guercina, wydrapał

się na górne terasy willi: widok ztamtąd inny, ale nie mniej-szy, nie mniej piękny jak ze świętego Anioła lub z ganków Watykanu. Kto jest w Rzymie niech nie zapomni znaleźć czas na ten spacer; niech się cieszy widokiem, niech z uszanowaniem podziwia marmury, Junony, Marsa, Elektrę i tam dalej, ale niech się przejdzie i po ogrodzie. Wracając może mi przyzna, że ten stary Polak, który w znanym wierszyku do życzenia stu lat zdrowia, beczki wina, i innych jeszcze dobrych rzeczy, dodał „włoski ogród“ musiał chyba myśleć o willi Ludovici.

Może to będzie poczytane za herezyę, ale darmo, powiedzieć trzeba, że sławna, przesławna, arcyślawna villa Borghese, choć niezaprzeczenie bardzo piękna, jest mniej sympatyczna. Nie dla tego, że nie jest w włoskim guście: owszem, styl angielskiego parku do tych rozmiarów nadawał się doskonale, a ogromne łąki i prawdziwe gaje z platanów, to rzeczy nie do pogardzania i trzeba być w Rzymie, żeby się nie unosić nad czemś, do czego wreszcie Europy pielgrzymowałyby się z największem nabożeństwem. Ale jeżeli się nie mylimy, to wszystko tam zanadto jest na pokaz, zanadto znać miliony właściciela. Sama willa może ująć za typ budynków tego rodzaju, a przepych marmurów, mozaik, posadzek, odrzwi i t. d. dochodzi prawie do bajeczności. Ale posągi, które w tych salach i gabinetach stoją, nie składają wcale kolekcji, któraby się do pierwszych w Rzymie liczyła i pod względem dzieł sztuki pałac Borghese, przewyższa o wiele willę Borghese, przewyższa ją i skromniejsza willa Ludovici: a w samym ogrodzie różne budynki, egipskie, greckie, różne kamienne lwy, sfinxy, obeliski, postawione były podobno z większym nakładem pieniędzy niż gustu.

Nam często się zdaje, że każdy Włoch jest artystą, a we Włoszech wszystko piękne. Niestety, że tak nie jest, dowodzą ich dzisiejsze obrazy i rzeźby, ich dawny styl barocco, balowe stroje Włoszek, tysiące rzeczy, a między innemi i ich ogrody. Nie każdy Włoch umiał tak jak kardynał Albani, sławny miłośnik i znawca sztuki, urządzić sobie willę tak, żeby była dla obcego bardzo pięknem Muzeum, a dla właściciela rozkosznem i zupełnie mieszkalnem mieszkaniem. Oto naprzykład nie daleko od willi Albani, zaraz za Porta Pia, jest willa

Patrizzi. Błote! co za zgroza! Drzewa wprawdzie i kwiaty piękne, ale wszystko co ludzie zrobić mogli, żeby je zeszpecić, to zrobili. Moznaby myśleć, że się jest gdzieś w Niemczech, w kraju Lusthausów i sztucznych ruin. W jednym kącie wabi cię kolorowym dachem z dzwonekami chiński szałasik, w drugim wieża jakiegoś mikroskopicznego a srodze zrujnowanego gotyckiego zamku udaje, że ci chce spaść na głowę, to jeszcze nic: ale sztuczne ruiny rzymskie, w Rzymie, miniaturowe wodociągi, gdzie indziej Coliseum, w którym koty chyba rozdzierały Lilipatów i to wszystko tu, na miejscu, przy Aquaedukcie Klaudiusza, przy amfiteatrze Flaviańskim! Obrzydzenie jakie ten widok sprawia nie da się opisać: a mimowolnie nasuwa się myśl, czy te nowe ruiny nie mają się do dawnych tak jak nowi Rzymianie do swoich poprzedników.

Uciekajmy ztąd czempredzej na inne miejsca, do innych ogrodów, gdzie nas nic razić i gniewać nie będzie.

Kobieta jedna, kobieta obdarzona niewątpliwie wielkim zmysłem artystycznym, nadała swoje imię jednej ze sławniejszych rzymskich willi. Imię rosyjskie, a przecież sympatyczne, pociągające. *Willa Wołkońska* była własnością księżnej Zeneidy W. znanej u nas przyjaciołki Mickiewicza. Podziwiać tylko i zazdrościć można wyboru. Księżna osiadła na miejscu, gdzie niegdyś stały pałace Heliogabala, ruiny ich, prawdziwe, miała w swoim ogrodzie, a do koła najpiękniejsze widoki. *Willa Wołkońska* stoi w miejscu, jakiemu równego może nie ma w Rzymie. Przed sobą ma wielki, pusty plac Lateranu z bazyliką i ogromnym pałacem, dalej kampanię całą otwartą aż do Albano i Monte Cavi, wszystkie groby, wszystko to co naprzód ujrzał Irydion kiedy szedł zobaczyć spełnione swoje marzenie, widziała zawsze księżna *Wołkońska* przed sobą ze swego ogrodu, a z boku miała miejsce gdzie się jego wędrówka skończyła, Coliseum i przez wszystkie ruiny Forum, dochodziła wzrokiem aż do kapitolu. Tak łatwo wyobrazić sobie Mickiewicza prześiadującego w tym ogrodzie: gdyby równie łatwo można odgadnąć myśli, które na ten widok niezrównany rościć się musiały w jego głowie.

Ale niezaprzeczenie królem wszystkich rzymskich ogrodów jest ogród przy willi Pamfili. Największy, najrozleglejszy tooczony do koła najpiękniejszymi widokami i odmiennymi zu-

pełnie od wszystkiego co się widzi z innych punktów, zostawia wszystkie inne daleko za sobą. Nie żeby nie było w niem nic do zganienia. Zaraz na wjeździe łuk tryumfalny, w rodzaju paryzkiego na małą skalę, nie wiedzieć na co potrzebny; w głębi szwajcarskie domki i obory postawione zapewne za czasów kiedy pasterstwo było w modzie; gdzie indziej kawałek w guście włoskim, ścieżki zwirowane różnokolorowemi kamyczkami, i grzędy w kształcie gołębia, herbu właściciela, wszystko to dodatki, bez których mogłoby się obejść. Ale wszystkie się wybacza, wszystkie znikają przy tem co stanowi główną ozdobę i piękność ogrodu. Mniejsza o staw, choć i to wiele warte, staw wcale szanownych rozmiarów w ogrodzie, ale las, prawdziwy las sosnowy! Nie wielka osobliwość, powie na to Polak, zrodzony i wychowany między sosnami, przyzwyczajony uważać je za najmniej malownicze z drzew i cenić je podług tego, co za nie żyd zapłaci. Ale ta ilość sosen na jednym miejscu, jest osobliwością, nawet we Włoszech, gdzie pinja, o tyle od naszej prostej sosny piękniejsza, jest w swoim kraju, i gdzie krajobrazowi tyle nadaje właściwego charakteru i wdzięku. Te wielkie drzewa, najwyższe może z południowych, gładkie aż do wierzchołka, tam uwieńczone koroną ciemnych płasko i szeroko rozłożonych gałęzi, zdają się tak koniecznie należyć do włoskiego krajobrazu, że od największych malarzy do dekoratorów teatralnych i rysowników pism ilustrowanych, żaden nie robi włoskiego widoku, żeby w nim choć gdzieś w kącie nie umieścił pinii. Służy ona jakoby za podpis objaśniający, za znak niewątpliwy kraju, który ma być przedstawiony na tym papierze lub płótnie. Można przejechać cały półwysep od Alp do Scyli i Charybdy, a nie zobaczy tylu pinij razem i takich jak w willi Pamfili.

Na Palatynie „na wzgórzu ruin i kwiatów“ same ogrody. Niestety dla prostego człowieka niedostępne. Jeden jest w rękach prywatnych jakiegoś zazdrosnego Anglika, drugi należy do zakonnicy: ogrody Farnese kupione od króla Neapolitańskiego przez Napoleona III. w celu poszukiwań może się opłacać bogatym plonem archeologicznych zdobyczy, może się tam znajdzie kiedy ten pantofel Livii pod którym siedział August, albo ta żółta peruka Messaliny, którą z takim zgorszeniem wspominał Juwenal, ale ogrodem te ciekawe i obiecujące

scavi nie są. Jeden więc tylko na całym wzgórku Cezarów zajmujący i dostępny, to ogród przy klasztorze San Bonaventura „Utile dulci“ to zasada, której trzymano się przy jego założeniu, a nawet ludzie zważali daleko więcej na *utile* aniżeli na *dulce*. Prosty ogród warzywny w którym krzewią się bujnie karczochy, pomidory i różne inne kuchenne zapasy. Przecież nie jest on mniej poetyczny jak ogródek Zosi z Pana Tadeusza pełen marchwi i ogórków. Wprawdzie najbujniejsza fantazja nie dostrzeże tam nimfy, co najwięcej mogłaby wypoetyzować sobie jakiego reformata i domyślać się pod jego kapturem tragicznej przeszłości byrońskiego Giaura, ale za prozę karczochów i reformatów, nagradza sownie widok: bo usiadłszy pod palmą tego ogródka, jedną z rzadkich palm rzymskich ma się pod nogami Coliseum i wzrok pada z góry w sam jego środek. Nie ma punktu z którego ta najpiękniejsza w świecie ruina dałaby się tak dobrze widzieć *à vol d'oiseau*.

A kiedy już wspomniałem ogrody klasztorne, to trzeba powiedzieć, że jest we Włoszech w ogólności, ale zwłaszcza w Rzymie, jeden ich rodzaj, wielce oryginalny i piękny. Każdy widział, nawet u nas, szczególnie w miastach, dziedzińce w murach klasztornych przerobione z mniejszem lub większem szczęściem na ogródki. Zakonnicy zamknięci, a najczęściej niebogaci, korzystają z każdej piędzi ziemi, żeby sobie przypominać szeroki świat od którego uciekli. Otóż, ta potrzeba przechadzki, kwiatów, zieloności, jarzyn do kuchni, ziół do apteczki, we Włoszech, a zwłaszcza w Rzymie, pochwycona przez genialnych artystów, wydała arcydzieła, czyli tak zwane *chiostra*. *Chiostro* jest to wewnętrzny dziedziniec klasztoru otoczony do koła krużgankiem, a środek jego zostawiony na ogród. Jest takich pełno, ale trzy zwłaszcza godne pamięci. Jeden przy Santa Maria degli Angeli. Przez małe drzwiczki ukryte gdzieś w kącie przy wielkim ołtarzu tego wspaniałego kościoła kąpiącego od marmurów i złota, przechodzi się w środek klasztoru. Arkady oparte na stu białych kolumnach o najszlachetniejszych proporcjach a najsurowszej prostocie rysunku, otaczają duży kwadrat zieloności. Pośrodku studnia pod wielkim cyprysem. Cisza, milczenie, spokój, jak na cmentarzu. Ale bo też jesteśmy na cmentarzu. Pod temi kwiatami i bukszpanami, leżą jeden przy drugim, może tysiące Kartuzów, a ten

którego widać zdaleka pracującego w ziemi, kopie sobie grób. Teraz po krążganku Michała Anioła zamiast stuku mniszych sandałów rozlegać się będzie brzęk ostróg, zamiast kapturów przesuających się cicho uwijać się będą mundury. Jak one wyglądać będą w tem tak wielce ascetycznem otoczeniu? czy będzie z nimi piękniej temu miejscu?

Chiostro u świętego Jana na Lateranie i u świętego Pawła za murami podobne są do siebie jak bliźnięta. W jakim stylu, bizantyńskim, maurytańskim lub innym jeszcze fantastyczniejszym zbudowane są ich krążganki, nie wiem; dość że architektury tak fantastycznej, kapryśnej, a uroczej, trudno widzieć na świecie.

Nie wysokie, cieniutkie kolumny z białego marmuru, sprzężone zawsze z sobą po parze, jedne kręcone, drugie żłobione, inne *à jour*, wszystkie wykładane drogim marmurem czerwonym i niebieskim i złotą kostką taką samą, jaka zwykle służy za tło mozaikowe, unoszą na sobie łuki przezroczyście, a jak dwóch kolumn tak dwóch łuków jednakowych nie ma. Pośrodku chaos laurów, mirtów, bukszpanów i róż. Jak robią zakonnicy, żeby tam spacerować z teologiczną książką w ręku, medytować i uważać, doprawdy nie pojmuję. Te kolumny, arkady i zapachy podają człowiekowi zupełnie inne myśli. W dawnych Termach Dyoklecyana, w krążganku Michała Anioła, o którym tylko co wspomniałem, tam zapewne można wygodnie medytować na temat *Memento mori*: ale tutaj, pośród tej architektury bogatej, a wesołej i tajemniczej, możnaby myśleć że się jest w jednym z dziedzińców pałacu Armidy: tutaj myśleć o marności świata i przyszłem życiu? Tutaj nie tylko śmierć, ale habit jest już wielką anomalią: młody paź z mandoliną w ręku, albo rycerz ukryty gdzieś za filarem, Fiametta lub Pampinea opowiadająca pod cieniem krążganku jedną z powieści Decameronu, byłiby dopiero w harmonii z tą cudowną, rozkoszną, upajającą dekoracją.

W Sardyńskiej stolicy tuż nad rzeką Po, na zachód od dawniejszego publicznego ogrodu, przestronne równe było miejsce na którem nowe miano założyć ogrody. Zmysł artystyczny nie pozwolił Włochom gromadzić tutaj marmurów, tworzyć sztucznych grot, stawiać obelisków i robić perspektywy z pomocą strzyżonych alei, tutaj angielski park daleko był odpo-

wiedniejszym, daleko się lepiej stosował do płaskiego wybrzeża rzeki, więc też założono tam ogród w czysto angielskim stylu, nie pozostawiając nic do życzenia, pod względem smaku i elegancyi w rysunku.

To samo Florencyja pani gustu i mody w nowożytnych Włoszech, na wielkiej równinie na prawym brzegu Arna przy końcu ulicy *Lung Arno* nie miała sobie bynajmniej za uchybienie, wielkich rozciągnąć gazonów, i na korzyść angielszczyzny odstąpić od swych czysto włoskich zasad. Co do pojęcia jednak charakteru angielskich ogrodów, nie porównanie wyżej stawiałbym ogrodnika co dawał plan do parku w Turynie, aniżeli ogrodnika florentyńskiego, ostatni bowiem mimo całej chęci skłonienia się ku angielszczyźnie, nie mógł się oswobodzić z włoskich przywyчек i gdziekolwiek bardzo niemiłe tym sposobem wywołał sprzeczności.

Gdy zaś Florencyja zakładała piękny ogród koło pałacu Pitti, tak zwany *giardino Boboli*, to znow trzymała się swego ojczystego stylu, nie szczędziła strzyżonych drzew, sztucznych grot, marmurowych posągów i egzotycznych krzewów, albowiem ogród musiał się wspierać na pagórek przytykał tuż do dzieł architektury, i nie miał dość miejsca, aby się swobodnie rozwinać.

Ogród publiczny w Medyolanie, pomimo że z nowszych już pochodzący czasów, i pomimo że na równem położony miejscu, przecież nie przyjął typu angielskich parków, ale w zasadzie zachował główne cechy włoskiego ogrodu. W tym razie miałbym tę wstrzeźliwość przed popisywaniem się z nowością, za wielką zasługę ogrodnika, albowiem po pierwsze: przestrzeń, którą zajmuje medyolański ogród, jest niewielka, a powtóre na wszystkie prawie strony, była ta przestrzeń mniej więcej zabudowaną, a więc nie mogła już rozwinać naturalnej, ale musiała się starać o architektoniczną perspektywę. Ogródnik poznał właściwość terenu, i dla tego wyszedł ze swej pracy zwycięzko, a chociaż ogrodu w Medyolanie nie można nawet porównywać do takiego ogrodu jak Monte Pincio przecież może on zająć w ogrodnictwie nader zaszczytne miejsce.

O ile charakter ogrodu w Medyolanie umiał się zastosować do miejscowości, o tyle w błąd przeciwny bardzo często

wpadali ogrodnicy li tylko modzie hołdujący. Z powszechnie u nas znanych ogrodów, ogród w Schönbrunie tego rodzaju błąd nosi w swym planie. Podczas gdy miejscowość nadzwyczajnie odpowiadała na założenie angielskiego parku, a przestrona równina, gdzieniegdzie pagórki, z natury rzeczy skłaniały się do gajów, wielkich pojedynczo rozsianych drzew i gazonów, pomimo to ubrano tę równinę w strzyżone grabowe szpalery, w jednostajne linije, w terasy, w imitacye ruin i obelisków. Była to moda epoki, rozwój nowszego klasycyzmu, więc i ogrodnika pod tym względem nie bardzo winić można, w każdym razie jednak, błąd ten uderza, pomimo wielkich z innej strony zalet tego ogrodu.

Pozostaje nam jeszcze jeden bardzo ładny włoski ogród, z powodu którego nie możemy się wstrzymać od kilku osobistych wrażeń, a jest nim ogród w willi Palawicinich w pobliżu Genui.

IV.

Mając piękne pałace, ogrody, galerye, do których się zjeżdżają cudzoziemcy, musi w tem być pewna przyjemność wiedzieć: kto takowe oglądał, i kazać u portyera prowadzić książkę wpisujących się gości. Raz się wprawdzie wpisze krawiecki czeladnik z pobliskiego miasta, drugi raz jednak jaki Napoleon raczy tam umieścić swoje nazwisko. Ma się więc autograf sławnego człowieka, a prócz tego materiały do statystycznych spostrzeżeń *à la Quetelet*, i można się w ten sposób dowiedzieć, który naród jest najciekawszy, w której porze roku jeżdżą ludzie żonaci, a w której stara panna i t. d.

Księżna *Durazzo* z książąt Palewicinich, obecna właścicielka sławnéj willi w *Pegli*, stacyi kolejowéj z Genui do Nicei, podziela pod tym względem nasze zdanie, nie tylko bowiem każe prowadzić dokładny rejestr ludzi co jéj willę zwiedzają, ale nawet umyślnie w tym celu bardzo przyzwoitego utrzymuje marszałka. Pan Marszałek we fraku i z czarnemi faworytami, nadzwyczaj się cieszy, gdy według nazwiska zgadnie narodowość przychodzącego o kartę wstępu do willi, i tryumfuje ze swéj znajomości już nie ludzi, ale całych narodów.

Moje nazwisko posłużyło także szanownemu marszałkowi, do etnograficznych spostrzeżeń, które go doprowadziły do tego przekonania, że jestem Grekiem, w czym bynajmniej mu się sprzeciwić nie chciałem.

Dostałem więc kartę wstępu — „*permesso*“ z numerem 13,600, nie mając jednak epok, według jakich liczy p. marszałek zwiedzających willę Palawicinich, nie mogę państwu powiedzieć: czy to liczba podróźnych od początku roku, czy od czasu, jak panna Palawicini poszła za księcia Durazzo, czy też od innego sławnego dnia, w dziejach znakomitej rodziny.

Mając więc *promesso* w kieszeni pojechałem do Pegli, gdzie z prawdziwą radością powitałem prześliczny żywy płot z kwitnących róż, którym dworzec kolei jest otoczony. Za dworcem ugrupowało się kilka ogromnych, wykwintnie urządzonych hoteli, a za hotelami wybijają fale morskie swój odwieczny takt...

W Pegli bawi zwykle wielu cudzoziemców: w lecie dla morskich kąpiel, w zimie dla łagodnego klimatu idącego w zawody z klimatem pięknej Nicei.

Z drugiej strony dworca, na stromych pagórkach, rozsiało się pełno will i ogrodów, a pomiędzy nimi willa księżnej Durazzo.

Gdy się pociąg wypróżnił, ze dwieście *Bedekerów* znalazło się przed bramą willi, ze dwustu podróźnych z różnych kończyn świata, portyer dopiero rozdzielał nas na grupy po kilka i kilkanaście osób, ażeby ułatwić czynność ogrodnikom służącym za przewodników.

Rozglądałem się prędko w mojej grupie, i najsympatyczniejszą mi się wydawała młoda para z Genui, która czuła mi na siebie spoglądała oczyma, a że tam, gdzie jest sentyment, nie braknie na zajęciu i spostrzeżeniach, więc się do młodej przyłączyłem pary; para ta spoglądała na mnie z początku niedowierzająco, po kilku jednak wymienionych frazesach, takim mnie obdarzyła zaufaniem, że wkrótce jak najjaśniejsze miałem wyobrażenie, o jej planach, stosunkach i z termometrem w rękę, mogłem być mierzyć stopień ciepła jaki bił w obydwu serduszkach.

Kochać się im zabraniano, więc pojechali do Pegli zamieszkać się pomiędzy cudzoziemcami, aby kilka czułych za-

mieścić słówek i wśród pięknych róż i kamelii zerwać niejeden kwiat uczucia.

Długą aleją wysadzaną platanami, szliśmy aż do willi, której struktura nie nosi na sobie szczególniejszego piętna i jeżeli jest co w niej ładnego, to duża marmurowa terasa, z której przepyszny na morze i pobliskie góry przedstawia się widok. Ażeby pejzaż był prawdziwie wielkim, i potęgą swoją zagrał na wszystkich strunach duszy, potrzeba koniecznie aby łączył obydwa pierwiastki, z których się ziemską składa powierzchnia, aby fali morskiej pozwolił uderzać o twarde brzegi kontynentu.

To też wielcy mistrze co myśli swe w pejzaż rzucali, z morzem szczerze zawarli przymierze. Dziki i namiętny *Salvator Rosa*, gromadził na swych obrazach wszystkie żywioły, a nie dosyć mu było morza, musiał on mieć morze burzą miotane, nie dosyć mu było włoskiego nieba, na jego niebie musiały zawsze przelatywać pioruny i błyskawice, nie dosyć mu było spokojnej zieloności lasu, w jego lesie bowiem czarna knieja pierwsze zajmowała miejsce, gad się pełzał pomiędzy trawą, a puszczyk krył się pomiędzy liśćmi dębów. — Ojciec i mistrz niderlandzkiego pejzażu *Ruysdael* z burzy morskiej wydobywał najpiękniejsze efekta światła i cienia, i jak Rembrandtowi łojowa świeca lub kaganek z oliwą służyły, aby tajemnicze światło rzucić na twarze spiskujących wojowników, albo oświecić krążące w koło stołu puhary, tak Ruysdaelowi elektryczne światło błyskawicy pozwalało w falach morskich szukać uroczego rysunku. — Z nowszych mistrzów *Horacy Vernet*, jeżeli nie potrzebuje równiny, aby na niej rozłożyć bojowe szyki kawaleryi, chętnie idzie na brzeg morski, chętnie dąży ku Marsylii, i kąpie swe obrazy w lazurze południowego nieba, i lazurze Śródziemnego morza.

Wiecznie zazdrozczę tym, co mogą choć kilka miesięcy w roku odświeżać swe myśli nad brzegiem morza, słuchać szumu fal, i kąpać swą wyobraźnię w morskich głębinach. Nie dziwi mnie bynajmniej, że *Alfons Karr* do późnej starości zachowuje niezrównany humor i świeżą myślą błyszczy w swych pismach, jeżeli mieszka pod wesołym niebem Nicei, patrzy się na morze, i w swoim ogrodzie uprawia róże i kamelie. — Zimny mi opowiadał Anglik, że dwóch chwil w swem życiu nie

zapomni, jednej: gdy szedł za matki pogrzebem, drugiej: gdy po kikoletniem pobyciu na kontynencie, znów zobaczył morze: wtedy zdawało mu się, że się wita z kochanką, że znajduje najdroższe swój młodości marzenia.

Więc jeżeli wille zakładać — to je zakładać nad morzem.

Z marmurowej terasy zeszliśmy w cieniłą ulicę, pełną eryki, rododendronów, kamelij, różnokolorowych akacyi i mirtów, a po niedługim błędzeniu znaleźliśmy się w gustownej gloryecie, z uroczym wewnątrz salonikiem. Cicerone nie zapomniał powiedzieć, że cesarzowa Marya Terezya piła tutaj herbatę, i że przysłała w upominku właścicielom serwis z saskiej porcelany, ustawiony obecnie na stole, w środku salonika. — Włosi są mistrzami w urządzeniu małych komnat, saloników, łazienek, gdzie sztukateria i marmurowe ozdoby doskonale mają miejsce popisu. — Prześliczny taki pokoik na łazienkę przeznaczony, jest w pałacu Pitti we Florencyi; blade-niebieski kolor ściany z białym marmurem tworzą jedyną pokoju ozdobę, ale jak tam ten marmur umiejętnie zastosowany, jak zręcznie umieszczone posągi Wener w niszach ścian, jak gustowną sztukaterią zdobione sklepienie! — Niestety tych rzeczy opisać nie można, trzeba by rysunku, a na rysunek zdobyćbyśmy się nie mogli.

Założyciel ogrodu Palawicinich, znał cały urok jaki wywierają kontrasty, tot eż ta gloryeta, która nam się od strony wnijsia tak pretensjonalną, tak elegancką wydaje, z drugiej strony za grupą gęstych drzew, zupełnie inny nam przedstawia widok. Z tamtej strony jest ona wiejską chatą pod słomianą strzechą z ławkami z łupanój brzeziny, z poważną jodłą u boku, i z całym obrazem odpowiedniej chacie wegetacyi. Więc tam już nie znajdziesz wykwintnej palmy, albo tulipanowego drzewa, ale spotkasz się z cieniłym dębem, i rozłożystym platanem, z zieloną łączką, którą tylko polne zdobią kwiaty.

Za łąką, za kłębem drzew, znów inny widok: huśtawki, karuzele, zda ci się, że się znajdujesz w jakim wiedeńskim ogrodzie, albo u berlińskiego Krolla, a jeżeliś bardzo rozmarzony, to ci się przypomni *parc aux cerfs* francuskich Ludwików, i pamiętniki młodego księcia Riszelięgo.

Wychodząc ztamtąd, znów błędzisz ciemnymi ulicami z najpyszniejszych drzew, spotykasz po drodze kaskady, altany

ze słomy, lub trzciny, cieszysz się profuzją najwykwitniejszego ogrodniczego smaku, a w końcu znajdziesz się u stóp innej gloryety budowanej w guście średniowiecznych zamczysk; a gdy stajesz w obronnej pozycji czekając ataku jakiego rycerza ze spuszczoną przyłbicą, otwiera ci Cicerone najspokojniej drzwi do tego średniowiecznego przybytku i każe ci oglądać małe komnaty, kaplicę, a nawet kuchnię staroświeckim urządzoną sposobem. Gotyckie kolorowe szyby, malowane herby, skórą i włosieniem kryte meble, szyszaki i pancerze, wszystko to przemawia do ciebie mową rycerzy Franciszka I. Z gloryety masz jeszcze cudowny widok na morze, a potem znów się znajdujesz wśród krętych ścieżek południowego gaju, z którego gdzieś niedługo wychyli się jakaś ruina, nibyto rzymskich sięgająca czasów.

W dolnej części ogrodu znów inny przedstawia się widok, na samym wstępie bowiem, wchodzimy do ciemnej obszernej stalektytowej groty, będącej w połączeniu z jeziorem, którego wody dochodzą aż do wnętrza jaskini. W grocie czeka już Charon na cudzoziemskie „franki“, z przygotowaną łódką, powierzyliśmy się więc jego opiece, a po różnych ewolucjach wśród ciemnego podziemnego świata, znaleźliśmy się znów pod jasnym i pogodnym niebem na jeziorze, na którym marmurowe pławią się trytony. Z brzegu poważnie się patrzy egipski obelisk, a kilka kiosków i altan spoziera na swe piękne kształty, odbijające się w wodzie jeziora.

Koło chińskiego kioska rozrzucono nader zgrabne porcelanowe ławki, z daleka zakładałbyś się, że to dwie poduszki na sobie położone z chińskiego jedwabiu. Na ramionach jeziora pełno lekkich, gustownych mostków, łączących kłaby, kioski, gazony.

W pobliżu już willi „świątynia Flory“ — prześlicznie urządzona oranżerya, z wygodnym pawilonem, istny przybytek do czytania dzieł wyobraźni. Kto nie umie z kwiatów wydobyc całego uroku, który posiadają, niech tutaj idzie na naukę, a rzecz to nie tak łatwa. W bardzo zresztą gustownie urządzonych domach, spotyka się często najniegodziwiej przyczepione oranżerye, tak że się traci najzupełniej przyjemność, którą z takiego ogrodu pod szkłem wynieśćby można.

Znaleźliśmy się więc u końca ogrodu willi Palawicinich, a co zwiedzającego nadzwyczaj uderzać może, to ta nadzwyczajna znajomość perspektywy, ta umiejętność korzystania z miejsca, jaką się znajduje w planie tego ogrodu. Przestrzeń ogrodu nie wielka, a na téj przestrzeni pomieszczono tyle różnorodnych obrazów, tyle rozmaitych widoków — że zwiedzający nie może wyjść z podziwienia jakim sposobem znalazło się tyle rozmaitych rzeczy, na niewielkim pagórku. Ogród cały wygląda jak cacko, tak jest w najdrobniejszych szczegółach wykończony, z taką starannością pamiętano o wszystkim. Nic nie psuje tutaj ogólnej harmonii, nigdzie się nie znajdzie fałszywego tonu, albowiem jedność planu znać na każdym kroku, a jedno drzewo, jeden krzew nie jest posadzony, gdzie być nie powinien. Wegetacya najściślej zawsze jest zastosowaną do charakteru każdej części ogrodu, a jeżeli egipski obelisk widzisz otoczony palmami, roślinami tropicznego prawie słońca, to średniowieczna gloryeta, stoi w towarzystwie drzew poważnych, jak wiek w którym powstał gotycki styl.

Ogród Palawicinich w nowszych jest już założony czasach, a wzajemne mieszania się w nim wpływów angielszczyzny i włoskiego typu ogrodowego zaprzeczyć się nie da. Ogrodnik starał się tutaj wydobyć z obydwóch stylów, co takowe mają najpiękniejszego, i zastosować je do danéj przestrzeni, siła jednak niewielkiej, pagórkowatej przestrzeni z natury rzeczy skłaniała go bardziej do włoskich ogrodowych przyborów i mimo różnych nowatorstw, ogród ten przecież w ogólności włoski zachował typ.

V.

Mówiąc o ogrodach we Włoszech, niepodobna mi pominąć włoskich cmentarzy, gdyż mało gdzie zamiłowanie do sztuki i zmysł artystyczny synów Italii, tak wyraźnie jak w cmentarzach się przebija.

Architektura, rzeźba, malarstwo, podały sobie ręce, aby mieszkania zmarłych przeobrazić w ustronia pełne poetycznego wdzięku; dość wymienić: *Campo santo* w Pizie, w Genui, Bolonii i Turynie.

Pizańskie Campo santo głośniej się dorobiło sławy, wewnętrzna gotycka kolumnada, nie ma sobie równej co do mistrzownego wykonania; dla oglądania tych arkad zjeżdżają się ludzie z szerokiego świata, Piza temu zabytkowi połowę winna swojej pomyślności.

Cmentarz też w Pizie jest prototypem włoskich cmentarzy. Zewnątrz niski, niepokazny dom, bez okien, bez ozdób. A gdy stoisz przed furką i pociągniesz za dzwonek, to ci się zdaje, że jesteś przed jakimś staroświeckim składem, jakimś lamusem zrobionym przy katedrze, na schowanie starych ołtarzy, dywanów i katafalków.

Gdy jednak furtyan żelazną otworzy bramę, wzrok twój miłym będzie dotknięty widokiem, zobaczysz się bowiem pod gotyckim krużgankiem, otaczającym wokoło czworoboczny cmentarz, na którym cyprysowe w górę strzelają drzewa. Pomników na właściwym nie zobaczysz cmentarzu, marmury schowały się pod galeryą, i tutaj są osłonięte jedną z najpiękniejszych włoskich *loggi*, będącej dziełem sławnego Jana z Pizy. Na ścianach krużganków możesz studyować w jak potężny sposób rozwijało się w średnich wiekach włoskie malarstwo, a gdy tam zobaczysz sąd ostateczny *Orcagni*, jednego z najpotężniejszych *Giotta* następców, to pojmiesz, że tacy ludzie musieli doprowadzić, sztukę na ten szczyt, na jakim stanęła, za Rafaela, Michała Anioła, Ticiano i Pawła Veroneza.

Dziwna lekkość i elegancja charakteryzuje te filigranowe gotyckie słupy, na których wewnątrz od cmentarza wspiera się czworoboczny krużganek, za ledwie się wierzy patrząc na nie, że to wyroby z kamienia, a nie z żelaza lub drzewa.

Pod krużgankami stoją pomniki, biusty znakomitych Pizańczyków, gdzie nigdzie murowana tablica pamiątkowa w posadzkę, gdzie nigdzie tablica w ścianie opowiada czyny zmarłych; ci z Pizańczyków co sobie nie zarobili na pamięć u potomności, muszą pod zieloną mieścić się murawą, tych nie osłaniają głębokie łuki, dla nich nie ma miejsca wewnątrz czworoboku.

Pod krużgankami znajdziesz także pomniki i posągi ludzi, co wprawdzie nie umarli w Pizie, ani też nie byli obywatelami miasta, ale których nazwisko przyczyniło się do świetności włoskiego nazwiska. Z dawnych Dante, z nowszych Ca-

vous, zostali, że się tak wyrażę: honorowymi obywatelami tój gminy umarłych.

Nigdzie sławni ludzie nie mają tyle co we Włoszech pomników, nigdzie sława pośmiertna tak szerokim nie płynie strunieniem. Panteon narodowych znakomitości, prawie w każdym znajduje się mieście.

W Rzymie na Kapitolu, tronują jeszcze posągi i biusty rzymskich cesarzów, niejako pamiątki osób, ale jako świadectwo rzymskiej wielkości. Obok tych laureatów, którzy już z przeznaczenia musieli mieć wpływ na losy Italii, gromadzą się tam także zastępy ludzi co własną pracą i własną zasługą wywalczyli sobie wydatne miejsce w narodzie, i jak perły błyszczą na włoskiej herbowej tarczy.

W tym spokojnym marmurowym senacie zasiadł naturalnie Dante, Rafael, Michał Anioł, Wolta, Machiavel, Galileo-Galilei, Marco-Poło, Capponi, Giovanni di Procida, Beccaria Savanarola, Hugo Foscolo, Vico, Arnolfo di Brescia, Ferruccio, Monti, Cavour, Emanuele Filiberto i burzliwy Mazzini białe, zimne przybrał tam już szaty.

Gdybym z Herderem wierzył w to, że sława pośmiertna główną jest do czynów pobudką, tobym sądził, że Włosi zawsze przodować będą narodom, nigdzie bowiem ludzie zasłużeni ojczyźnie takim jak tam, nie są otoczeni splendorem.

Jeżeli w Rzymie na Kapitolu zasiadł marmurowy areopag, to we Florencyi te same postacie zdobią krużganki pałacu *Uffizi*, w Wenecyi obrały sobie miejsce w pysznej dożów galeryi, a w Medyolanie w rotundzie passażu Wiktora Emanuela spoglądają dumnie na gwar krzątających się ludzi. — Bologna i Genua na cmentarzach założyły świątynię narodowej sławy.

O ile *Campo santo* w Pizie pod względem architektury przewyższa wszystkie włoskie cmentarze, o tyle cmentarz w Genui co do położenia, ilości pomników, elegancyi, zbytku marmurów, pierwsze we Włoszech zajmuje miejsce. Jest to jeden z najnowszych włoskich cmentarzy, terazniejsza architektura ednak może się nim pochlubić.

U stóp zielonej góry, dwoma innemi otoczony górami, w spokojnem zaciszu rozłożył się genueński cmentarz. Krużganki zamykające wielki kawał podnóża góry, imponujące rze-

dami wysokich kolumn, podnoszą się w stronie najwyższej położonej, a naprzeciwległej wchodowej bramie, w rodzaj rzymskiej świątyni, z wielką we środku rotundą. Przez środek cmentarza aż do imponujących marmurowych wschodów, prowadzących do rotundy, ciągnie się ulica wysadzona cyprysami, na wysokości wschodów zaś stoją kolosalne marmurowe postacie, zastosowane do miejsca smutku i strapienia. W rotundzie jest miejsce dla ludzi sławy, tam rozmawiają ze sobą duchy wielkich mężów włoskiej ojczyzny, przeobrażone w kamienne posągi. W pobocznych galeryach rzędy trumien wmurowanych w ścianę z tablicami z białego marmuru, gdzie niegdzie zaś pomnik, często znakomitem robiony dłutem.

Perspektywa w ugrupowaniu cmentarza na pagórku cudownie zachowana — za rotundą, na górze lasek cyprysowy, na którego ciemnym tle, tem piękniej rysują się kształty białych marmurów.

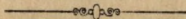
Taką samą rotundę, jako przybytek narodowej sławy spotykamy na cmentarzu w Bolonii, nieustępujący co do bogactwa pięknych rzeźb i co do rozległości, cmentarzowi w Genui, ostatni ten przybytek umarłych, ma jednak piękniejsze położenie, i nierównie gustowniejszą budowę.

Gdyby mi włoskie przyszło porównywać cmentarze z cmentarzem w środkowej Europie, gdzie brzoza z wierzbą płaczącą, często zastępują piękną marmurową rzeźbę, tobym znów musiał powiedzieć, że na włoskich cmentarzach zawisła więcej klasyczna, na naszych więcej romantyczna cecha. — Tam ganki regularne, rzędy kolumn otaczają czworobok, zasadzony strzyżonym cyprysem, albo ulicami niskiego bukszpanu, wszędzie linie proste, harmonijne, poważne, jednostajne jak śpiew kapłanów, co umarłemu towarzyszą do grobu; na naszych cmentarzach inaczej: tutaj się błądzi wśród różnorodnych drzew, różnorodnych pomników, a smętna myśl może gubić się w tym labiryncie krzyżów, złamanych kolumn, zgaszonych pochodni.

Na włoskim cmentarzu pod sznur wyciągnęły się groby i jak rytm klasycznego wiersza, jednostajną uderzają harmonią, rzędem w ścianę wmurowane grobowe napisy, rzędem stoją nagrobki, nieożywia ich szelest pochylonej brzozy, ani świeży kwiat przyjazną sadzony ręką, — tam nieśmiertelnik tylko

uformował się w jednostajne wieńce, i jeszcze więcej jednostajności do tego harmonijnego dodaje obrazu.

Więc też klasycznej piękności włoskiemu cmentarzowi odmówić nie można, w naszym jest jednak więcej poezji, więcej wdzięku. U nas można zapłakać pod drzewem, można usiąść, podumać nad grobem, można pogwarzyć z duchem drogiej nam osoby, tam trzeba szukać numeru grobowej tablicy, a ten biały symetryczny kamień, ziębi i mimowoli odtrąca, bo takich kamieni w tym samym rzędzie naliczysz kilkadziesiąt tysięcy, a jeden jak drugi ma dwie stopy szerokości, i na jednym jak na drugim formą przeznaczony napis.



II.

CIRCUS MAXIMUS — COLOSEUM.

I.

Włoska ziemia łatwo dawne wywołuje wspomnienia, proszę mi więc wybaczyć, że na chwilę cofnę się w przeszłość, i odtworzę ją według starożytnych autorów.

W roku 99 po Chryst. z początkiem panowania cesarza Trajana, dnia 28 kwietnia od świtu już niezwykle gwar i ruch panował na ulicach Rzymu, miasto było przepełnione cudzoziemcami z różnych kończyn świata, miejscowa ludność świąteczne przybrała szaty.

Podróźni co przybywali jeszcze z południowej Italii, czytali już na murach kolosalnych grobowców poustawianych wzdłuż *vii Apii*, że trzy dni trwać będą ludowe zabawy w Rzymie, że się obchodzi święto bogini Flory. Na piedestalu niejednego pomnika napisano ogłoszenie, że w cyrku odbędą się wyścigi, a w amfiteatrze Flawiuszów walki zwierząt i gladyatorów.

A więc to miały być Florealia, jedna z najprzyjemniejszych dla Rzymian uroczystości. Cieszyli się też wszyscy, prócz

kilku magnatów patrycyuszów, na których przyszła kolej, aby swe znaczenie i swe dostojęstwa sownie dzisiaj opłacić, zatkać usta krzykliwemu ludowi, wyprawić mu widowisko, i zarobić sobie na kilka miesięcy popularności.

W Rzymie droga była popularność!

Wąskie ulice, już z rana nie mogły pomieścić cisnącej się ludności. Poprzączone do kamienic sklepy, kantyny, pełne były gości, właściciele podwójną rachowali kredką. Wozom z ciężarami, z ładunkiem, jeździć dzisiaj nie było wolno, dwukoliste bigi powoli się tylko w tłumie toczyły — konie parskwały z niecierpliwości. Słudzy, niewolnicy, najwięcej zabierali miejsca, lada jaki bowiem rycerz prowadził koło siebie świętę z kilku składającą się niewolników, a każdy dostojnik otoczył się swymi klientami. Rzymski plebejusz zaś, urodzony i wychowany na bruku, gapił się, stawał na ulicy i oglądał od stóp do głów jakiego azyatyckiego księcia, przechodzącego w wysokiej czapce i złocistem szerokim ubraniu, albo barczystego Germanina z lśniącym mieczem u pasa.

Drzwi domów były umajone mirtem i dębina, a z okien spadały girlandy kwiatów, płaty kolorowych materyj i wschodnich tkanin.

Publiczność dążyła ku Kapitolowi, ztamtąd bowiem miał wyjść pochód rozpoczynający dzisiejszy festyn, ztamtąd miał wyjechać cesarz w bogatym stroju. Całe więc *forum romanum* i *via sacra*, literalnie były zapchane ciekawymi, co nie żałowali łokciów i słów obelżywych, aby sobie jak najlepsze wywalczyć miejsce. Pod kolumnami *Bazyliki Julii* tworzyły się kółka dyskutujące nad programem festynu, starsi krytykowali przygotowania i opowiadali młodszym cuda o studniowych uroczystościach podczas otwarcia Coloseum, gorętsi zakładali się o znaczne sumy, które konie dzisiaj zwyciężą: towarzystwo co ma niebieskie odznaki, czy też towarzystwo co oddawna zielonej trzyma się barwy.

Stronnicy cesarza robili zakłady na kolor zielony, bo cesarz jawnie protegował zielonych, malkontenci stawiali na niebieskich, a nawet i białych. — Co więcej, jakiś zabobonny amator koni z niebieskiej partyi, chodził do czarownika mieszkającego gdzieś za eskwilińskim pagórkiem, i drogo mu pła-

cił, aby tylko urzekł konie cesarskiego stronnictwa, i aby takowe w biegu okulały.

Znak dano nareszcie na Kapitolu, cesarskie gwardye zaczęły ludność rozpychać i tworzyć szpaler dla procesyi, co miała w powolnym pochodzie poruszać się aż do wielkiego cyrku. Muzyka zagrała i postąpiła naprzód, rozpoczynając procesyę, a słowo: *cezar!* — *cezar!* — przebiegało tłumy.

Cezar Trajan też rzeczywiście się pokazał ludowi; stał on na wysokim złocistym rydwanie w stroju tryumfującego wodza, trzymając w ręce berło ze słoniowej kości, ła na którym srebrny siadł orzeł. Wspaniała purpurowa toga w fałdy się układała, a nad głową cezara trzymał niewolnik wielki wieniec ze złotych liści dębowych drogimi wykładanych kamieniami. Za cezarem postępowali dygnitarze państwa, za nimi dopiero bogowie.

Młode dziewczątka w bieli, córki dostojnych rodzin, szły z koszykami kwiatów przed posągiem Flory, który na wspinających wieziono noszach, dalej na wielkich wozach z zaprzęgiem słońi, mułów lub koni, jechały posągi Minerwy, Jowisza Wenery. Procesya poruszała się pomału i poważnie, publiczność jednak nie mogła wstrzymać uczucia podziwu, radości lub niechęci, i w miarę jak w orszaku sympatyczne lub mniej ulubione spostrzegała postacie, wybuchała rzesystemi oklaskami, lub przytłumionym głosem niezadowolenia.

Znaczna część ludności czekała już w cyrku, i spieszyła do bram, aby o ile możności jak najlepsze znaleźć miejsca.

Cyrk kolosalnymi imponował rozmiarami, dolina pomiędzy Palatinem i Awentinem była jak gdyby dlań stworzona, a dzisiejsze ruiny, jeżeli już nie dają wyobrażenia o piękności gmachu, to przecież wskazują, że tam potężna stała budowla. Dwa niższe rzędy łóż i ławek, były z kamienia, cegły i marmuru, dwa wyższe opierały się tylko o marmurowe słupy, ale ściany i ławki z drzewa były zrobione. Cyrk naturalnie niczem nie był pokryty, a nawet siedzenia, prócz łoży cesarkiej i kilka łóż pobocznych, wystawione były na działanie promieni słońca, i nie miały dachów, jak nasze dzisiejsze trybuny.

Gdy cesarz się w łoży ukazał cała publiczność powstała ze swych siedzeń i radosnym okrzykiem przywitała pana ów-

czesnego świata, cesarz odpowiedział skinieniem głowy. Widzowie świętecznie byli przybrani, a etykieta wymagała, aby każdy obywatel rzymski mimo upału w obecności cesarza w białej się znajdował todze. W najniższym rzędzie ławek najbliższej areny znajdowali się patrycyusze i dostojnicy państwa, w drugim wyższym rzędzie siedziało rycerstwo, a wyżej tłoczyło się pospólstwo karmione funduszami państwa, skłonne do wybuchów, wyuzdany i zepsuty plebs.

Wyścigi w cyrku należały do najprzyjemniejszych zabaw ówczesnych Rzymian, nietylko bowiem, że się nadzwyczajnie interesowano towarzystwami co utrzymywały konie do biegu, ale nadto cyrk był miłym *rendez-vous*, i polem do popisania się strojami.

Nie wiem czy sławne kursa z ostatnich czasów, na których francuski koń Gładyator pobił konie własnością Anglików będące, wzbudzały tyle ciekawości, drażniły tak dalece dumę i ambicję, jak każde wyścigi w starożytnym Rzymie.

Zwykle bywało cztery towarzystwa utrzymujące wyścigowe konie i wozy, odróżniające się od siebie kolorem cyrkowych odznak. Było towarzystwo zielone, niebieskie, białe i czerwone. Do każdego towarzystwa należała pewna koterya rzymskiej arystokracji, i wyznaczała ze swego ramienia stałego dyrektora, który się zajmował utrzymywaniem zaprzęgów i urządzaniem biegów. — Na takich dyrektorów wybierano najznakomitszych sportsmanów, znających się najdoskonalej nietylko na rasach i hodowli koni, ale umiejących doskonale powozić, i przygotować uprząż, tak, aby towarzystwo mogło się pokusić o palmę pierwszeństwa, wobec trzech innych konkurentów.

Każde towarzystwo miało w cyrku swoich przyjaciół, a nawet płatną klakę pomiędzy pospólstwem, ztąd więc wrzały namiętności w zgromadzeniu, zanim jeszcze wyścigowe zaprzęgi ruszyły na arenę. — Nasze dzisiejsze towarzystwa chowu koni, kluby kursowe nie zdołają rzeczywiście wyrównać swoim starożytnym wzorom. Rzymskie towarzystwa rozporządzały ogromnemi kapitałami, miały własne stadniny, sprowadzały na wielką skalę konie z Hiszpanii, Sycylii, południowej Francji, żywiły mnóstwo koniuszych i furmanów. Czem u nas dzisiaj żokieje, tem byli u Rzymian stangreci, ponieważ zwyczajnie na ówczesnych wyścigach konie nie biegały pod jeźdzcami, ale w za-

przegu. Od zręczności, przytomności i wprawy więc trzymającego lejce, w znacznej części zależała wygrana a tem samem i sława towarzystwa.

Partye cyrkowe miały stajnie u stóp Kapitolu w pobliżu flamińskiego cyrku i trzymały na swe usługi mnóstwo rzemieślników, ujeżdźaczy, a nawet doktorów.

Cyrk był w ten sposób urządzony, że przez środek nizki prowadził mur niedochodzący naturalnie do obydwu osi areny, tak, ażeby wozy na około objechać mogły. Mur ten przeszkadzał tylko wozom, aby się zbyt nie rozbiegały i nie skracały sobie elipsy, którą objechać miały.

Za czterema bramami naprzeciw głównego wejścia do cyrku, zaprzężone cztery czekały wozy, publiczność nie widziała zaprzęgów dopóki prezes wyścigów nie dał sygnału do otwarcia bram.

Nareszcie przewodniczący wszedł na swój balkon nad główną znajdujący się bramą i rzucił białą chustkę na arenę. — Na ten sygnał skrzypnęły wrzeczadze, bramy się otwały, a cztery wozy, każdy zaprzężony czterema końmi w poręcz, wypadły na arenę w najszybszym biegu.

Wozy były małe, dwukoliste bigi pomalowane kolorem partyi, do której należały, w środku stał stangret w podpiętej tunice, w czapce zachodzącej na uszy, wypolstrowanej, aby możebne uderzenie nie tak było dotkliwem, w rękę trzymał lejce, a biczem poganiał bieguny.

Niezmierzone morze publiczności zawrzało, roznamiętnienie się tłumów doszło do najwyższego stopnia. Stangret w niebieskiej tunice, powożący czterema sycylijskimi końmi zaczynał inne wyprzedzać wozy.

Scorpuo! Scorpuo! wołano zewsząd, a było to nazwisko stangreta, jednego ze znakomitości swego czasu. Wyprzedzającego wzbijano w ambicyę, pobudzano go, aby używał wszelkich sprężyn swej sztuki do osiągnięcia zwycięstwa. Kobiety z wyższych rzędów powiewały chustkami na znak radości; jak gdyby Scorpuo widział w tej chwili coś więcej prócz swoich koni i szerokiej areny. Stangret ten niejednokrotnie już wygrał wyścigi, towarzystwa go sobie podkupywały, kobiety obсыpywały go podarunkami, młodzież uczyła się od niego powozić. Scorpuo wygrał raz bieg ośmioma końmi w poręcz,

podczas gdy jego przeciwnicy mieli tylko po trzy konie. — Publiczność również znała i konie niebieskiego stronnictwa, nawiska biegunów przechodziły z ust do ust, rodowody koni były tak rozpowszechnione i tak na nie uważano, jak na rodowody naszych Sygnałów i Kukułek. Na łąkach Apulii i Kalabrii z największą znajomością rzeczy, hodowano stada biegunów, posyłano koniuszych do Hiszpanii, Afryki i Sycylii, aby co lepsze zakupować konie, i krzyżować rasy, odpowiednio do potrzeb areny.

Siedm razy musiały wozy objechać arenę, i przebiez tym sposobem blisko jedną austriacką milę. — Największa trudność zależała na dobrem skręceniu około tylnej mety, tam starały się wozy jechać jak najbliżej środka, aby sobie skrócić drogę, wskutek tego jednak bardzo często następowało zderzenie, a wozy rozbijały się w kawałki. Niejeden znakomity stangret znalazł tam śmierć wśród oklasków roznamiętnionej publiczności.

Scorpuo trzymał się dobrze przez trzy prawie biegi, za czwartym razem zaczął się wysuwać wóz zielony, białymi z Kapadocyi zaprzężony końmi. Na ręce szedł koń Tigris, i porywał za sobą całą trójkę, Tigris przyczynił się już raz do wygranej w Antiochii i dwa razy w Rzymie. W miarę jak zielony stangret naprzód się wysuwał, kolor zielony należał bowiem do partyi cesarskiej, w łoży cesarskiej i na honorowych miejscach widoczna powstała radość. Górne natomiast teatralne sfery sykaniem okazywały swoje niezadowolenie, urządzona jednak przez policję klaka wkrótce przygłuszyła sykanie, a grzmot oklasków zachęcał zielonego stangreta do pokuszenia się o sowitą nagrodę.

Kilkanaście minut upłynęło, zielony wóz przejechał po raz siódmy linię pociągniętą kredą na ziemi — zieleni zwyciężyli, Cezar z radością wychylił się z łoży zobaczyć spienione rumaki — przeciągłe okrzyki nie miały końca.

Lecz jak się nazywa stangret pytano zewsząd? — był to młody uczeń Scorpuo — Hierocles. — Składki się natychmiast posypały na nagrodę dla dzielnego stangreta; zebrano piętnaście worków złota. — Hierocles stał się bohaterem dnia, w kilka miesięcy jego posąg stał przed cyrkiem a panie rzym-

skie z upodobaniem kupowały sobie marmurowe popiersie zwycięzcy.

Po pierwszym biegu, niewolnicy z kosztami wybiegli na arenę i posypali ją zielonym piaskiem i (Chrysocolla), tor należał do zwycięzców!

Biegów było sześć, w przestankach słudzy cesarscy roznosili pomiędzy gości ciasta i owoce, w wyższych teatralnych regionach rozdawali chleb, gotowany groch i inne przysmaki rzymskiego ludu.

Do jakiego stopnia dochodził za czasów rzymskich cesarzy szła z powodu wyścigów, możemy się o tem ztąd najlepiej przekonać, że sami nawet cesarze otoczeni aureolą potęgi i władzy nie mogli się wstrzymać, aby nie stawać w szranki razem z innymi stangretami. Karakalla mieszkał prawie w stajni pomiędzy wyścigowymi końmi. Nero wygrywał często najtrudniejsze biegi. Kaligula do tego stopnia obawiał się o zwycięstwo swej zielonej partyi, że kazał potajemnie potruć najlepsze konie partyi przeciwnej, a Juwenal z ironią powiada, że gdyby „zieleni“ przegrali w cyrku, toby Rzym bardziej był strapiony i większyby publicznością zawładnął popłoch, aniżeli po przegranej bitwie pod Kannami.

Festyny w czasie „Florealiów“ nie skończyły się jednak na wyścigach w cyrku, wyścigi były tylko początkiem daleko świetniejszych zabaw, które się odbywały drugiego i trzeciego dnia w amfiteatrze Flawiuszów — w Coloseum. Chcąc mieć o ile się da dokładny obraz tych uroczystości, wybornie charakteryzujących zepsuty świat rzymski, idźmy z chciwą widowską publicznością — do amfiteatru, przypatrzmy się walce zwierząt, mocowaniu się gladyatorów, spojrzymy na tych, co stawali przed cesarzem, z grobowem pozdrowieniem: *morituri ts salutant*.

II.

Nie masz ruiny, coby potężniejsze robiła wrażenie — jak Coloseum; ogromny ten pierścień, zdaje się że starożytność zamknął w sobie, taką grozą i taką przejmuje powagą. Na zewnątrz dziwią cię te kolosalne słupy z bloków trawertynu, te śmiałe sklepienia, ta nieskończona ilość arkad, niewzruszenie

na sobie spoczywających, lecz gdy wejdiesz do środka, to oniemiejesz z podziwu, i powiesz: że wielki to naród być musiał, co takie po sobie pozostawił dzieła! Gdzie spojrzysz wokoło pierścień murów zamyka ci horyzont, arkady i galerie piętrzą się w górę, w coraz rozleglejsze kręgi, a odłamy marmurów każą ci starożytną podziwiać sztukę. Po tych odłamach, jak po kościach mamuta możesz sobie budować w fantazyi ów gmach, gdy jeszcze w całej stał świeżości, gdy jeszcze z jego łuków Paweł II nie wybudował pałacu Weneckiego, gdy jeszcze Bramante nie wznosił gma- „Kancelaryi“, a Paweł III pałacu „Farnese“. — Wieki średnie sprzyściły się na zagładę tego największego pomnika starożytności, ruiny służyły upadłemu Rzymowi za kamieniołom, za kopalnie wapna i żelaza. Z piekielną starannością wydzielano z murów żelazne klamry, tak że dzisiaj nie ma na ścianach sążnia powierzchni, na którejby nie było głębokich dziur, śladu owych Wandalów. A przecież mimo to zniszczenie ruiny te nie mają jeszcze sobie podobnych, a jakiś architekt przeszłego wieku oszacował wartość znajdującego się w nich kamienia na 8 milionów franków.

Jak cały Rzym, tak Coloseum dziwne przechodziło koleje, a gdyby ten olbrzym mógł mówić, toby nam różne ciekawe opowiadał rzeczy. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa Coloseum opierało się jeszcze zniszczeniu, a dopiero od r. 1084 kiedy Robert Guiscard zniszczył znaczną część miasta pomiędzy pagórką „Cōlius“ i Kapitołem — datuje się jego upadek. Domowe wojny przyczyniały się coraz bardziej do zamienienia tego gmachu w ruinę, w XII i XIII wieku Coloseum służyło najczęściej za twierdzę dla Frangipanich. Z początkiem XIV stulecia przeszło na własność rzymskiego ludu a ów lud chciał jeszcze dawne sobie przypomnieć czasy, gdzie krzyczał; *panem et circenses!*“ i wyprawił na arenie zboczonej krwią starożytnych gladyatorów — walkę byków. Sproszono więc baronów z całej okolicy, trzy znakomite damy wskazywały miejsca kobietom z miasta, ogłaszano zazwiska walczących, ich kolory i dewizę!

Średniowieczna rycerskość podała tutaj rękę starożytnym krwiożerczym igrzyskom,

Padło na tym dniu ośmnastu rycerzy i jedenaście byków, zwierzęta zwyciężyły. Trupy zabitych paladynów z wielką

pompą pogrzebano w kruchtach kościoła św. Maryi Maggiore i św. Jana z Lateranu.

Zbrodnia jednak po wszystkie wieki lubiła mieszkać w murach Coloseum, tutaj przecież miała niezliczoną ilość kryjówek i podziemi, do których światło dzienne nie dochodzi. Wkrótce też włoscy bryganci, te ruiny obrali sobie za siedlisko i spać nie dawali zgrzybiałemu Rzymowi. Więc się staruszek obruszył, zebrał wszystkie siły, wypędził rabusiów, a trzecią część ruin darował bractwu kaplicy *sancto sanctorum*, w uznaniu jego zasług około wytepienia rozbojników. Bractwo w Coloseum założyło szpital, urządziwszy w tym celu kilka korytarzy w górnych piętrach. — Szpitalowi się tam jednakże nie wiodło, i przeniesiono go do Lateranu.

Coloseum było już teatrem, było miejscem wykonywania wyroków śmierci, było fortecą, kamieniołomem, kryjówką rozbojników i szpitalem, ale nie było jeszcze przybytkiem ascetów, i miejscem dla chrześcijańskich religijnych obrzędów. Więc w późniejszych wiekach urządzono w jednej arkadzie kaplicę, i kazano tam mieszkać pustelnikowi, a nad pustelnią powstał teatrzyk, w którym w wielki piątek przedstawiano sceny z męki Chrystusa Pana. W ostatnich czasach postawiono na około areny, ołtarzyki ze stacyami, na środku krzyż drewniany i wmurowano tablicę wskazującą modły i odpusty.

U bramy służącej obecnie za wejście do Coloseum mieszka portyer, a po krawędziach łuków tysiącami gnieźdzą się kawki, i jaszczurki się wygrzewają na rozpalonym od słońca kamieni.

Niedawno jeszcze temu, a na tych murach rósł las akacyi, róż, mirtów, kamelii i rododendorów, i gdy tam był Gethe i Byron, to ich fantazyja upajała się tym gajem, co się zielecił na ziemi użyznionej krwią gladyatorów. Posłuchajmy Byrona:

Na łukach łuki — jakby stanąć miała,
 Z jasnego wieńca, wiecznej Rzymian chwały,
 Z tryumfów blasku — potężna świątynia,
 To Coloseum! — Na nim blask księżycy,
 Pochodni nocy, spoczął srebrny, biały.

.....

I gdy to światło po arkadach goni,
 I na nich tańcząc, śmieje się radośnie,
 A gwiazdy błyszczą, przez stare szczeliny.
 I wiatru powiew przebiega ruiny.
 Szeleszcząc w gaju, co na murach rośnie
 (Jak laur zielony, na Cezara skroni)
 Wtędy umarłym pękają okowy
 Co na arenie pokładli swe głowy.

Dzisiaj nie ma już owego gaju, co wyglądał jak „laur zielony co na Cezara skroni.“ — Korzenie drzew rozsadzały mury, konserwator więc ruin rzymskich kazał zniszczyć zielone kłęby. były najpiękniejszą tych ruin ozdobą. Z potężnymi ruinami Coloseum związała się przepowiednia:

A Rzym tak długo stać będzie wśród chwały,
 Dokąd potężne Coloseum stoi,
 Lecz gdy Rzym runie, to ruinie świat cały,
 Bo tak powiedział pielgrzym z Albionu,
 Gdy hołd był złożyć u cesarów tronu.

.....

Tak śpiewał Childe Harold, a gdy dzisiaj jeszcze patrzymy na ruiny amfiteatru Flawiuszów, to doprawdy przychodzi nam na myśl przepowiednia pątników z VIII wieku, gdyż prawie się zdaje niepodobnem, aby czas miał zniszczyć te kolosalne masy kamieni, albo aby się jeszcze znaleźli Wandali, co by przyłożyli rękę do zniszczenia, tego zabytku wielkiej rzymskiej przeszłości.

Podziwiamy wynalazki, budowle dzisiejszych czasów, dumni jesteśmy z tunelu przez Mont-Cenis, z dróg żelaznych po Brenerach i Gothardach, z telegrafów podmorskich i pancernych statków, ale zaiste owa rzymska starożytność mogłaby się z nami zmierzyć. Boć nie potrzebujemy jak tylko spojrzeć na owe ogromne bloki porfirowe, z których zrobiono słupy Panteonu, Coloseum a nawet takiego teatru w *Puzzuoli*, nie potrzebujemy jak tylko zastanowić się z jakim mozołem sprowadzano te porfiry z Afryki, aby sobie zrobić wyobrażenie o machinach, o kapitałach, o środkach, jakimi rozporządzała starożytna Roma. Samych amfiteatrów budowanych w podobny sposób jak Coloseum, było we Włoszech wraz z Sycylią siedm-

dziesiąt ośm, a prócz tego więcej jak drugie tyle w innych prowincjach rzymskiego państwa. Większa część tych budowli imponowała swym ogromem, a chociaż amfiteatrowi Flawiuszów należy się pierwszeństwo, to przecie taki amfiteatr w Capuy, w Putuoli, w Weronie, a nawet w Pompei swemi rozmiarami mało się co różnią od rzymskiego Coloseum. — Wróćmy się jednak do naszych Florealiów, i przypatrzmy się bliżej temu, czem się bawił rzymski lud i co mu wyrывało z ust okrzyki podziwu.

W drugi dzień Florealiów Cezar nie przybył zrana do amfiteatru, gdyż miały się tam odbywać walki zwierząt, zabawa która dla niego już straciła urok. Ów Cezar co mógł polować na niedźwiedzie w lasach Germanii, dla którego w całym świecie ówczesnym konserwowano lwy i słonie w pustyniach, nie znajdował już przyjemności w tem, jak słoń będzie się produkował na arenie różnemi sztukami, albo też jak niedźwiedź z bawołem będą się pasować.

Coloseum daleko świetniej wyglądało, aniżeli cyrk, przyczyniała się do tego już to sama wspaniała budowla, już to różne przybory, sceniczne, uświetniające każde widowisko. Nad całym amfiteatrem rozwinięte było ogromne płótno zasłaniające widzów przed promieniami słońca. Płótno to przymocowano do wielkich masztów na najwyższych piętrach, a żołnierze z cesarskiej marynarki pilnowali powrozów.

Widzowie zastali już scenę zmienioną w dziki, dziewiczy las. Pinie, dęby powyrastały z pod ziemi, aby odpowiednią przedstawieniu dać dekorację, pomiędzy drzewami zaś pokazywano ludowi najrozmaitsze południowe zwierzęta. Więc wyprowadzono najprzód 32 słoniów, potem 10 tygrysów, 60 łańskawionych lwów, 30 leopardów, 10 hyen i rinocerosa, 1 hipopotama, 10 żyraf, 20 dzikich osłów i 40 dzikich koni. To było niejako przedstawienie ludowi tych ciekawości w jakie obfitowały cesarskie zwierzyńce. Właściwa uroczystość zaczęła się zaś od tego, że nadzorca zwierzyńców wjechał na arenę paradnym wozem, zaprzągniętym parą jeleni, a za wozem spokojnie i poważnie postępował lew ze złoconą grzywą. Wóz się

zatrzymał na środku areny, nadzorca z klatki wypuścił zająca na arenę, i rzucił znaczące spojrzenie na lwa. Lew gonił po arenie biednego zająca, i przyniósł go żywego w zębach swemu panu, za co go pogłaskał pogromca dzikich zwierząt.

Pod względem ułaskawiania zwierząt starożytni daleko wyżej stali, aniżeli dzisiejsi właściciele menażeryi, ówczesni pisarze opowiadają nam pod tym względem rzeczy prawie nie do uwierzenia. Zaprzęgano do wozów pantery, słonie niosły pochodnie przed Cezarem, gdy późno w noc wracał do domu. Marcus Aurelius przejeżdżał się z tancerką zwaną „Cytheris“ na wozie lwami zaprzężonym, słonie chodziły po linach i piisały po łacinie. Pliniusz opowiada, że raz podpatrzono słonia mniej pojętnego od innych swoich towarzyszków nauki, jak w nocy sam się ćwiczył w tych skokach których go wczoraj uczono.

Po przedstawieniu zwierząt i niewinnej zabawie z zającem, drzewa się zapadły pod areną, arena pusta została, przygotowano ją bowiem do innych zabaw. Z klatki na boku ukrytej wypuszczono rozdrażnionego dzikiego wołu, i rzucono mu wielką słomianą lalkę, w pasowe obszytą suknie. Wół coraz bardziej się rozjątrzał pasowym kolorem, i gdy już uważano że zwierz dzikim rzuca wzrokiem, wypuszczono z innej klatki ogromnego północnego niedźwiedzia. Publiczność była w swoim żywiole, szmer, oklaski wzbierały jak morze burzą miotane, oblicza widzów krwią pozachodziły, a oczy namiętne rzucały spojrzenia. Bawół zwyciężył, publiczność obsypywała go oklaskami, ale wśród oklasków padł i sam zwycięzca, obok przeciwnika, wskutek odniesionych ran.

Amfiteatr nie dał widzom ochłonać, gdyż zaledwie uprzętnięto trupy poprzednich zapaśników i posypano świeżym piaskiem arenę, a już wypuszczono z klatek kilka panter, niedźwiedzi i hyen i kilku strzelców z psami z brytańskiej rasy wystąpiło na polowanie. Rzymska publiczność znosiła już tylko polowania, z tak narkotyczną przyprawą. Więc znów zapasy, więc znów strumienie krwi i kilka trupów, tym razem nie tylko zwierzęcych, ale ludzkich. Dyrekcyja amfiteatru umiała widowisko w ten sposób urządzać, aby widzów wprowadzać stosunkowo w coraz to większe roznamiętnienie i tym sposobem w ciągłej ich utrzymywać ciekawości.

Można sobie wyobrazić jaki brak serca, jakie poniewieranie uczuć panowało w tym cesarskim Rzymie, jeżeli kobiety ciągle spoglądały na tego rodzaju krwawe zapasy, jeżeli rany śmiertelne i dzikie walki były dla nich najprzyjemniejszym widowiskiem. To też ówczesni pisarze najsmutniejszy dają nam obraz obyczajów; w cesarskim Rzymie nie było owych kobiet, które Dumas (L'homme-femme) nazywa: *les femmes de temple*, tu i owdzie błyszczała jeszcze *une femme de foyer*, ale napis *les femme de rue, les hétaires*, był najwłaściwszym dla ogółu kobiet.

Dwunastoletnie za ledwie dziewczątka wydawano za mąż, dla stosunków, dla pieniędzy, dla interesu, i niewinne dziecko oddawano w ręce człowieka, który również niczego innego nie pragnął jak interesu, stosunków lub pieniędzy. W kobiecie mężatce dopiero budziło się serce, ale budziło się już dla kogo innego, a nie dla męża, ztąd ciągle rozwody, lub małżeństwo z tytułu tylko istniejące. Z goryczą powiada Seneka, że są kobiety, co lata swe liczą według liczby mężów, a nie podług konsulatów, a ironia Seneki nie zdaje się być nieprawdopodobną, gdyż i Juwenal potwierdza ten smutny stan. Niektóre kobiety — mówi ten ostatni pisarz — już się rozwodzą z mężami zanim zwiędły zielone gałęzie, co zdobyły drzwi domu podczas ich wesela, a są kobiety co w ten sposób doszły do poważnej liczby ośmiu mężów w przeciągu lat pięciu.

Do tych rozwodów, do tej niemoralności, niemało się przy czyniło Coloseum, niemało się przyczyniły teatry. Proszę przeczytać „Księgę miłości (Liber amorum) Owidiusza, a łatwo się można przekonać, jak amfiteatr, cyrki i teatry służyły za miejsca, w których się wszelkie miłosne zawięzywały stosunki. — W teatrze, w cyrku — powiada Owidiusz, najłatwiej zawiązać znajomość; piękna sąsiadka zachwyca się np. stangretem co wyprzedza innych, wtedy jej sąsiad może podszeptać: ach gdybym ja był owym szczęśliwym stangretem! — usunie się sąsiadce poduszka, rzeczą kawalera wyrzucić grzeczność sąsiadce, i poduszkę poprawić. Może stołeczka pod nogi potrzeba? jaka zachwycajca sposoabność, wejść w bliższą ze sąsiadką znajomość! — Gdy słońce mocno przypieka, czyż nie najlepsza sposobność, aby zrobić aluzyę do gorących promieni jakie z oczu sąsiadki padają? — Koniec końców Owidiusz ty-

siężne umie swym czytelnikom podać rady, jak skorzystać z przestanków między przedstawieniami w amfiteatrze, w jaki sposób najłatwiej dojść do oświadczenia swych miłosnych zapaleń! A Owidyusz nie nie pisał, czegoby w życiu nie widział, był to wierny syn swoich czasów, z gruntu zepsuty, posiadający prześliczną formę w wystąpieniu się, poeta pełen wdzięku i świeżości, ale też nawet pomiędzy dzisiejszymi poetami trudnoby nam kogoś znaleźć, ktoby w tak słodkim napoju, tyle groźnej na świat wylewał trucizny.

Jednego razu wieczorem byłem w Coloseum świadkiem rzeczy któraby Owidyuszowi sprawiła wielką radość, gdyby się wiadomość o niej jakim sposobem do niego dostać mogła. Poeta wygnaniec mówi, że Coloseum to najmiłsze Amorka mieszkanie, jakże onby się cieszył gdyby się dowiedział, że i obecnie amerek tamtędy z zawiązanymi chodzi oczyma.

Wychodziłem właśnie z Coloseum wśród przepysznej, księżycowej nocy, gdy słyszę jakieś śmiechy, jakieś wesołe głosy, wracam więc, a zamiast owych duchów gladiatorów, które wywoływał Byron, widzę jak kilku Włochów i kilka cór z pod Kapitolu grają: w ślepiach babkę.

Kobietom pozawiazywano oczy, poustawiano je w różnych stronach na arenie wokoło drewnianego krzyża, co się na środku znajduje, a zabawa niby na tem zależała, aby wesołe Rzymianki trafiły po ciemku do krzyża. Każda z nich miała przy sobie towarzysza, opiekuna, co ją miał sprowadzić z bezdrożów. Ów opiekun zdaje się jednak, że nie zawsze wyznaczał poprzednio umówioną metę pod krzyżem, gdyż jak uważałem, jedna tylko starsza babka z zawiązanymi oczyma znalazła się pod krzyżem, reszta nie trafiła do środka, ale zabłądziła w cieniach starożytnych arkad. Po chwili dopiero jak przepiórki na łanie pszenicy odzywały się pogubione Rzymianki, znajdowały się nawzajem z wielką trudnością, pomimo że chustki już nie było na oczach... i wśród śmiechu i śpiewu wracały do domu.

Jeżeli duch Owidyusza widział te zabawy, to sobie z radości ręce zacierał.

Świat się kołem toczy: dzisiaj śpiewaczki, artystki co zbierają oklaski na deskach teatralnych, mają dla nas wiele uroku; za rzymskich cesarzy kobiety wielkiego świata, lwice

rzymskich towarzystw szalały za artystami z komedyi i pantomimy, za stangretami z cyrku, a nawet za gladyatorami. Stosunek w kołach amfiteatralnych należały do dobrego tonu, a niejedna Rzymianka, znikła naraz z grona rodziny, i pojechała z jakim atletą do Afryki, lub do południowej Francji. Cesarze nieraz mieli w cyrkowych kochankach najniebezpieczniejszych rywali. Domicyan kazał zamordować pantomimika Parysa za to, że miał stosunek z kobietą, którą on uwielbiał. Zemsta się jednak na nic nie przydała, Parys pozostał w pamięci kobiety, a na miejscu gdzie został zamordowany, odtąd niewidoma rączka siała kwiaty i wonne wylewała olejki. Marcus Aurelius także niejedno miał do zniesienia z tego powodu, że jego Faustyna szalenie się kochała, w jakimś cyrkowym artyście. Nie dobrze było być mężem za owych czasów, i wcale nam nie dziw, że nikt się żenić nie chciał, i że nakładano podatki na starych kawalerów.

Widzimy więc, że antrakty w amfiteatrze, pełne były najróżnorodniejszych intryg, ciekawych zdarzeń i że publiczność rzymska nie próżnowała.

Wróćmy jednak do naszych florealiów, do przedstawienia.

Po południu gdy słońce się trochę pochyliło, arena na nowo się ożywiać zaczęła, Cezar ukazał się w swej loży, miała się bowiem odbyć walka gladyatorów. Nie zawsze mamy dobre wyobrażenie o rzymskich gladyatorach, zdaje nam się często, że gladyatorami byli tylko niewolnicy, gdzie w północnych zdobyci wojnach, że to byli owi atleci z krótkimi kędzierzawymi włosami, których znamy z posągów. Większość gladyatorów rzeczywiście rekrutowano pomiędzy niewolnikami i przyuczano ich do występowania w arenie, w osobnych szkołach, gdzie straszna zachowana była dyscyplina, istniało jednak wielu gladyatorów z amatorstwa, gladyatorów z powołania, którzy po ojcu i dziadzie zawód ten dostawali w spuściźnie. Zawód bowiem gladyatora bywał czasem bardzo korzystnym, trzeba tylko było dobrze robić broń i mieć żelazne muszkuły. Takich gladyatorów hojnie płacono, i obdarzano ich najróżnorodniejszymi podarunkami. Tyberyusz zapłacił raz wysłużonemu gladyatorowi za jedno wystąpienie w cyrku sto tysięcy sesterów. Zresztą jak powiedzieliśmy, kobiety nie były obojętne na spojrzenia gladyatorów, poeci sławili ich bohaterskie czyny,

portrety znakomitych ludzi tego zawodu, malowano na talezrach i półmiskach, na lampach i szklankach, rzeźbiono je w drogich kamieniach,

Po ostatniej wojnie francuskiej portrety Bismarka i Moltkiego można było spotkać w każdym kroku w Berlinie. Kobiety nosiły brosze z popiersiem Moltkiego, na batystowej chustce do nosa figurował Bismark, laski ozdobione były głową największego strategika dzisiejszych czasów, słowem nie można było kroku zrobić pod „Lipami“ nie widząc naraz pięćdziesięciu przynajmniej Moltkich i Bismarków.

Według opisów rzymskich autorów; do takiej czci za ich czasów dochodzili tylko gladyatorzy, a gdy którego lubiła publiczność, to nie było marmurowej ściany nagrobku, nie było świątyni lub pańskiej komnaty, gdzieby jego zwycięstwa rzeźbą i pędzlem nie były sławione.

W robieniu bronią tak jak gladyatorzy, ćwiczyli się nawet cesarze. Tytus, Hadryan, co więcej Commodus występował w amfiteatrze publicznie jako czynny gladyator, Domicyan walczył na arenie z dzikimi zwierzętami, Caracalla i Geta, żył prawie zawsze tylko w towarzystwie gladyatorów.

W Rzymie prowadzono ogromny handel gladyatorami; wielcy panowie, cesarze, trzymali nieraz po kilkudziesięciu gladyatorów, podobnie jak na stajni wyścigowe konie, i podczas gdy konie ich zwyciężały na rzymskiej arenie, równocześnie ten lub ów gladyator zwyciężył w Capuy lub na Pozilipie. Powodzenie jakie mieli gladyatorzy wyradzało w nich pewną ambicję, pewną dumę na swoje zatrudnienie, niejednokrotnie buntowali się cesarscy gladyatorowie, że im rzadko kazano występować: oni pragnęli oklasków, pragnęli walczyć na arenie i wywoływać z ust widzów okrzyki podziwu.

„Najpiękniejsze lata schodzą mi na niczem!“ skarżył się jeden gladyator, któremu nie pozwolono przez dłuższy czas występować... Zamiłowanie swego zawodu i gladyatorska duma dochodziły do tego stopnia, że ci ludzie nie chcieli walczyć ze słabszymi od siebie, a najcięższe rany otrzymawszy, jednym słowem się nie zdradzali, dopóki wpływ krwi nie zmusił ich do puszczenia oręża.

Gdy zwyciężony gladyator upadł na arenę, a rany były ciężkie, to mu na arenie ostatni cios zadawano. Publiczność

mogła mu darować życie, trzeba tylko było, aby podniósł palec do góry, na znak, że chce żyć. Widzowie odpowiadali zwykle powiewaniem chustek, co miało go od śmierci uwolnić; bardzo się wszakże często zdarzało, że cyrkowy bohater uważał niegodnym siebie prosić się o życie, i nie podniósł palca, tak że publiczność z własnego popędu chustkami powiewać zaczęła...

W gladyatorach znajdujemy bardzo często dziwne przywiązanie do swoich panów. Gdy po bitwie pod Actium książęta i narody odstąpiły przegraną sprawę Marka Antoniusza, gdy nikt przy nim nie pozostał, jedni gladyatorzy go nie opuścili. Miał on ich w *Wizykos* w Syrii na pogotowiu, ażeby występowali w tryumfalnych festynach, którymi myślał swe zwycięstwa obchodzić. Skoro do nich doszła wiadomość o klęsce Antoniusza wszyscy jak jeden mąż wyruszyli do Egiptu i chcieli się przebić do swego pana przez nieprzyjacielskie wojska, aby mu pójść w pomoc; gdy jednak zamiar ich nie był wykonalnym, posłali jednego z pomiędzy siebie wzywając Antoniusza, aby przybył do nich do Syrii, stanął na ich czele, a wszyscy mu wierni pozostaną. Naturalnie Antoniusz nie mógł już korzystać ze wspaniałomyślnego poświęcenia kilkuset ludzi.

Zobaczymy więc działających gladyatorów.

Przedstawienie zaczęło się od pochodu gladyatorów, od przedstawienia się publiczności i cesarzowi. W pysznych strojach, z lśniącą bronią i różnokolorowymi pióropuszcami na hełmach, przeszli gladyatorowie w wojskowym ordynku na około areny, a stanąwszy przed cesarską lożą zawołali tylekroć powtarzane: „morituri te salutant!“ Po tem pozdrowieniu rozszli się ci co nie mieli walczyć, dwóch tylko pozostało zapasników.

Komuż co był w Watykanie, nie pozostali w pamięci owi dwaj gladyatorowie Kanowy co tak się mierzą, tak wyprężyli muskuły, aby sobie zadać śmiertelny cios. Z taką oni tam stoją prawdą, jak gdyby nie byli wykuci dłutem rzeźbiarza, ale jak gdyby w arenie wzajemnej przestraszyli się siły, i skamienieli, aby służyć potomności za dostarczający przykład spaczenia wyobrażeń ludzkości.

Tak stanęli dwaj atleci: Kliton i Poliander, obydwaj prawie nadzy ze sztyletem w jednej, a z siecią w drugiej ręce,

Sieć służyła do zarzucania jej na głowę przeciwnika, aby go tem łatwiej ostrem dosięgnąć żelazem. Obydwaj wprawni, obydwaj zręczni — wychowawcy szkoły w Praeneste. Jak przy dzisiejszych pojedynkach są pewne formy, pewne wyuczone cięcia, tak i rzymscy gladyatorowie mieli ściśle przepisany sposób walczenia. Zapaśnicy nie mogli napaść na siebie bez zarzucenia sieci, wszak publiczność potrzebowała się bawić, potrzebowała szukać zadowolenia w niepewności walki, a żelazo wkrótceby przyjemności przerwało; więc też sieć przedłużała walkę, robiła ją bardziej interesującą. Dopiero się zdawało, że Kliton uwikłał się w zdradliwą sieć, i że go już dosięgnie sztylet przeciwnika, a tymczasem zręcznie zarzucił sidła i właśnie przeciwnikowi ręce zaplątał. Po półgodzinnem szamotaniu się, krew strumieniem trysła z boku Klitona, grzmiące oklaski przywołały zwycięzcę.

Kliton podniósł palec do góry, chciał żyć, publiczność dobrze się bawiła, więc była łaskawa, tysiące chustek zawiąło nad ławkami, — Klitona odniesiono do szpitalu.

Roznamiętnione tłumy nie mogły spoczywać, pragnęły więcej, coraz więcej krwi. Więc już nie dwóch, ale kilkunastu wystąpiło gladyatorów: ośmiu z jednej, ośmiu z drugiej strony, ośmiu *Sekutorow*, ośmiu *Myrmillonów*.

Pierwsi lekko uzbrojeni w hełm, tarczę i miecz, drudzy w ciężkiej zbroi. Znów się zaczęły zapasy, tym razem już nie osoby, ale po wojennemu: całego zastępu przeciw nieprzyjacielskiemu zastępowi.

Walka trwała dłużej, dzikich wrażeń, okrzyków coraz więcej, furye zdawały się dodawać zapału publiczności.

Wreszcie trzech tylko zostało Sekutorów, trzech co się ochronili przed ostrzem miecza, reszta tarzała się we krwi, a jęki boleści odbijały się o rozciągnięte nad areną płótno. Trupy wyniesiono „bramą bogini śmierci“, zabawy się na dzisiaj skończyły, lud był zadowolony z Cezara i z senatorów.

Na trzy dni jednak zapowiedziano ludowi zabawy, więc dnia trzeciego rzecz najciekawsza: bitwa morska na okrętach, tak zwane *Naumachie*. I rzeczywiście trzeciego dnia całą arenę zalewano wodą, z amfiteatru zrobiło się jezioro, na niem szykowało się z jednej i z drugiej strony po cztery małe okręty. Każdy mający na sobie po dwudziestu ludzi. Trzy okręty przedstawiały

własność *Korcyrejczyków*, a trzy *Kreteńczyków*. Dla większego złudzenia napuszczano do wody mnóstwo ryb morskich, które całemu obrazowi tem większego nadawały życia.

W takiej bitwie morskiej najważniejszą bronią były oseeki, niemi starano się przyciągnąć nieprzyjcielski okręt, wskoczyć na pokład, wymordować lub potopić wiosłarzy i załogę, i zyskać tym sposobem oklaski.

Naumachie urządzano z wielkim przepychem, a bywało że umyślne w tym celu kopano jeziora. Juliusz Cezar kazał wykopać takie jezioro na polu marsowem, mniej więcej tam, gdzie dzisiaj się znajduje pałac „Farnese“, i kazał wystąpić flotom, na których z jednej i drugiej strony walczyło po 2000 wiosłarzy, i po 1000 żołnierzy.

My urządzamy dzisiaj na berlińskich zjazdach monstrualne koncerty, na których tysiąc się produkuje muzykantów, sprawiamy iluminacje z milionów świateł, nasze zabawy więc nie szkodliwe, ale za to starożytni nie znali dział Kruppa, i karabinów co niosą na 1200 kroków, nie znali wojen, po których w jednym roku połowa ludności chodzi w żałobie, więc też nie mamy sobie nic do wyrzucenia, a gdyby ścisły przeprowadzić rachunek, to kto wie, która strona z tego porównania wyszłaby zwycięzko.

Ludzkie namiętności zawsze te same, inną tylko przybierają formę!

Czyż angielscy bokсарze i hiszpańskie walki byków ustępują w czemkolwiek rzymskim gladyatorom i walkom zwierząt w amfiteatrze? Hiszpańskie walki byków mają nawet jeden zwyczaj bardzo przypominający Coloseum Flawiuszów.

Na rzymskiej arenie publiczność powiewem chustek rozstrzygała o życiu lub śmierci zwyciężonych gladyatorów, w Hiszpanii przy walkach byków ten sam zachował się zwyczaj. Muncypium, magistrat, zwykle przewodniczy, a skoro jeźdźcy i „*piccadores*“ pokonali byka, i zwierze krwawi arenę, występuje *matador* kłania się publiczności i prosi o pozwolenie zabicia zwierzęcia.

Czułego serca Hiszpanki powiewają dopiero chusteczkami do nosa na znak, że chcą zwierzęciu życie darować, że mają wiele uczucia.

A średniowieczne turnieje, w których żelazni rycerze łamali sobie kości, ku czci dobrotliwych dam, co się rozczułały pieniemi minstrelów? czyż także nie przypominają cyrku?

Biedna starożytność nie może się bronić, nie może podnieść niejednej szlachetnej strony swych czasów, a nasi historycy kontenci, że mają kogoś kto zawinił, i wiecznie wskazują nam na starożytność: patrzcie to zbrodniarz! — niech wam odstraszającym będzie przykładem!

A zbrodniarz osądzony zaocznie, musi milczeć niestety!

III.

C A P I.

I.

W piękny pogodny dzień wiosenny około dziewiątej zrana, schodziłem do portu St. Lucia w Neapolu i czekałem na odpłynięcie statku do Kapui.

Spokojne jak zwierciadło morze, przyodziało dzisiaj na siebie ciemno niebieski kolor i zdawało się współzawodniczyć swoją pięknnością z niebem, i wołać na jakiegoś szczęśliwego Parysa; rozsądź kto z nas piękniejszy, ja, czy ów uwielbiany firmament!

Jak mleczna droga i grupy gwiazd wieczorem na niebie tworzą smugi i oazę jaśniejących kolorów, tak obecnie w tych miejscach, gdzie słońce gorętszem płomieniem pogłaskało powierzchnię morza, powstawały plamy bledsze, wypłowiałe, lub też przeciwnie odbijały się chmurki pędzące po horyzoncie, w dal, na wschód — ku Abruzzom.

Jeżeli zaś gdzieniegdzie jaki kapryśny prąd wiatru zwrócił się ku zachodowi i krąbrnie się opierał, nie chcąc dążyć na śnieżne góry wierzchołki, wtedy czuła na wszystko powierzchnia

morza, pofałdowała się na pewnej przestrzeni, lekko okryła się zmarszczkami i tworzyła w ten sposób ciemniejsze granatowe prawie plamy, na kolosalnej azurowej równinie.

W kilku miejscach rybackie łodzie zdawały się w falach zasypiać, tak im dzisiaj było dobrze i miękko na tem posłaniu, a w dali dwa parowce pruły morza powierzchnie, pozostawiając po sobie długą chustę dymu i drażniły Wezuwiusz do spróbowania swych sił, i do pokazania, że słup dymu który on postawić potrafi, zakasuje sto angielskich i amerykańskich parowców.

To pyszne zwierciadło morza, miało też godne swej piękności ramy, ramy jakie tylko włoska wulkaniczna natura w ciągu wieków wyrobić zdołała, by ich piękność jednak ocenić, trzeba się już kołysać na niebieskiej fali.

Na portowej grobli roilo się mnóstwo najróżnorodniejszych postaci: bo za godzinę miał odpłynąć statek do Palermo, do Tunis, statek łączący dwa światy, więc też jakiś Negier w białym kapeluszu i obcisłym europejskim ubraniu chodził około swoich pakunków i Arab w żółtym zawoju pompatycznie się oparł o wory z bawełną i Anglik odziany pleedem czerpał jeszcze informacje z Bedekera; a wśród tych cudzoziemców krzątali się włoscy marynarze z ogorzałym obliczem, w czerwonych wełnianych koszulach i włóczkowych, lub baranich czapkach.

Mały parowiec na którym wielkimi literami nazwisko *Capri* błyszczało, stał już w porcie i był nateraz celem moich dążeń, więc wsiadłem do łodzi i wkrótce znalazłem się na pokładzie okrętu, co mi miał pokazać : *azurową grootę*.

Wyzywających Niemek, nieporównanym wdziękiem odznaczających się Angielek, sztywnych Prusaków i ciekawych Francuzów znalazło się bez liku, a kapitan okrętu chodził zadowolony, że tak ładnie zebrał dzisiaj grono, więc też i żałosny świst parowej maszyny i warczenie kół dały się wnet słyszeć i okręt rozpoczął swoje manewry, aby się wydobyć na pełne morze, z pośród kamiennych portu chroniących grobli.

Całe towarzystwo zasiadło na ławkach w około pokładu, boć przed nami miał się rozwinać widok neapolitańskich wybrzeży, który obok widoku na Bosfor, nie ma sobie równego w Europie.

Tyle razy wspomianana, tyle razy opisywana neapolitańska zatoka, ma przecież w sobie zawsze taki zapas świeżego uroku,

jak cudnej urody kobieta, której oczy codziennie nowym nęcą blaskiem, bo też ta zatoka żyje, zmienia się, gdyż z jednej strony ma morze, a z drugiej dymiący Wezuwiusz.

Tyle piękności natury i tyle historycznych pamiątek ugrupowało się nad tą zatoką, że fantazyja mogłaby tutaj bujać w nieskończoność, a duch ludzki rozkoszować się lata, nad tem co widzi w około siebie. Jeżeli chcesz wyobraźni wolne puścić wodze, to patrz na owego czarnego, okopconego olbrzyma, co ze szczytu swego ziejie dymem i siarką, patrz na grupę posiwiiałych śniegiem okrytych gór, co za Wezuwiuszem w oddali zamykają ci perspektywę, lub spuść swój wzrok ku zatoce i wyobraź sobie tych Rzymian, co w Pompei dwókolistenii jeździli wozami, lub średniowieczne rycerstwo, jak szturm przypuszczało do portu św. Łucyi, lub też znów niech ci się przez myśl przesuną owi możni arystokraci rzymskiego świata, co do Bajó jeździli, aby morskim w lecie oddychać powietrzem, lub w Puzzoli letnim się zabawiać teatrem. Tam spieszył Horacy swym dowcipem i werwą ożywiać rzymskie towarzystwo, tam stroje, mody, powozy przesiedlały się na lato ze stolicy, a na drodze przez Pozilip najpyszniejsze roły się konie. To była Ostenda, to był Wiesbaden starożytnych czasów.

Jesteś poetą masz tutaj morze i naturę, jesteś historykiem to każda cegła tych murów, co się nad zatoką rozsiadły, ma dla ciebie znaczenie, jeżeli zaś szukasz wzorów do przeniesienia na płótno pięknej przyrody, to nigdzie nie znajdziesz tylu wdzięcznych tematów, tylu cudnych kombinacyi światła i cienia, co tutaj, jeżeli wreszcie muzyka jest twego talentu udziałem, to posłuchaj szumu tych wód, a może jeszcze rozróżnisz w nim dźwięki lutni Aryona, co tędy błędził do wielkiej przybywając Grecyi, lub usłyszysz głos niemej, w pobliskiem urodzonej Portiici.

Nad tą zatoką Tasso się urodził, Wirgiliusz tutaj podobno wiecznym zasnął snem, a wszyscy ludzie wielkiego serca i wielkiej fantazyi tutaj jeździli czerpać natchnienia. Byron, Götthe, Lamartine, część swojej duszy na neapolitańskich zostawili wodach, ich sny kołysały się na tutejszych azurowych falach.

Morze było spokojne, więc parowiec szybko się naprzód posuwał, a koła warczały jednostajnie i rozbijały wodę na miliony drobnych kropelek, układających się w tęczowe kolory, wśród słońca promieni....

Jakiś malarz — Niemiec, chwycił czempredzej na papier kontury tych skał nadbrzeżnych, co koło *Castellamare*, koło *Sorrentu* w dziwaczne porozdzierane kształty, przecież tak wspa- niałą, tak idealną tworzą harmonię, jakieś młode małżeństwo francuzkie, było pierwszy raz w kłopotcie, czy patrzeć sobie w oczy, czy też spojrzeć na szerszy, na dalszy horyzont. Posi- wiały w podrózach Anglik, dwa razy podkreślał sonet w swej podręcznej książce i ręczył mi, że tylko Rio Janeiro w Ameryce i Przylądek Dobrej Nadziei, dostąpiły u niego tego zaszczytu, widoki bowiem zwykłą miarą piękności mierzyć się dające, jedną tylko linijką bywają podkreślane. Jeden tylko kapitan okrętu widząc prawie codziennie te wybrzeża poszedł do kajuty na śnia- danie i rozkochane spojrzenia rzucał na *risotto* z baraniną i na wino *Veletri*.

Dziwna jest w człowieku, ta rodząca się obojętność dla przedmiotu, który się często widzi, z którym się oswoiło. Gdyby nam w pokoju postawiono Wenus medycejską tobyśmy się po miesiącu tak samo na nią nie patrzyli, jak się nie patrzymy na tuzinkową fotografię, co wisi na ścianie. Piękna przyszłość dla żon, co swych mężów długo myślą trzymać u stóp swoich, li tylko blaskiem oczu i giętkością kibici, pociecha dla kobiet zim- nych a zalotnych!

Nie moje panie! nie obawiajcie się, obok tej pozornej obojętności gnieździ się w człowieku siła przyzwyczajenia, siła potężna, która jednak wtedy [dopiero dochodzi do największych rozmiarów, kiedy zabrakie przedmiotu, do którego się przyzwy- czało, kiedy się jego ubytek spostrzeże. A kto do prawdzi- wej przylgnął piękności, komu w myśli wyryły się kształty naj- poprawniejszego rysunku, ten nie tak łatwo się zadowolni innemi mniej estetycznemi formami.

Marynarze miewają najczęściej najpiękniejsze żony, i naj- lepszymi bywają mężami, każdy z nich bowiem od młodości tyle widzi przed sobą piękności natury, tak wzrok swój do piękna przyzwyczai, że i w wyborze kobiety na którą ma patrzeć całe życie, bardzo jest wybredny, jest zaś dobrym mężem, bo nie ma czasu się przyzwyczaić do kobiety, którą ubóstwia, bywając rzadko tylko pod domową strzechą. A kiedy jest z dala za do- mem, wtedy żona znow dlań jest kochanką, którą on sobie ide-

alizuje, ubarwia najpiękniejszymi kolorami swej wyobraźni, albowiem jej nie widzi i prędko widzieć nie może.

Więc łaskawe panie, jeżeli chcecie mieć dobrych mężów to im pozostawcie jak najwięcej swobody: Każcie im podróżować, chodzić do klubów, aby zbytecznie do domowego nie przywykli życia. Nieprawdaż że dobra rada?

Statek zatrzymał się na chwilę w pobliżu Castellamere, łodzie przyplęły, zabrały część podróżnych i pakunków, kilkanaście tylko na pokładzie pozostało osób, co wprost do Capri zdążyły.

I ową Kapreę mieliśmy wkrótce przed sobą, ogromną skałę, którą pewnie, gniewny Tytan, oderwał od od stałego ładu, i rzucił w Neapolitańską zatokę. Być może, że to jakiś rywal Jowisza, chciał go tą skałą dosięgnąć, gdy tenże uwodził Europę i pogrzebać niewinną wraz z uwodzicielem w morskich głębinach. Tymczasem Jowisz z Europą odpłynęli dalej, a skała na wieczną pamiątkę pozostała w morzu.

O ściany tej skały — wysokie a prostopadłe — biją od wieków morskie te bałwany i gdzieniegdzie tylko potrafiły sobie wyżłobić w nich jaskinie i grotty i tam odprawiać swe tany. Na tych skalistych ścianach: szarych lub ciemno-ceglastych, gdzie nigdzie tylko zaczepił się mały krzak mirtu lub akacyi, u spodu zaś gdzie już bałwany dosięgają; morskie żyjątka, zawiązki koralów, całą skałę w pasowy przybrały kolor. Więc też cała wyspa tam gdzie się styka z morzem, zdaje się być okolona wieńcem z goździków lub polnego maku.

Kaprea jest tak skalistą, że tylko z jednej strony, od wschodu łatwy do niej przystęp, tam też jest mały port i kilka domów tworzących tak zwaną: *Marine*. Nasz statek więc skierował się wprost ku Marinie i tam stanął w przyzwoitej odległości od brzegu, nie chcąc się spotkać z podobnymi ostreми skałami, co zdradziecko otaczają wyspę. Kilka łodzi rybackich czekało już na nas, morze jednak było trochę niespokojne, a niemieckie osobliwie turystki, nie oswojone z morskimi głębinami, po wielu dopiero wykrzyknikach, zdołały okręt opuścić. Angielki natomiast lekko i zwinnie wskakiwały do łodzi, boć one z morzem w przyjaźni.

Bez wielkiego jednak trudu znaleźliśmy się na Marinie, a teraz dopiero trzeba się było pokłonić „Bedekerowi“ i zapy-

tać się go do którego radzi się udać hotelu? Anglicy szli za radą Bedekera na górę do hotelu „Tyberyusza“, Francuzi więcej niezależni od podróжных przepisów, skierowali się na prawo, mimo rad Bedekera, do hotelu wielkiej Brytanii, położonego tuż nad brzegiem morza. Poszedłem za Francuzami, bo chciałem zostać w pobliżu niebieskich fal.

Cała wyspa Capri składa się właściwie z dwóch wielkich skał, z których jedna wyżej od drugiej się piętrzy. Na niższej jest mała osada „Capri“ na wyższej na którą trzeba iść po kilkuset wschodach w skale wykutych, uczepliła się druga osada zwana „Anacapri“ u spodu nad zatoką znana nam się osiadła Marina. Z Mariny do hotelu „Gran-Brettagna“ po stromej drodze zaledwie kilkaset mieliśmy kroków.

Po szumnym nazwisku nie wystawiajcie sobie jakiegoś wykwintnego hotelu, mogącego współzawodniczyć z pierwszorzędnymi hotelami Szwajcaryi, hotel na wyspie Capri, to dom bez piętra z płaskim dachem, otoczony małym ogródkiem, w którym róże z kalafiorami, a pomarańcze i cytryny, z zielonym groszkiem i karczochami, najserdeczniejszą zawarły przyjaźń. Takim widokiem jednak jak „Gran-Brettagna“ nie lada hotel poszczycić się potrafi, gdy bowiem z werandy spuścisz kamień, to musisz kilka chwil czekać, zanim usłyszysz, że kamień zetknął się z powierzchnią fali, a gdy wzrok podniesiesz, to w dali zobaczysz i Wezuwiusz i Neapol i całą zatokę, a na prawo stary Sorrent i okręty co tamtędy płyną do Palermo.

Stary siwy gospodarz, z dorosłym synem i dwoma córkami wyszedł nas powitać i zaprosić do nakrytego już stołu. Czem dom bogat tem rad, więc nam postawił: ryby morskie, homary, różnorodne owoce i wino „Capri“ z właściwym aromatem.

Losy mnie posadziły koło jakiejś Amerykanki, która z małym synkiem przyjechała dwa lata jeździć po Europie i uczyć go francuzkiego i niemieckiego języka. Prócz niej znalazło się tam francuzkie towarzystwo składające się z matki sawantki, córki trzepotki i towarzysza młodego inżyniera. Wspominałem już o nich, mówiąc o Isoli belli.

Stół był zastawiony pod werandą, bałwany morskie uderzając o skały grały nam swój odwieczny hymn, prześliczna *Mariuccia* córka gospodarza, do której pełno angielskich i niemieckich sonetów zawiera hotelowa księga, robiła nam honory domu.

Mało gdzie we Włoszech jest tak piękny typ kobiet jak na tej wysepce: wszystkie smukłe i kształtne, czarnobrewy i czarnookie, śniade, o nadzwyczaj regularnych rysach twarzy, w ich ruchach wiele gracyi, w wyrazie twarzy wiele smętnego wdzięku. Gdy je widzisz jak z koszem na głowie po stromych pną się ścieżkach, i jedną ręką podtrzymują ciężar, to ci się zdaje, że widzisz przed sobą, owe Rzymianki z których starożytni rzeźbiarze brali wzory do swych nieśmiertelnych utworów, zdaje ci się, że stoisz w Watykanie przed posągami „Pudycyi“, co taką prostotą i takim prawdziwie kobiecym przemawia do ciebie wdziękiem.

Ubogie, w perkalowej sukni i drewnianych sandałkach, we włosach noszą jedyną swą kosztowną ozdobę; dużą srebrną strzałę. Strzała ta przechodzi z matki na córkę w spuściznie, a bardzo już biedną musi być dziewczyna, co swych kruczych włosów nie może upiąć tą bronią Amora. Odgraniczone morzem od zepsutej ludności Neapolu, potrafiły zachować prawdziwie patryarchalną cnotę i samorodną nie sztuczną kobiecą dumę. Duma ta imponuje światowym cudzoziemcom, a znudzeni życiem Anglii, często się żenią z prostemi dziewczętami z Capri.

Nie bez pewnego zadowolenia opowiadała mi piękna Mariuccia, że w ostatnich czasach dwóch Anglików osiadło na wyspie: jeden ożenił się z dziewczyną z Anacapri i tam mieszkał, drugiego przykuła do wyspy czarnobrewa z Capri. Trzeci Anglik także ożeniony z Kaprejanką, powiódł żonę do rodziny, do Anglii, ale wkrótce miał powrócić, gdyż się jej stęśniało za krzewami mirtów i niebieską falą.

Stary „padrone“ właściciel hotelu, gdy skończył wieczorem grać nam na gitarze i śpiewać pieśń „Santa Lucia“ smutną mi opowiedział historię:

Lat temu kilka, przyjechał parowcem z Neapolu jakiś młody Anglik, bo Anglikiem jest tam mniej więcej każdy cudzoziemiec i w miasteczku Capri na dłuższe się rozgościł mieszkanie. Był to trzydziestoletni przystojny bardzo mężczyzna, ale jakiś dziwny smutek, dziwna apatya malowała się na jego obliczu. Unikał zrazu ludzi, chodził samotnie nad morze, godzinami siadywał na ruinach willi Tyberyusza, albo strzelał przepiórki, co w długiej z Afryki wędrówce, na Capri chciały odpocząć.

Gdy jednak kapryjskie wino pobudziło jego umysł do żywszego ruchu, gdy serce czasem goręcej bić zaczęło, wtedy dziwne o sobie opowiadał rzeczy. Był on z bogatego rodu, i bardzo staranne odebrał wychowanie, przeszedł wszystkie szkoły, umiał po grecku i łacinie, czytał książek wiele, a gdy miał lat dwadzieścia, to znał już świat i ludzi. A w świecie tym żył wiele i żył pełną piersią, nie obcym mu był Paryż, nie obcym mu był Londyn, świat nie miał dlań tajników. Lecz dziwnie prędko mu się ten świat znudził, dziwnie szybko przysły dlań wszelkie iluzje, z miłości drwić zaczął, życie nie miało dlań żadnego uroku, ziewanie nieodstępnyim było mu towarzyszem. Ziewał w teatrach, ziewał w towarzystwach najpiękniejszych kobiet, ziewał na szwajcarskich gletnerach: ziewał wobec arcydzieł sztuki, i mówił nieraz: że prócz łąta prochu i łąta ołowiu, nie ma dlań lekarstwa.

Młodzińcem był jeszcze na Capri a wyspa przyjemne w jego umyśle pozostawiła wspomnienie, więc przyjechał ziewać nad niebieskim morzem, skoro na kontynencie nie było już zakątka, gdzieby echo nie rozniosło jego ziewania.

I ziewał też tutaj rzeczywiście przez kilka miesięcy, dopóki czarnookiej nie poznał dziewczyny. Dziewczynie na imię było Julietta, jej matka miała ogródek na skale, a w nim kilka oliwek, trzy drzewa cytrynowe i parę krzaków indyjskiej figi; czego nie dał ogródek to przynieśli cudzoziemcy, Julietta bowiem pokazywała im drogę do willi Tyberyusza lub chodziła do hotelów tańczyć *tarantellę*, za co po kilkanaście sobie zarabiała centymów. Julietta miała narzeczonego, marynarza z Capri, najprzystojniejszego i najśmielszego z wiosłarzy, nikt tak dobrze nie umiał się skradać łodzią do niebieskiej groty, nikt tak szybko jak Pietro nie wrócił barką z Neapolu. W lecie płynął Pietro na połów koralu aż na tunetańskie brzegi, i gdy w maju pożegnał Juliettę, nie wracał do niej aż późną jesienią. Połów jednak nie zawsze się udawał, a Pietro nie mógł się jeszcze zdobyć na własną barkę, na własne gospodarstwo, więc też od roku do roku odwlekał ślub, spodziewając się, że przecież raz wróci z gałęzią koralu, która mu Juliettę odda i szczęście zapewni.

W tym roku kiedy się nasz Anglik na Capri pojawił, Pietro wcześniej niż zwykle puszczał się na dalekie wody. Kiedy cytryny dopiero kwitnąć zaczynały Pietro z towarzyszami już ładował barkę, sieci

naprawiał, wina brał beczółkę i z otuchą w duszy przyrzekał Julecie, że w tym roku z pewnością wróci z obfitym połowem, bo zna już dobrze afrykańskie brzegi, i wie gdzie najwięcej się rozrosło koralu. Pietro jej obiecał, że gdy pierwsze zaczną opadać liście, a ona jak zwykle witać go będzie wracającego, powiewając chustką ze skały Tybera, on jej na to przywitanie odpowie chustką czerwoną, co będzie znaczyć: że na spodzie barki, mieszczą się bogactwa w koralach i że ją wkrótce będzie mógł zaprowadzić przed ołtarz i spełnić swe kilkoletnie marzenia.

Julietta była szczęśliwą, zawiesiła mu na szyję koronkę poświęcaną w Rzymie, z pestek cudownego ziela i szła do kościoła, aby się modlić o pomyślność wyprawy swego narzeczonego; a gdy Pietro oddalał się z Mariny i zdala ręką ją żegnał, Julietta łzę otarła i poszła czempredzej do pracy, aby ukoić na chwilę boleść i tęsknotę.

Tymczasem zarabiała Julietta jak dawniej na matkę i na siebie, i prowadziła podróźnych po wyspie. W parę miesięcy po wyjeździe Pietra, zdarzyło się, że Julietta poszła na brzeg morza, aby zbierać muszle i kawałki czarnych koralu, które bałwany morza z głębiny wyrzucają. Tam spostrzegła jakiegoś cudzoziemca, co siedział na skale i patrzył jak się piętrzą i szumię wody po nieskończonej przestrzeni. Anglik zaczął do niej mówić, pytać się jej na co te muszle, na co koralu?

Wszak je panowie bierzecie na pamiątkę — odpowiedziała Julietta i swobodnie rozmawiała z cudzoziemcem. A gdy wracała do domu, to jej się dziwnie wyryła w pamięci ta twarz bladego Anglika, tak odmienna od ogorzałych marynarzy z Capri, dziwne pozostało jej wrażenie po tych niebieskich oczach, co jak głębie morza, zdawały się kryć w sobie jakieś tajemnicze światy, jakieś niezrozumiałe dla dziewczyny myśli.

Odtąd częściej się Julietta spotykała z Anglikiem; sprowadził on się w sąsiedztwo domu jej matki i często siadał na murze co przegradzał obydwa ogrody i rozmawiał z nią i opowiadał jej o zwyczajach dalekich krajów. Anglik był grzeczny, uprzejmy, a jego spokój i pewien smutek w twarzy, wielkie na prostej dziewczynie robiły wrażenie.

Julietta pytała się Anglika, dlaczego nie widzi nigdy uśmiechu na jego ustach, dlaczego nad jego czołem zawsze taka ciężka zawisła chmura, jakgdyby za nią szły pioruny, co biją w sta-

re ruiny Tybera, lub wielkie burze, przed którymi nawet mewy, kryją się w szczeliny nadbrzeżnych skał.

Na to jej odpowiadał Anglik, że smutny, bo jest sam jeden na świecie i nie czuje serca, któreby w takt z jego sercem biło, a w jego ojczyźnie, gdzie większe miasta od Neapolu i większe góry aniżeli ogniem ziejący Wezuwiusz, chciwość i interes tak zapanowały, tak dalece pieniądz stał się ostatnim myśli wyrazem, że zdala ztamtąd ucieka, aby nie dotykać rąk łodowatych i serc co dawno bić przestały.

Włoszka ze zdumieniem spoglądnęła na cudzoziemca, albowiem ona nie rozumiała tych ludzi co nie kochają, co się nie cieszą lub nie płaczą, dla niej ten świat obcy był jakąś wielką zagadką. Nie siliła się też Julietta, aby zrozumieć to wszystko, o czem opowiadał Anglik, ona była tylko przekonaną, że tam źle być musi, albowiem jego niebieskie oczy świadczyły o prawdzie wyrazów, co z ust wychodziły, jego zachmurzone czoło nie bez przyczyny musiało się okryć zmarszczkami.

Ten kontrast, ten brak podobieństwa do wszystkich mężczyzn, jakich znała córka skalistej wyspy, działał na nią jak narkotyczny napój, co wszystko każe zapomnieć i umysł wprowadza w rozmarzenie. Julietta lubiła słuchać opowiadań cudzoziemca i sama nie wiedziała jakim się to działo sposobem, że wszelkie inne opuszczała zajęcia, a zawsze w ogródku miała coś do czynienia.

W Angliku także nagle zaszła zmiana, on co dawniej unikał ludzi, co strzelba lub wiosło na spienionem morzu, jedynymi jego były towarzyszami, obecnie z bardziej otwartem, bardziej rozpogodzonym chodził obliczem, a nawet nieraz znalazł się w Marinie, aby widzieć nowych podróżnych, co na wyspę przybywają lub siadywał na werandzie hotelu „Gran-Brettagne“ i przy butelce „Asti“ rozmawiał ze starym gospodarzem.

Im weselszym jednak był cudzoziemiec, tem częściej smutek osiadał na pogodnem dotąd czole Julietty, a niepokój stał się jej nieodstępnym towarzyszem. Julietta czuła, że nie powinna się widywać z cudzoziemcem, na wspomnienie Pietra ła błyszczała w jej oku, ale mimo to nie miała siły nie pójść do ogrodu, gdy Anglik tam ją oczekiwał.

Anglik kochał Juliettę, bo znalazł w niej serce czyste jak kryształ, znalazł prostotę pełną wdzięku i uroku, jaki dać może

tylko nieporównane słońce Neapolu. W tem na pozór wystudzo-
nem sercu było jeszcze tyle uczucia, że młodzieniec postanowił
poślubić Juliettę, i pojechać z nią daleko, daleko, gdzieby mu
nawet podróźni nie przypominali cywilizacyi, którą znieawdził.

Julietta długo walczyła ze sobą, długo się we łzach ką-
pała, ale wreszcie nie miała siły oprzeć się naleganiom Anglika,
i postanowiła odpłynąć z nim w nieznane kraje. Biedna dziew-
czyna, zmieniła się, wybladła jak liść akacyi, co ma opasć je-
sienną porą.

Był to już październik, słońce straciło trochę na swej sile,
a morze na ciemnym lazurze, Anglik wzywał Juliettę do wy-
jazdu; w Neapolu w kościele św. Januarego miały ich chrze-
ściańskie połączyć śluby, więc też Julietta drżała jak gałązka
mirtu morskim dotknięta powiewem, a chcąc raz jeszcze zoba-
czyć miejsca, do których ją wiązały całego życia wspomnienia,
wybiegła na górę do pustelni, dała jałmużnę zakonnikowi, a po-
szła na ową skałę, z której Tyberyusz rzucał niewolników w spie-
nione fale.

Julietta stała tam długo, bo kto tam stanie, ten tak
prędko nie potrafi oderwać wzroku od tych morskich bałwanów,
co z gwałtowną siłą u spodu o skałę uderzają, w miliony roz-
pryskując się perel, nie może tak łatwo odwrócić zwroku, od
szarych krańców stałego lądu, i od nieskończonej niebieskiej ró-
wniny co się rozplywa w oddali.

I gdy tam stała i dumiała, spostrzegła nagle w oddali ja-
kiś punkt czarny, jakby rybacka barką płynącą od strony Pa-
lerma. Dreszcz przeszedł Juliettę, gwałtowny rumieniec zabarwił
jej lica, czyżby to była barka wracającego Pietra? czyżby tam
jej narzeczony wysiłał się przy wiosle, aby czempredziej złożyć
u jej stóp bogate wiano?

Niestety przecucie ją nie zawiodło, na małym maszcie
czerwona się pokazała flaga — to Pietro płynie rzucić się w ob-
jęcie swojej narzeczonej.

Czerwona chusta straszny był dla Julietty wyrzutem,
w jednej chwili stanęła jej przed oczyma cała groza jej poło-
żenia; jutro miała odpłynąć z cudzoziemcem, zdradziła czło-
wieka, który ją kochał, który dla niej lat kilka tułał się po da-
lekich morzach, i niejednokrotnie walczył z niebezpieczeństwem.

Co będzie jak Pietro dzisiaj wyląduje i spojrzy w te oczy, w których zawsze prawdę i miłość czytać był przyzwyczajony?

Julietta spojrzała przed siebie, w głębi pod skałą pieniały się morskie bałwany. Nieskończona przepaść magnetyczny prawie wywarła na nią wpływ.

Dziewczyna oglądnęła się jeszcze raz na wyspę, wzrokiem rodzinną pożegnała chatę, pocałowała poświęcaną koronkę na szyi i rzuciła się w przepaść.

Zielone wody się zapieniły, mewa się zerwała z nadbrzeżnej skały, okrążyła kilka razy otehłań i poleciała na południe, jakgdyby chciała pierwsza smutną zanieść wiadomość barce wracającego Pietra.

Pustelnik na górze widział spadającą Juliettę, straszna wieść rozeszła się błyskawicą po wyspie, a w kilka godzin widziano Anglika, jak sam wsiadł na rybacką łódkę i na pełne popłynął morze, więcej o nim nie słyszano.

Pietro żyje dotąd na wyspie, a później się z nim zaznajomimy.

Stary padrone skończył opowiadanie, kilka jeszcze z gitary żałośnych wydobył akordów, a gdy się na nas popatrzył, żeśmy się zasępiłi, to się staremu przykro zrobiło.

Hej Mariuccio! zawołał na córkę, uderz w tamburino, powiedz dziewczętom niech tańczą.

I po chwili przyszło cztery dziewcząt z sąsiednich domów, wszystkie giętkie i zgrabne z płomiennem okiem, i srebrną strzałą we włosach.

Tańczcie Tarantelę, powiedział padrone, a Mariuccia uderzyła w tamburino. Błaszki zadzwoniły, dziewczęta jednostajnie zaczęły zawodzić taniec. Coś w tym tańcu jest tak niewolniczego tak wschodniego, że mimowoli widząc go, przenosimy się myślą nad Bosfor, lub w Faraonów dziedziny. Dziewczęta ustawiają się w czworobok i na miejscu prawie stojąc głównie korpusem tylko w takt jednostajne odbywają ruchy.

Są tam w tych ruchach także i zabytki starożytnej pantominy, owego rytmicznego ruchu, przeważnie głowy i rąk, którym się starożytni zachwycali Rzymianie.

Nie myślmy bowiem, że to dopiero w dzisiejszych czasach Miss Addala Menken, owa dziwaczna amerykańska awanturnica w swoich Piratach z Sawennów, pantominę do wysokiego dopro-

wadziła stopnia; i owszem pantomina w czasach rzymskich należała do najbardziej ulubionych scenicznych przedstawień, i na wysokim stała stopniu doskonałości. A jeżeli Miss Menken studyowała nieraz najpiękniejsze rzeźby starożytności, porównywała kształty i gracyę Wenery kapitolńskiej, medycejskiej, lub Apollina helwederskiego, aby o ile możności najklasycyjsze przybierać kształty, to taki tancerz Bathyllus, o którym Juwenal opowiada, z taką gracyą i werwą przedstawiał Ledę na scenie, że zmysłowość nigdy większego nie odniosła tryumfu.

I balet nie jest nowością, zwał on się tylko w starożytności „Pyrpsychią“. Apuleius, pisarz starożytny opowiada nam treść takiego baletu, a że to rzecz mało znana, więc ją powtórzmy

Na scenie wysoka wznosiła się góra Ida, pokryta trawnikiem, gajami i lasem, gdzieniegdzie spływały strumyki, szemrały kaskady, a piękny młodzieniec Paris w pasterskich szatach pasł trzodę owiec. W tem tańcząc wpada Merkury ze złotymi skrzydłami na głowie, oddaje złote jabłko Parysowi, i stara mu się mimiką wytłumaczyć rozkaz Jowisza.

W ślad za młodzieńcem co niósł z Olimpu rozkazy, weszła poważnie Junona, piękna kobieta z berłem w ręku i w dyademie na głowie, za nią gwałtownie wpadła Minerwa z lancą i puklerzem, a zdołał ją wieniec oliwny. Ostatnia, lecz pewna zwycięstwa, ukazała się Wenus na scenie, szat na sobie nie miała, płaszcz z przezroczystej gazy lekko spływał z jej ramion.

Junonie towarzyszy Kastor i Pollux, a gdy wspinała kobieta przed Parisem stanęła, tłumaczyła mu przy akompaniamencie flety pantomimicznym tańcem, że jeżeli ją uzna za najpiękniejszą, to ona w nagrodę, nad całą Azyą da mu panowanie.

Inną mu daje obietnicę Minerwa, ona go chce okryć sławą wojownika, więc demony, dziki na scenie wyprawiają taniec, muzyka doryckie wojenne gra pieśni.

Gdy Wenus na środek sceny wychodzi, publiczność grzmiotem ją przyjmuje oklasków.

Wenus też nie nęci Parysa berłem lub sławą, ona tańczy przed nim uroczy taniec, chóry amorków z łukiem i pochodnią, wtórują jej w ruchach, ona mu najpiękniejszą obiecuje kobietę. Taniec Wenery rozstrzygnął losy, Parys jej złote oddaje jabłko, muzyka wdzięczne lidyjskie gra melodye.

Nakoniec jeszcze wesoly taniec chórów, poczem z góry Idy wielka zaczyna bić fontanna perfum i wina, a publiczność upojona zapachem, muzyką i pięknoscia kobiet, odchodzi i patrzy jak cała góra się zapada.

Jaki to Offenbach starożytny układał melodye do tego baletu, jaka panna Sznajder czy Geistinger w gazowym się pokazywała płaszczu? Niestety o talencie tego Offenbacha nie możemy mieć wyobrażenia, albowiem starożytnosc nut nam nie pozostawiła, ale „o pięknych Helenach“ starożytnych pochlebnie świadczą rzymskie malowidła. Proszę się przypatrzeć owym tancerkom na ścianach w Pompei, z jaką je tam gracyą, z jaką lekkością rzucił artysta; ów płaszcz gazowy to jak obłok, z którego się wynurzają najpiękniejsze kształty. Ci malarze, co tyle wdzięków w martwe potrafili wlać farby, musieli brać wzory z natury do swoich postaci, widać więc, że te wzory musiały stać na wysokim stopniu rozwoju choreograficznej sztuki.

Wnosząc z pompejańskich malowideł, i strój rzymskich baletniczek niesłychanie wyżej stał od stroju naszych primadon w Flick-Flock lub Sardanapalu; strój długi, chociaż tylko gazowy, zmuszał przecież do więcej estetycznych ruchów, co tem więcej było możliwem, że w starożytnym tańcu kładziono nacisk w ruchach na górne części ciała, podczas gdy w dzisiejszych piruetach nogi biustowi wyrwały palmę pierwszeństwa. W starożytnym stroju baletniczym musiało więc chodzić o uwydatnienie najestetyczniejszych form człowieka, o wydobywanie całej możliwej gracyi z kształtu tancerki, podczas gdy zadaniem dzisiejszego kostiumu baletniczek jest uwolnić o ile możności nogi od stroju, aby tym sposobem mózdz swe łamane wykonywać sztuki.

Lecz o zgrozo, gdzież mnie to taniec zaprowadził! naraz w towarzystwo starożytnych i nowożytnych baletniczek! zarumieniony więc wracam do moich niewinnych kaprejanek.

Rodzoną siostrą Taranteli jest drugi narodowy taniec na Capri, zwany Tarascone, a tak zresztą do pierwszego podobny, że trzebaby było wielkiego pod tym zględem znawcę, aby mógł bliżej opisać tych dwóch tańców różnicę. Między pierwszym a drugim tańcem, była mała pauza, tancerki usiadły w koło stołu, a gospodarz postawił kilka butelek „łez Tyberyusza“ najlepszego wina, jakie produkuje wyspa. Więc było wesoło a takt Tarantelli brzmiał aż w późną noc.

II.

Jakiś przeraźliwy krzyk zbudził mnie nazajutrz wcześniej niż poranne słońce zajrzało przez szklane drzwi. Ubieram się więc, wybiegam, i widzę, że całe damskie towarzystwo z wielkiem przerażeniem otoczyło inżyniera Francuza, trzymającego coś w obciążkach.

„Skorpion, skorpion!“ chórem odezwały się Francuzki na moje przywitanie. Biedny delinkwent wielkości naszego chrząszcza majowego przebierał tymczasem swemi szczypczykami, i widocznie miał wielką ochotę zemścić się na Francuzkach, za tak niedelikatne z nim postępowanie.

Wystaw pan sobie, tłumaczyła mi zaraz młodsza Francuzka panna Hortenzya, że byłam dzisiaj w niebezpieczeństwie życia, a szkaradny skorpion już wylaźł na moją suknię, prosto się drapał ku szyi — tymczasem oko pana Karola spostrzegło go, pan Karol ochronił mnie od wielkiego niebezpieczeństwa.

Przyjemne spojrzenie dostało się inżynierowi, panu Karolowi w nagrodę za ten bohaterski czyn.

Stary padrone zapewniał jednak, że żadnemu skorpionowi na wyspie Capri nie przyszło nigdy nawet na myśl, zadać komuś śmiertelną ranę, i że tamtejsze małe, czarne skorpioniki, są najniewinniejszymi stworzeniami w świecie. Mariuccia miała w podejrzeniu pana Karola, że naumyślnie przyniósł do pokoju nieszkodliwego skorpiona, aby się przeciwieź czemś przysłużyć grymasnej Francuzce.

Dzień więc wprawdzie traicznym rozpoczął się wypadkiem, ale w dalszym ciągu najmiłszymi nam się odwdzięczył wrażeniami. Dzień to był przeznaczony na zwiedzanie wschodnio-południowej części wyspy. W tej stronie skoncentrowała się cała prawie historia skalistej wysepki, gdyż tutaj stała ongi owa „Villa Giove“, gdzie cesarz Tyberyusz jedenaście groźnych przepędził lat.

Jeden z najznakomitszych o Włoszech pisarzy: Gregorovius powiada, że Capri to wielki starożytny sarkofag, otoczony Eumenidami, co zamiast włosów długie rozpuściły węże, a na wierzchu tego sarkofagu leży posąg Tyberyusza. I rzeczywiście,

gdy się rozpatrzemy w dziejach tej wysepki, gdy zaczniemy czytać w pozostałych jeszcze na niej ruinach, to groza nas przejmuje, a widmo straszego Tibera trupiami nas mierzy oczyma. Po dziś dzień jeszcze dzieci straszą na Capri nazwą Tyberyusza i nikt tak głęboko, jak ten tyran, nie wyrzył się w pamięci mieszkańców.

Prześliczna Capri od dawna nęciła do siebie, i rzymskich nawet zdołała usidłać cesarów. Augustus się w niej zakochał, porzucił Rzym, porzucił ulubioną nawet Ischię, aby swobodnie na Capri prowadzić życie, i jej balsamicznem oddychać powietrzem. On pierwszy wybudował tam wspaniałą willę, a musiał być znawcą piękności przyrody, gdyż obrał dla swej willi miejsce na wschodnim krańcu wyspy, z kądem cudowny widok na stały ląd i na niezmierzone morze ku Sycylii.

Willa ta wszakże zanadto była skromną dla jego następcy Tibera, on na jej gruzach nowy postawił gmach i dwanaście pałaców na cześć dwunastu głównych bóstw rzymskich, na kaprejskich rozrzucił skałach. Więc na rozkaz Tibera wyspa w przepyszne się ustroiła gmachy, zaludniła się dworakami, i przez ciężkich lat jedenaście była stolicą rzymskiego państwa, środkiem ówczesnego świata. W 26 roku po narodzeniu Chrystusa sprowadził się na Capri Tyberyusz i mieszkał tam prawie do śmierci, a śpiewy bachantek i kapłanek Wenery, zmieszane z jękami zrucanych ze skał niewolników, kołysały do snu groźnego tyrana.

Podanie ludowe powiada, że po jego śmierci przyplłynął lud rzymski i zburzył siedzibę zbrodni i zepsucia — i rzeczywiście też Capri już więcej w dziejach rzymskich ważniejszej nie odgrywa roli.

Później odludna wyspa dzieliła losy pobliskiego lądu i stała się własnością greckich książąt z Neapolu; w IX wieku potężnej rzeczypospolitej w Amalfi hołdować musiała, widziała berła Rogera z Sycylii, Normanów, Hohenstaufów i andegaweńskiego domu. W r. 1806 wydarli ją Anglicy Neapolitańczykom, obsadzili w imieniu Ferdynanda sycylijskiego, i zostawili tam załogę pod dowództwem Hudsona Lowe, co później jako strażnik więźnia ze św. Heleny, smutnej się doczekał pamięci.

Trzy lata byli Anglicy w posiadaniu Kaprei, dopóki jej im nie wydarli Muratyści w dzielnej wyprawie. Hudsona Lowe uwieziono i odprowadzono do Neapolu.

Wypadki te jednak przeszły u mieszkańców wyspy jak sen, jak marzenie, żadnego po sobie nie pozostawiając śladu, pamięć tylko Tibera wieki jeszcze trwać będzie na czerwonych skałach Kaprei.

Więc błądźmy chwilę po tych skałach.

Chociaż niedaleko od Neapolu, przecież Kaprea bardzo odmiennie nosi cechy od właściwości natury stałego lądu. Na ciemno-czerwonych skałach rozgościła się tam już zupełnie południowa, sycylijska prawie wegetacja. Indyjska figa, ów sturamienny kaktus o dziwacznych kształtach, jak polip do skał się przyczepił, a Mirt, Cytisus, Rozmaryn, Albatro i krzew mastyksowy nieporównaną wonią napęlniają powietrze. Gdy w pogodny ranek słońce jasnym zaświeci promieniem, woń krzewów wzbije się w atmosferę, a świeży powiew morski przeciągnie po wyspie, to pierś nieporównanej używa rozkoszy, a fantazyja tyle ma żywiołu, tak się tam czuje swobodną, że drży na samą myśl, że ten cudowny obraz trzeba będzie zamieniać na widok miast fabrycznym okopconych dymem.

Ach, w tych krainach można się zakochać, można tęsknić za nimi, i marzyć o nich jak o oczach niebieskich, co pierwsze w serce nasze głębiej wejrzały. Wspomnienie tego obrazu staje się rozkoszą, a cóż powiedzieć o rzeczywistości!

Gdziekolwiek na wyspie dało się kawałek urodzajnej ziemi wydrzeć odwiecznym skałom, tam wszędzie pracowita ręka ogród zasadziła, okalając go murem z kamieni, mozolnie z gruntu wydobytych, więc też się chodzi na urodzajniejszej części wyspy, pomiędzy samymi niskimi murami, po za którymi śmieje się do nas kwiat pomarańczy, drzewa migdałowego, Caprifolium albo też czarne oczy jakiej Mariuccii, albo Constancielli.

Uliczki pomiędzy tymi murami są gdzieniegdzie tak wąskie, że zaledwie na nich minąć się można z kimś co naprzeciw idzie. Szersza cokolwiek ulica prowadzi z Mariny do miasteczka Capri, gdzie znajdziesz kościół, sklep, kilkadziesiąt domów i dzieci bawiące się na środku małego rynku, pewne, że je nikt nie przejedzie, bo na całej wyspie niema jednego wozu i jednego konia, kilka leniwych osłów tylko czeka na podróżnych koło portu, aby ich flegmatycznie wynieść na górę.

Signore, la butiglia! bajocco, bajocco! odezwało się naraz około nas kilkanaście chłopięcych głosów, gdyśmy weszli do mia-

sta. Jak wszędzie we Włoszech tak i tutaj złe rządy, ubóstwo pozostawiło po sobie zwyczaj żebrania, na Capri wszakże nie rażą nas te prośby o „bajocco“, są one tak niewinne a zarazem tak nieświadome brzydkiej strony tego zwyczaju, że mimowoli śmiech zbiera, widząc tę dziatwę wesoło dopominającą się o swoje „bajocco“, o swój podatek od cudzoziemców.

Dorośle dziewczęta chodzą z koszyczkiem napełnionym muszlami, kawałkami koralów, kwiatami polnemi, ofiarując je cudzoziemcom, aby tylko dostać „butiglio“.

Starsi jednak zaczynają się wstydzić tego zwyczaju, bo gdy mnie w Anacapri malutki chłopiec zaczął o „bajocco“, ojciec znalazł się prędko, i zanim jeszcze zdołałem wyjąć kilka centimów, już synalek na kolanie doraźnej uległ egzekucyi.

Na wyspie rzadko można się spotkać z dorosłym mężczyzną, w domu bowiem osobiwie w lecie pozostają tylko kobiety i starcy, zdrowi mężczyźni płyną daleko na połów koralu, albo łowią ryby na pełnem morzu. Wyspa nie zdoła wyżywić ludności, więc trzeba na morzu szukać pożywienia.

Z miasteczka wyszliśmy ścieżką na prawo i znaleźliśmy się po kilku minutach na zachodnim brzegu. Gdyby ktoś bujną obdarzony wyobraźnią, śnił długo, marzył długo, aby dziki, spokojny i uroczy przedstawić sobie obraz, to doprawdy nie zdołałby wymyślić pejzażu, któryby w tak wysokim stopniu odpowiadał wszystkim tym warunkom. Jak miejsce zwane małą Mariną, przed któremśmy stanęli.

Byliśmy na pagórku, o kilkaset stóp niżej przed nami kolosalne czarne skały kapały się w morzu. Pomiędzy skałami jak jaskółcze gniazdo przyczepione dwie chaty rybackie, które zda się, że pierwsza większa fala zabierze na szerokie morze. Fale biją o skały i wieńcami białej je otaczają piany, a mają o co próbować swej siły, bo po prawej sterczy kamienny olbrzym: *Cap Marcellino*, a po lewej w ostre podarty kawałek *Cap Tragara*. Tuż koło Tragary na sto stóp z morza, nagie się wynurzają skały, jakby piramidy stawiane przez niewolnicze ludy Neptuna, zwią je *Faraglioni*. Na tych piramidach morski ptak trzepocząc skrzydłami, żałośne zawodził okrzyki, a gdym spojrział w dal, i wzrok mój w nieskończonem utonął morzu, to zadrzałem, przejęty grozą natury, i byłbym tam stał wieki, wieki dumał i marzył.

Marzenie przerwała panna Hortenzya, Francuzka, która tym razem przeleżała się małej zielonej jaszczurki, więc porzuciłem nudne towarzystwo, a miałem ku temu dobry powód, gdyż musiałem telegrafować do Neapolu, a budka telegrafisty stała tuż nad nami, na górze *Tuoro*, dominującej nad *Tragara*.

Gdy grecka Klitemnestra na zamku Atrydów, oczekiwała wiadomości o zdobyciu Troi, na górach stali stróże, co rozniecali płomienie. Więc poczta płomienna wspięła się na górę *Ide*, i biegła ztamtąd na skalistą *Lemnos*, a wyspa ogień przesłała górze *Athos*, górze Jowisza, i złoty promień radości jednym skokiem dostał się ztamtąd u strażnicę w *Makistos*. Lecz drogi jeszcze nie skończył, bo przez *Euripos* musiał przepłynąć, i zbudzić strażnika z *Mesapios*, i biegnąć rączo po łańcach *Asoporu*, aby jak promień bladego księżyca spocząć na skale *Kitharon*. I promyk nie był tam długi, bo wnet się światło odbiło o czystą fałę jeziora *Gorgopis*, zdażyła na wierzchołek góry *Aigiplanktos*, i jeszcze raz przerzucając się przez Saronńskie morze, jasnym buchło płomieniem na skale *Arachnaios* i w końcu radośnie zawitało do grodu Atrydów.

To pierwotny telegraf — opisuje go Aeschylus w swym *Agamemnonie*, a pyszny ten ustęp dzieła greckiego poety, przyszedł mi na myśl, gdym po chwili drapania się na górę *Tuoro*, stanął przed budką kapryjskiego telegrafisty, i widział, jak on za pomocą znaków posyła moją depezę przez morską cieśninę do telegrafisty siedzącego już na stałym lądzie w *Massia*. Strażnik z *Massy* przerzucił depezę na górę do *Castellamare*, ztamtąd dostała się wiadomość na zamek *St. Elmo* w Neapolu, a dalej *expressem* do hotelu, zkąd rzeczy żądałem.

Mój strażnik na górze *Tuoro*, dziwny był człowieczek; stary, łysy, chudy jak badył dzikiego zielska na pustym kamieniu, a biegł po swej budce jak wiewiórka zamknięta za oknem, spoglądał na prawo i na lewo, śledził znaków swego kolegi z *Massy*, i ciekawy był, czy mu z *Anacapri* nie przysła jakiej nowiny. Dał mi karteczkę z pieczęcią i „telegrafi dello stato“ i nierad był długo rozmawiać.

Niedowierzałem trochę temu telegrafowi, co w tak homerowski jest urządzony sposób, przekonałem się jednak, że i Klitemnestra mogła się szybko dowiedzieć o upadku Troi, albowiem

co do mnie odebrałem rybacką barką na drugi dzień zrana żądane z hotelu rzeczy.

Na wschodniej stronie wyspy pozostały mi do widzenia rzeczy najciekawsze, bo *Villa di Giove*, w tamtą więc poszedłem stronę. Idąc z góry Tuoro w małej się znalazłem dolinie, nad wysokim brzegiem ostry tworzącym kąć — gdym spojrzał na dół, o mało zawrotu głowy nie dostałem, tak tam było głęboko i dziko... Cofnąłem się więc, i z niemałym zdziwieniem uczułem, że mnie ktoś mocno schwycił za poły surduta. Nie był to jednak brygant, ale najspokojniejszy staruszek na Capri, który spostrzegłszy, że się zanadto nad przepaść przybliżam, czempędzej przybiegł, aby mnie przed możebnem przestrasz niebezpieczeństwem, a gdym staremu tłumaczył, że daleko jeszcze stałem od krawędzi, to on mi na to odpowiedział: że tak samo myślał jakiś cudzoziemiec, co przed czternastu dniami spadł tam przez nieostrożność i na drobne się roztrzaskał kawałki; but jego tylko znaleziono za ostrą skały krawędzią i ślady krwi po urwiskach. Później się dowiedziałem, że tym cudzoziemcem był jakiś *attaché* szwedzkiej ambasady, a spadł z tysiąc stóp wysokiej skały.

Tam to w pobliżu, głęboko w skałach jest zagadkowa grotta *Matromania*, co Tyberyusza pamięta czasy, wchodzi się do niej przez otwór w łuk wygięty i ma się przed sobą 100 stóp głęboką a 55 stóp szeroką przepaść. Przy wejściu znać ślady rzymskiego muru, wewnątrz pozostałości wykutych wschodów. Powiadają, że w tej grocie była świątynia *Mithrasa* perskiego boga, w którym słońce czczono. Tyberyusz od rzymskich bogów nie wiele się już spodziewał łaski, więc obce bogi osiedlał na Capri i najstraszniejszymi je chciał pozyskać ofiarami. Grotta *Matromania* wieleby umiała opowiadać zbrodni. Ślad jednej tragicznej historyi został nam na grobowej tablicy, którą z następującym greckim znaleziono napisem:

„Dobrzy Demoni, co Sycylijskie zaludniacie kraje, zabierzcie mnie do siebie, mnie nieszczęśliwego, co nie umarłem na życzenia bogów, ale niewinnie na niespodziewany rozkaz mego władcy. Niedawno mnie jeszcze cesarz tysiącznemi obsypywał dary, aż naraz mnie i mych rodziców wszelkiej pozbawił nadziei. Jeszcze piętastu ani dwudziestu lat nie dożyłem, a już niestety nie widzę światła jasnego dnia. — Hypotas się nazywam i błą-

gam ciebie mój bracie, i błagam was rodzice: biedni! nie płaczcie więcej nademną!“

Co za straszna tragedia musiała się odegrać w tej grocie; chłopiec nie mający lat piętnastu, dawniej ulubieniec cezara męczeńską śmiercią tutaj zakończył życie. Może go cesarz w chwili kiedy sny krwawe trapiły jego wyobraźnię, poświęcił bogowi słońca, aby jasny ku sobie sprowadzić promień, któryby rozprószył ciemności czarnej jego duszy! Lecz w duszy Tibera spokoju więcej nie było...

Dziwnabo to była natura — prototyp zręcznego tyrana. Najpiękniejszy mężczyzna swego czasu, rozumny, dowcipny, przebiegły w wysokim stopniu, wykształcony dyplomata jakich nie znała starożytność. Proszę się przypatrzeć w Watykanie w galerii Chiarimonti, jego posągowi znalezionemu w Veji. Posąg przedstawia go jako młodego bohatera, podobieństwo wzięte z natury. Również jak o belwederskim Apolinie, powiedziałaś, że w tej postaci jest coś kobiecego. Pełność ciała, delikatne rysy, zgrabnie wycięte usta, pogodne czoło, każą ci sądzić, że to kobieta rzymskiego świata, której przyszedł kaprys dać się przedstawić w postaci greckiego herosa. Tyrani zwykle byli nerwowi, Caligula dostawał spazmów, Nero tracił przytomność, gdy tony muzyki w szal go wprowadziły, lecz tyrani i pięknnością się odznaczali, proszę sobie przypomnieć Cezara Borgię, który był najprzystojniejszym swego czasu mężczyzną.

Co do piękności rysów twarzy mógł się Tiberius mierzyć tylko z Augustem, w przebiegłości przeszedł Talleyranda. Jeden z nowszych pisarzy, powiada o nim, „że on nie obiecywał, przysiąg nie składał, ani nawet nie kłamał, albowiem życie jego pasmem było kłamstwa.“ Ze słodkim uśmiechem na ustach kazał zrzucić dla zabawy niewolników w morze, z tysiąc stóp wysokiej skały, z galanterią wydawał rozkazy, aby zgładzono kilku senatorów, których oczy nie podobały mu się przy ostatniej uczcie. To też fałsz, piekielny sarkazm i złośliwy skeptycyzm wryły się później na jego twarzy. Zobaczcie w neapolitańskim muzeum jego portrety pochodzące z czasów gdy mieszkał na Capri, a spostrzeżecie jaka się tam linia jadem zatruta uformowała, po bokach tych zawsze uśmiechających się ust; spostrzeżecie, że coś się znalazło w tym kamieniu, co zimniejsze i twardsze, aniżeli kamień sam — to skamieniałe serce Tyberiusza!

Ta twarz umiała się maskować, po niej nikt się nie mógł domyśleć, co za zbrodnicze kryje myśli, co za krwiożercze knuje zamiary. A przecież ten Tyberyusz był miłym towarzyszem, z filozofami całe dnie rozprawiał o najważniejszych zagadnieniach świata, kazał sobie czytać poezye, pojmował piękności przyrody. A że znał jej wdzięki, najlepszym tego dowodem „Villa di Giove“ wybudowana na takim miejscu, na jakim żaden monarcha po nim, nie miał swojej rezydencji. Zawsze zamknięty w sobie Tyberyusz nikomu się nie zwierzał, w nikim nie miał przyjaciela, w męzkim wieku sam sobie wystarczał, lecz gdy starsze nadeszły lata, chciał przecież po za sobą szukać oparcia: więc mu astrolog Thrasyllus w gwiazdach czytał wróżby i nawet przy końcu życia wielki miał wpływ na niego.

Czarę rozpustnego życia, czarę rozwiozłości do dna wychylił potężny cesarz, a teatr w jego willi na Capri, mógłby nam opowiadać o chórach bachantek, o hołdach składanych bogini miłości: Wenus nie miała posłusniejszego dworu, nad dwór na skalistej wyspie ¹⁾).

Do ruin tego dworu się zbliżałem, a gdym jeszcze wyszedł kilkadziesiąt kroków ku wschodowi, znalazłem się na progu małego domku, którego gospodarz zapraszał mnie na odpoczynek. Naturalnie chodziło tutaj o kupienie butelki nędznego wina, i o zostawienie bajokków dzieciom, które natychmiast na przywitanie

¹⁾ Charakter Tyberyusza przedstawiłem odpowiednio do miejscowych podań na wyspie Capri, podania te są zgodne z tem, co Swetoniusz i Tacyt piszą o tym cesarzu. Tyberyusz jednak znalazł w nowszych czasach bardzo znakomitych obrońców a mianowicie w Drze Siewersie p. Tacitus und Tiberius“ zwei Programme des Hamburger Johanneums 1850 nnd 1851 w Merivalu (History of the Romans un der the Empire) i Adolfe Stahr (Tiberius. Berlin 1863). Pisarze ci przedstawiają Tyberyusza jako jednego z tych cesarzy, których rządy zapewniały znakomity rozwój i pomyślność rzymskiemu państwu, i sądzą, że na Capri udał on się znękanym życiem i rozstrojonym licznymi zawodami. Zaprzeczają jego mniemanym okrucieństwom i rozwiozłemu życiu na wyspie Capri i malują go jako jedną z najtraicniejszych dziejowych postaci. Tego samego zdania był o Tyberyuszu Napoleon I. W każdym razie postać Tyberyusza, czeka na swego Szekspira.

cudzoziemca zaczęły tańczyć tarantellę. Kilka kroków za chatą, jest brzeg i przepaść na tysiąc kilkaset stóp wysoka, zwana „Salto di Tiberio“, gdyż ztamtąd miał smutnej pamięci cesarz dla przyjemności zrzucić w morze niewolników. I rzeczywiście nie mógł sobie do tej zabawy lepszego obrać miejsca, kamienie nadół zrzucone leciały minutę, zanim było słyhać, że spadły na powierzchnię wody, więc cesarz mógł się dosyć długo delektować widokiem spadających ciał.

Wrzuciwszy w przepaść z tuzin kamieni, poszedłem znów wyżej do właściwych ruin „Villi di Giove.“ Ruiny to jeszcze ogromne i dziwić się doprawdy należy, że na takiej wysokości, wystawione na burze i wiatry, tak długo się utrzymać potrafiły. W sklepionej komnacie zastałem żłób i krowę będącą własnością owego obywatela, co rozłożył swój kram koło „Salto di Tiberio“ a biedna krowa ani się spodziewała, jakiego dostąpiła zaszczytu że jej wolno gospodarować na tych miejscach, gdzie ongi może sam Tyberyusz do gnuśnego się układał spoczynku. Resztki wielkiej latarni morskiej, ślady teatru z mozaikową jeszcze posadzką, labirynty ganków, sklepionych komnat, kawałki marmurowych słupów, i ozdobnych schodów, wszystko to pomaga naszej wyobraźni, aby się w starożytny przenieść świat. Wśród tych ruin ubodzy wieśniacy z Capri, pozasadzali winogrona, drzewa figowe, granaty, a natura przyozdobiła nieregularne mury: powojem, różą i akacją.

Na najwyższym punkcie ruin, stanęła niewielka kaplica: „Santa Maria del Soccorso“, a przy niej pustelnik znalazł schronienie. Kaplica ta zdaje mi się, że nie ma szczęścia do pustelników: przed laty kilkunastu znalazł tam jeden podróżny pustelnika starca, który się bawił czarnoksiężkami sztukami, ułaska-wiał węże i jedyny na całej Capri niemiłe robił wrażenie. Obecnie zastąpił go inny młodszy już pustelnik, ale gdyby nie on, tobym był wyjechał z Capri, nie napotkawszy nic, coby mi zepsuty, obłudny przypomniało świat. Oczyma bazyliuszka zmierzyl mnie ów braciszek, monotonnym głosem zaczął recytować opis swej kaplicy i naprzód snadź obliczał moją kieszeń, i tę częśćkę, która się z niej, dla niego dostanie. I ten człowiek ma pomieszkanie, któregooby mu pozazdrościli potentaci świata! I on ma reprezentować ideę chrześcijańską, która na starożytnych ruinach, niewinną krwią przesiąkniętą, wywiesiła sztandar miłości i

pojednania! Snadź że przekleństwo rzucone na tę nagą skałę, aby przez liczne wieki dla złego tylko była schronieniem.

A przecież gdy człowiek usiądzie tam i spoglądnie na niebieskie morze, na rdzawe skały Massy i Sorentu, to mu się wszystko pięknem i wzniosłem wydaje, i nie chce wierzyć, aby w obec takiej natury, zbrodnia kiedykolwiek rozpościerać miała swoje panowanie.

Słońce już zachodziło i zdawało się, jakby się zanurzało w głębokiem morzu, po falach rozpuściło złociste warkocze, udając się do domu — na spoczynek. Więc pożegnałem na dzisiaj ruiny Tibera i schodziłem ku Marinie wśród ogrodowych murów. Na wpół może drogi, blisko miasteczka, jakąś dziwną a pełną melancholii usłyszałem muzykę — zszedłem więc w bok za jej głosem i znalazłem się w obec schludnego domku z werandą — z pergolą umajoną szerokim liściem winnej latorośli. Pod pergolą dwóch starców, w mundurach włoskich inwalidów grało pieśń pobożną: jeden na gitarze, drugi na grzebieniu, koło nich kilka dziewcząt dzienną kończyło robotę, tkalo wstążki z złotego jedwabiu. Wszedłem pod pergolę, udając że sobie zmylił drogę pomiędzy murami i że nie wiem kędy iść dalej ku Marinie.

Jakiż to jednak piękny pod cieniem werandy znalazłem obraz! Dwaj starcy byli ciemni z domku inwalidów, co się za miastem znajduje, dziewczęta z rzewnem spojrzeniem wtórowały im śpiewem od czasu do czasu, a czólenka szybko biegały po krosienkach, zostawiając po sobie piękne na wstążkach desenie. Po smutnym hymnie ociemniałych starców, wesołe nastąpiły piosenki, nie wszystkie mogłem rozumieć, gdyż w nich mnóstwo zwrotów i wyrażeń, których się w książkowej nie spotyka mowie, ale że tam było więcej uczucia, więcej poezji, aniżeli w niejednej książce strojnem mianem poezji przyodzianej, to czuć było można. Ten wianek dziewcząt z Capri, śpiewających przy czólenkach tkackich, przypomniał mi jeden z pięknych wierszy Lenartowicza:

Pieśni wiejskie dziewcząt sprawa,
To ich szczęście i zabawa
Różne dziwy plotą plotki,
Kręcąc swoje kołowrotki.

A na duszę pieśń dziewczęca,
 Jak nić złota się okręca.
 Z krwi kochanków, z łez kochanek,
 Wije sobie srebrny wianek,
 Okręcają nitką złotą,
 I cieszą się swą robotą.

Rzeczywiście te dziewczęta mimo mozolnej pracy, cieszyły się swoją robotą, bo tak były wesołe, i tak swobodne, że patrząc się na nie mimowoli myśl przychodziła, jak mało do szczęścia potrzeba! Większa część ubogich rodzin na wyspie, utrzymuje się z tkania różnowzorych wstążek, a gdy wyjdiesz na Anacapi, to przed każdym domem prawie zobaczysz dziewczęta, jak od świtu do nocy przed domami żółty jedwab przędą, zasłonięte od skwaru słońca szerokim liściem winnej latorośli.

Późno już wróciłem do domu, a panna Hortensya myślała że mnie z pewnością skorpion ukąsił i gdzieś na gruzach willi Tyberyusza wcale nie bohatyrską znalazłem śmierć. Towarzystwo hotelowe znów się zgromadziło w jadalnej sali, a że nie było tancerek do Taranteli, a nasz Francuz zabierał się do pokazywania jakichś sztuk karcianych, więc wolałem wyjść jeszcze nad morze, i słuchać szumu bałwanów. Młody syn właściciela hotelu, przystąpił kn mnie i zaczął mi opowiadać, że dzisiaj właśnie Pietro i inni rybacy wybierają się na pełne morze, przy świetle pochodni łowić Calamajo. Chciałem poznać Pietra, który ciekawą był dla mnie osobistością, od czasu jak stary padrone opowiadał nam tragiczną historię o Angliku i jego narzeczonej. Z drugiej strony połów ryb na morzu przy świetle pochodni, nie mały miał dla mnie urok, więc poszedłem ku Marinie, aby ujrzeć krzątających się rybaków.

Boso, po kolana obnażeni w czerwonych wełnianych koszulach i frygijskich czapkach, krzątali się rybacy, a latarnia, którą trzymał mały chłopiec rembrandtowskie na nich rzucała światło. Zwijali sieci, spuszczała czółna na morze, a wszystko tak pilno, a wszystko tak dzielnie, jakgdyby się pod noc gotowali na jakąś tajemniczą wyprawę, jakby knuli jakieś plany nie znoszące jasnego dnia. Pietro nimi dowodził, a był to barczysty i przystojny mężczyzna z ogoloną twarzą i ostrymi rysami, oczy jego pełne ognia, jak dyamenty błyszczały przy słabych promie-

niach latarni i przyćmiewały to niepewne światło. Twarz jego opalona, prawie miedzianej barwy, okryła się wyrazem stanowczości i odwagi. Twarze tych marynarzy — tych rybaków nadzwyczaj przyjemne robią wrażenie; są to ludzie co całe życie igrają z niebezpieczeństwem. przytomność musi być największą ich umysłową zaletą, siła i zręczność zaletami ciała.

Za kilka lirów zgodził się Pietro wziąć mnie do swojej barki i powrócić na Capri, kiedy tego zażadam. Zarzuciłem więc pleed na siebie i skoczyłem do łodzi, musiałem jednak przyjąć obowiązek trzymania pochodni, w łodzi bowiem tylko trzech ludzi pomieścić się mogło a dwóch musiało wiosłować. Myśmy się pierwsi spuścili na morze, a musiałem dobrze świecić pochodnią, dopóki łódź nie wypłynęła na pełne morze i nie miała się czego obawiać nadbrzeżnych skał. Za nami jeszcze trzy ruszyły barki, wszystkie z pochodniami. Noc była ciemna, chmury nawet gdzieś gwiezdy zasłaniały, moi wiosłarze silnie popychali łódź i równocześnie z kolegami na innych łodziach wesołą zanucili barkarolę. Jak olbrzymy stanęły przed nami czarne, wysokie brzegi Kaprei, a słabe światełka „dobranoc“ nam zaszyły. Światło hotelu „Gran-Bretagne“ najdłużej nam towarzyszyło. Płynęliśmy ze trzy kwadranse, a może z godzinę, łodzie się rozstrzeły, aby na jednym miejscu nie odbywać łowów, barkarole ucichły, słychać tylko było jednostajny szum morskich bałwanów i wymierzone uderzenia wiosł. Bałwany szły tak wysoko, że chwilami traciliśmy z oczu płonące pochodnie naszych towarzyszy i zdawało się, jak gdyby wraz z łodziami przepadły w morskich głębinach.

Mieliśmy przed sobą obraz wspaniały a groźny; bałwany ciemne, ołowiane, zdawały się gniewać, że im ktoś nocną śmie przerywać ciszę, światło pochodni krwawą na nie rzucała strugę. Stał mi na myśli starożytny Charon, co duchy przewoził przez wody Styxu otoczone ciemnościami podziemnego świata, a stał mi na myśli tak jak wyszedł z pod pędzla Michała Anioła na wielkiej ścianie w Syxtynie. Gdy zaś spojrzałem w morze i tam gdzie go pochodnia oświecała mógł zagłębić wzrok w płomienne nurty, to sądziłem, że stoję u wrot piekieł Dantego i że przedemną się otwierają jego straszne kręgi.

Pół się zaczynał — przyplłynęliśmy na miejsce, gdzie jak mówił Pietro, Calamajo szczególnie lubi przebywać, więc

tylko jeden z wiosłarzy z wolna bił wiosłem w fale. Pietro zaś kazał mi świecić na końcu łodzi, a sam stanął koło mnie z narzędziem podobnem do ośęki, więcej tylko mającem kończastych promieni.

Do światła miliony najróżnorodniejszych zbudzonych ze snu gromadziło się żyjątek, o dziwacznych kształtach i wesoly prowadziło taniec. Obraz tego życia i tego ruchu, podobnym był do tych gonitw, które widzimy patrząc się przez dobry mikroskop w szklanę mętnej wody. Jedno zwierzątko jak krew czerwona, a do pająka z kształtu podobne, jakieś konwulsyjne wyprawiało skoki, inne srebrzyste i promieniste jak gwiazda św. Szczepana na piersiach austriackiego dyplomaty, ciągle się w kółko obracając, za nami walcowało; śmielsze rybki, aż pod łódź się zapędzały, sądząc że się ogrzeją przy promieniach światła, inne większe z niedowierzaniem zdala tylko pluskały, nie przybliżając się do nas tak blisko, aby je złowić można. Nareszcie wielka, brunatna o nieregularnych kształtach pokazała się ryba, jakgdyby pływający korzeń krzewiny, o tysiącznych prętach i odnogach.

To Calamajo!

Pietro spuścił ośękę do morza i kierował tak, aby dziwaczne zwierzę w kolce się zaplątało, co nie było trudnem, bo zwierze gwałtem się do ognia dobijało, a swemi odnogami wikało się pomiędzy żelazne pręty ośęki. Nareszcie szarpnął Pietro mocno i jednym zamachem porwał zwierzę do łodzi tak, że się aż łódź zachwiała. Brzydszego stworzenia nie widziałem... bardzo jednak pożyteczne, gdyż dobrze za niego płacą fabrykanci farb.

Wskutek szybkiego przeniesienia zwierzęcia z fal morskich do łodzi, dużo się nam wody nalało, musieliśmy więc małą łopatką wodę powylewać.

Pomimo żeśmy się jeszcze długo kołysali na szerokim morzu, więcej ryb ułović nam się nie udało, Pietro chciał już nawet wracać na Capri, ja jednak nie mogłem sobie odmówić przyjemności widzenia wschodu słońca, które tyle ma uroku i taką obfitością nieznanym nam obsypuje barw...

I rzeczywiście widok to nieporównany.

Zrazu, z pierwszym brzaskiem dnia morze szarzeć się zaczęło, prawie popielatego było koloru i anibyś myślał, że ta

sama przestrzeń za kilka godzin najpiękniejszą niebieską zajaśnieje barwą. Kolor popielaty zmienił się wkrótce w ciemnobrązowy, później zdawało ci się, że fale pomarańczami zasiane, a gdy się pierwszy z głębiny wód wynurzył promień, to taki złocisty blask padł na wód powierzchnie i w tak różnorodnych odbił się odcieniach, że już to widziałeś niby krzak gorejący wynurzający się z morza, już to szatan na pokusę błysnął ci worem dukatów, już też byłbyś przysiągł, że ujrzałeś kolce i diademę z opalów, coby tak strojnie wyglądały na śniadej cerze brunetki.

Chciałem się schylić po te opale i zawiesić z nich kolbę na szyi Mariuccie, ale niestety promień słońca zadrwił sobie ze mnie i naraz szafirami całe morze zasiał, a te szafiry dzień zwiastowały i sny kazały porzucić.

III.

Miss S. Amerykanka, o której wspomniałem, nadzwyczaj zajmującym była dla mnie spotkaniem, zajmującym li tylko ze stanowiska turysty, a nie z innych względów, miała już bowiem niestety przynajmniej ze czterdzieści pięć lat, i nie należała bynajmniej do tych wyjątkowych kobiet, za którymi w tym wieku jeszcze ludzie szaleją. Szczupła, wysoka, z włosiem bujnym ale nieco siwizną przyprószonym, w oczach i wyrazie twarzy, posiadała nieprzebrane skarby łagodności. Przyjechała na Capri wiedząc, że tam w lecie wielu przebywa Niemców i Francuzów, i tym sposobem synkowi swemu chciała dawać praktyczne lekcje niemieckiego i francuzkiego języka. Z Capri miała się udać do Rzymu, potem na wschód, z powrotem do Wiednia, Berlina i Paryża, a za dwa lata do ojczyzny — do Ameryki.

Swego syna kształciła bardzo republikańskim systemem, i nie powiem, żeby mu to na złe wychodziło. Przed rokiem wykladał mu w Nowym-Jorku jakiś niemiecki emigrant zasady swego języka, podczas dwumiesięcznego pobytu w Londynie, uczył go ktoś po niemiecku systemem Robertsona, w Nicei systemem Olendorfa, na Capri sam chłopiec czytał jakąś francuzko-niemie-

cką gramatykę, pomimo to jednak mały Amerykanin więcej umiał po niemiecku, aniżeli nasi gimnazjaliści, co bardzo porządnie szóstą ukończyli klasę. W całym wykształceniu tego chłopca panowała podobna swoboda, powiem nawet brak ładu, a przecież zdziwił mnie mnóstwem wiadomości i nad wiek rozwiniętym rozsądkiem. Systematyczność to choroba ludzi starych, to choroba naszej zgrzybiałej Europy; znałem biurokratów co umierali w kilka dni po wystąpieniu z urzędu, kto wie czy Europie nie przyjdzie kiedy zakończyć swoich świetnych czasów, jeżeli jej ludom, zabraknie przed obiadem telegramów z giełdy, i jeżeli jej Bismarki co lat dziesięć nie upuszczą krwi.

Zbytek systematyczności, to brak życia, a nam europejskim systematykom w głowie się nie może pomieścić zkaąd taki Lincoln mógł nabrać tyle rozumu, aby rządzić Stanami Zjednoczonymi, będąc drwalem z powołania. Tymczasem rozum nie zawsze wchodzi do głowy drapiąc się do góry po systematycznej drabince, on także ma swoje humory, on także fantastą i często zamiast po katedrze, przechadza się po wiejskich skibach albo po bezludnym lesie.

W pokoju Miss S. nad drzwiami amerykańska jedwabna wisiała flaga, a srebrne gwiazdy w niebieskiem polu przyświecały jej synowi, aby we Włoszech nawet, nie zapominał o ojczystem niebie. Często matka z synem samotnie łodzią puszczała się na morze, wtedy naturalnie dumna amerykańska flaga, musiała nad łódką powiewać. Miss S. wybornie wiosłowała, i nieraz doprawdy podziwiałem, jak dzielnie wypowiadała wojnę wzburzonym falom. Mimo to Angielka nie paliła ani cygar, ani nawet cygarret Laferma, na wzór francuzkich emancypantek.

W piękny majowy poranek, zebrało się całe hotelowe towarzystwo, i poszliśmy na północno-wschodni brzeg wyspy. Dojrzałe cytryny, niewidzianej wielkości, złościły nam drogę, dopókiśmy nie weszli w gęsty lasek wawrzynów, mirtów i akacyj, w którym gierlandy powojów tryumfalne tworzyły łuki. Powój, to jeden urok więcej, którym natura włoski obdarzyła las. Nie masz drzewa, nie masz pini lub platana, coby się nie owinął w liście i kwiaty powoju, jak słup dorycki w ruinach Syrakuzy lub Agrigentu. Gdy spojrzysz w głąb takiego lasu, to ci się otworzy taka dziwaczna perspektywa zielonych łuków, arkad, kwiecistych haftów, że błędzisz jakby w zaczarowanym gmachu,

wyjętym z powieści wschodu, i szukasz pomiędzy liśćmi oczu nadobnej huryski, coby cię miała zaprowadzić do siódmego nieba.

Niestety zamiast huryski, ujrzelśmy w tej gęstwinie czarnego usłużnego Włocha, który widząc kędy idziemy, przyszedł nam siekierką robić drogę, przecinać zwoje bluszczów i usuwać bukiety paproci.

Nie masz zakątka na wyspie gdzieby Tyberyusz swych nie zostawił śladów. Z lasku wyszliśmy do tak zwanych łązienek Tyberyusza, ruiny nadbrzeżnej z mocnem jeszcze sklepieniem, które w nowszych czasach, zdaje się służyło za pokrycie pieca do wypalania wapna. Z nie małym trudem wydrapaliśmy się na wierzch płaskiego, odwiecznym cementem przykrytego sklepienia, i tam rozłożyliśmy nasz obóz. Widok mniej imponujący, aniżeli na wschodniem lub południowem wybrzeżu, ale co, to miał więcej sielskości, więcej poetycznego spokoju. Nie widzieliśmy wprawdzie dzikich skał przed sobą, ale za to byliśmy otoczeni najpiękniejszą zielonością, na jaką się zdoła zdobyć południowy klimat.

Nawet panna Hortenzya zapomniała o skorpionach i zielonych jaszczurkach, a natomiast przyszedł jej na myśl Robinzon Kruzoe i jego dramatyczne losy. Panna Hortenzya była tyle uprzejmą, że zacytowała nam kilka ustępów z życia opuszczonego wyspiarza. Pan Karol naturalnie robił aluzye do tego, że gdzie jest panna Hortenzya, tam i on z chęcią byłby Robinsonem, w czem zupełnie jego nie podzielałem zdania.

Ach moi państwo — przerwała Miss S. — wasz Robinson to episiej, jemu brak poezyi, on ciągle tylko o jedzeniu myśli, my mamy powieść ładniejszą:

Był Robert i była Alice, on silny i młody, ona jak anioł urocza. Kochali się bardzo, miłość ich jednak była nie-szczęśliwą, bo byli ubodzy, i płynęli w świat, aby sobie wywalczyć jakąś egzystencyę i ślubnym się połączyć węzłem. Na pokładzie okrętu, na którym za szczęściem gonili, była menażerya i był biały niedźwiedz, który im się bardzo podobał, a Alice żałowała, że nie ma pieniędzy, aby biedne zwierzę z żelaznej uwolnić klatki. Podróż im się nie wiodła, sroga burza zaczęła miotać okrętem, okręt uderzył o skałę i rozbił się. Robert uchwycił czółno, pociągnął za sobą Alice, i w ten sposób się wyrato-

wali. Alice jednak pamiętała o białym niedźwiedziu, opuszczając okręt otworzyła mu żelazne kraty i wypuściła go na wolność. Uwolniony niedźwiedź płynął za czołnem Alicy i Roberta, chcąc wraz z nimi dostać się na ląd, wkrótce mu jednak siły zaczęły ustawać, od dawna bowiem zamknięty, nie mógł się ćwiczyć w pływaniu, więc zbliżył się do czołna i prosił kochanków, aby go wzięli ze sobą. Robert obawiał się, aby pod ciężarem niedźwiedza czołno nie zatoneło, więc się wzbraniał dać zezwolenie. Ale Alice wiedzioną przeczuciem, że jakiś dobry duch w tym niedźwiedziu przebywa, uprosiła Roberta, aby go wziął, i tak się stało. Odtąd niedźwiedź stał się, rzecz można, opiekunem i wybawcą rozbitków, nie tylko bowiem wiosłował wtedy, kiedy już Robertowi ustawały siły, ale na odludnej wyspie, na którą wylądowali, znosił im zwierzynę, leśne owoce i starał się o zaspokojenie ich codziennych potrzeb. Dzięki niedźwiedziowi, mogli Robert i Alice żyć tylko miłością, nie troszczyć się o świat...

Amerykanka się rozplakała, nie kończąc zdania, panna Hortensya zagryzła wargi, a w reszcie towarzystwa powstało kłopotliwe milczenie, oczekujące wyjaśnienia, dlaczego historia o białym niedźwiedziu tak szczerze wywołała łzy.

Może to młodociane wspomnienia o jakimś Robercie, może łza za miejscem gdzie Miss S. po raz pierwszy słyszała historię o białym niedźwiedziu? Przyczyny tych łez zostały ukryte, Amerykanka tylko przeprosiła po chwili, że w nas może smutne wywołała uczucia, i poszliśmy dalej oglądać piękne powoje i niezrównaną zieloność uroczej wyspy.

Historia o miłośnej parze na odludnej wyspie, przypominała mi dzieje miasteczka Ana-Capri, co na wysokości 560 wschodów w skale wykutych, nad nami się znajdowało. Powiadają, że miłość założyła Ana-Capri. Młodzieńcza para, chcąc w pełni używać szczęścia, jakie miłość daje, uciekła daleko od ludzi na pagórek, co prowadzi na najwyższy punkt wyspy, na górę Solaro, i tam wśród gaju mirtów i wawrzynów rozłożyła swój namiot, pod strażą Amora. Poszedłem zobaczyć to miasto miłości. Ież to trudów jednak potrzeba, aby się tam dostać, gdzie miłość przebywa.

W prostopadłej prawie skale, wężykiem wiją się wschody, jedyne wyjście na Ana-Capri, wschody te sięgają jeszcze podobno fenickich czasów. W połowie stromej drożyny, znalazłem kaplicę

św. Antoniego, patrona rzeczy zgubionych. Czyżby to miało znaczyć, że każdy, co doznał w życiu zawodów, na tej górze może znaleźć serce, co mu przeszłość zapomnieć każe? — Gotów jestem w to wierzyć, bo niewypowiedziany urok rozlewa się na tych płaskich domkach w Ana-Capri, winną przystrojonych lato-roślą, i lśni w oczach tych dziewcząt, co jak greckie Parki, siedzą na tej górze, i przędą długą nić żółtego jedwabiu. Te dziewczęta w swej samotności królują nad całą wyspą, u stóp ich leży Capri i Marino, leżą ogrody pełne cytryn i pomarańczy, leżą rzymskie ruiny, leżą czarowne groty i niezmierna przestrzeń niebieskiego morza.

Na Ana-Capri drzew dużo, może więcej aniżeli na brzegach wyspy, domki rozrzucone w ogrodach, balsamiczne powietrze upaja swą wonią, a cisza taka, że mógłbyś słyszeć lot motyla, co z kwiatu przebiega na kwiatek. Chwilami doleci cię wesółka pieśń od kołowrotka, i każe ci iść za sobą, bo tak pięknie brzmi w tej ciszy, i tak jej dobrze wśród tych drzew oliwnych, że nie masz siły oprzeć się jej pokusom, nie masz siły nie popatrzeć się, jak się jedwab przedzie. . .

Dziewczęta siedzą i patrzą w nieskończone morze, ku Sycylii i ku brzegom Tunis, bo tam są ci, co dla nich się narażają na niebezpieczeństwo, ci co chcą im przynieść szczęście, popłynęli w cudzych wodach szukać koralu.

Ana-Capri to osobny świat, to urocza gmina wymarzona w umyśle jakiegoś poetycznego utopisty, niezadowolonego z porządku dzisiejszego społeczeństwa. Nie można być dalej od świata, a zarazem bliżej od gwarne go życia, jak się jest na tej skale. Gdyś pozostawił za sobą te kilkaset wschodów, to tygodniami możesz żyć w Ana-Capri nie widząc ludzi, którzyby ci przypominali ciężarny grzechami wiek XIX, rzadko bowiem nawet bywa, aby turyści aż tam się zapuszczali, mozolną do góry przedsiębiorając pielgrzymkę. W kilka godzin zaś ztamtąd, możesz być na Strada di Roma w Neapolu, na jednej z najgwarniejszych ulic Europy, trzymać się za pugilares i za zegarek, i uważać, ahy nadjeżdżający powóz przykrej ci nie pozostawił pamiątki. Jakie tam kontrasty, jaka różnica ludzi i zwyczajów! Na Ana-Capri praca i cnota, w Neapolu występki i próżniactwo, tam prostota i naiwność, tutaj kuglarstwo i błaga, tam odwieczne zasady moralności, tutaj deklamacje o socjalistycznym szczęściu.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek opuszczałem jakieś miejsce z takim żalem i z taką tęsknotą, jak to skaliste ustronie, a gdym szedł napowrót koło owej kaplicy św. Antoniego, po tych wązkich wschodach, to mi się zdawało, że powracam z innego idealniejszego świata, aby się na nowo okopcić dymem fabrycznym, i brnąć w połączanym materjalizmie dzisiejszych czasów.

Ci co nam się obecnie na zbawców narzucają, terazniejsi fałszywi mesyasze, uderzają na wszystkich rogach ulic w bęben i krzyczą w niebogłoso: przynosimy wam szczęście, bo pomnażamy wasze potrzeby, wyszukujemy wam różne sposoby użycia, pozwalamy wam pić pełną czarą życia! — Tych proroków posłałbym na Ana-Capri, jeżeli w nich tleje jeszcze zarzewie uczucia, a ręczę, że będą marzyć o czarce krynicznej wody, i nie zechcą jej zamieniać na kielich przyskającego szampana.

IV.

Widzieliśmy Ana-Capri, dumaliśmy na gruzach Villi d Giove, błądziliśmy wśród mirtów i powojów, a nie oddaliśmy hołdu niebieskiej grocie, owej Mece turystów, zaklętej krainie poetów, marzeniu przyrodników. Więc proszę jeszcze o chwilę cierpliwości, a wprowadzę was w ten uroczy świat. Zamiast potoku słów, chciałbym obecnie posiadać siłę czarnoksiężnika, aby przed wami roztoczyć srebrem i lazurem tkaną podziemną krainę; chciałbym Faustowi jego szatańskie wydrzeć przymierze, i znać wszystkie sztuki magii i alchemii aby tylko na chwilę ludzić się tym blaskiem szafirów, co cię w zaczarowane przenosi krainy.

Niestety, dziś już Twardowskich racjonalny wypędził wiek, dziś nam niewolno marzyć o piekłach Dantego, niewolno nam ścigać fantazyi wschodniego proroka, co nam rozkosze roztacza w niebiosach. Dzisiaj nam każą być bardzo trzeźwymi.

Więc wróćmy na ziemię.

Kilka dni czekałem napróżno, aby się dostać do niebieskiej groty, morze było niespokojne, bałwany gwałtownie o brzegi wyspy uderzały, a mały i jedyny otwór do groty z pełnego morza, zatykały co chwila wzburzone fale. Wreszcie w pogodny dzień

bałwany mniej się kołysać zaczęły, a Pietro zdecydował, że może łódka prześliznie się przez mały otwór, aby się dostać do czarownej krainy. Na większej barce liczniejsze się zebrało towarzystwo, a Amerykanka z synem, pod egidą ojczystej flagi, za nami na małej łódce, puściła się w pogoń. Lecz kilku silnych włoskich wioślarzy, wyprzedziło tym razem nawet Yankesów potomstwo, i po kwadransie prawie niebieskie pole Stanów Zjednoczonych utonęło gdzieś w lazurowych falach wód neapolitańskich; a Miss S. wróciła do przystani, bojąc się zanadto oddać na morze, które w kapryśnym jeszcze było humorze.

Okružając ku północy brzegi wyspy, zatrzymaliśmy się przed ogromną, prostopadłą prawie skałą, na której zaledwie gdzieś zblakany mirt się zazielenił. W tej skale tuż nad powierzchnią morza, mały spostrzegliśmy otwór, który czasami mocniejsze fale zatykały, to była brama do podziemnego fantastycznego świata.

Pietro małą łódką podpłynął pod barcę, i wziął mnie z jednym jeszcze towarzyszem, morze było niespokojne, trudność w przesunięciu się przez niską bramę do grotty była nie mała; większa część towarzystwa postanowiła wracać do domu, ja jednak, że nie miałem czasu do stracenia, więc doświadczonemu się powierzyłem rybakowi. Fale jak piłką łódkę rzucały, Pietro jednak starał się utrzymać jak najbliżej otworu, aby móżdżko przystać z czasu, i skoro jaka mniejsza fala, większą pozostawi nam bramę, wsunąć się do środka. Ogorzały rybak spokojnym, ale bystrem okiem, jak sokół spoglądał na morze, a żyłasta ręka utrzymywała łódkę w równowadze. Dobra minęła chwila spokojnego pomiędzy nami milczenia.

Teraz wjedziemy! zakomenderował Pietro, a na ten znak pokładliśmy się na spodzie łodzi, aby nosa przypadkowo nie stracić w zanadto blizkiej ze skałą styczności. Pietro przykleknął, pchnął wiosłem czółno w otwór, schylił się, a za kilka sekund fala zaniosła nas do wnętrza grotty.

I naraz płynęliśmy w ogromnej skalistej jaskini i nie widzieliśmy innych kolorów, jak tylko kolory pereł i szafirów. Ogarnął nas lekki zmrok, a twarze i ubrania nasze, i skały, i woda, wszystko w najpyszniejszej niebieskiej kapało się barwie. Za uderzeniem tylko wiosła, z tej azurowej toni miliony sypało się pereł i świecących brylantów, i zdawało się nam, żeśmy

w gościnie u królowej nocy, że to jej najpyszniejsze salony. Na naturalnych łukach skał iskrzyły się brylanty, a w głębi wód jak blade gwiazdy na firmamencie, pływały morskie pająki i inne żyjątka, które srebrzystą zdawały się mieć barwę.

Tutaj Tyberyusz fantastycznej używał kąpeli, otoczony czarownym wieńcem najpiękniejszych niewolnic wschodu, co Nimfom podobne, w niebieskiej grocie zdawały się mieć swoje mieszkanie. Galatea płynąca na muszli, parą zaprzężonej delfinów, w czasie burzy nie mogła mieć piękniejszego schronienia, nad azurowej groty sklepienia. Gdyby Hezyod znał był to miejsce, byłby je przeznaczył na miłośne schadzki Neptuna, tutaj byłby zatknął trójzębne berło pana oceanów i kazał je strzedz Tritonom.

Niemcy co wszystkie wynalazki sobie przypisują, i odkrycie azurowej groty, za swoją sobie poczytali zasługę. Jakiś pan Kopisz, niemiecki turysta, miał po raz pierwszy 17 września 1826, wydobyć tę grootę z zapomnienia. Sam jednak powiada w dokumencie złożonym u właściciela hotelu Pagano, że odkrył ją według wskazówek Pagana. Odkrycie więc redukuje się do tego, że może Kopisz pierwszy rozgłosił sławę groty w środkowej Europie, miejscowa ludność wiedziała jednak dobrze, jaki skarb na swej wyspie posiada i istnienie niebieskiej groty, bynajmniej nie zatraciło się w pamięci mieszkańców Capri.

Ażeby nam pokazać całą świetność barw poruszonego morza wewnątrz groty, zaczął pływać czekający tam na nas stary rybak, a każdy jego ruch zdawał się miliony sypać brylantów.

Podobnie jak wjazd do groty tak i wyjazd powiódł nam się dosyć szczęśliwie, i nie byliśmy w położeniu owych turystów, co po grocie przez 48 godzin na łódce pływać musieli, mocniejsze bowiem bałwany morskie, zatkały wyjście, i zamknęły ich w ten sposób, w najpiękniejszym na świecie więzieniu. Myśmy snać nie narazili się niczem mieszkającym tam Nimfom i Syrenom, więc nam spokojnie odpłynąć pozwoliły.

Wycieczka do niebieskiej groty, była dla mnie zapowiedzią powrotu do Neapolu, i już tylko oczekiwałem na przybycie ztamtąd parowca, aby piękną pożegnać Kapreę; gdym jednak przyszedł oświadczyć mój zamiar staremu padrone, który na kolośalnem wyścielanem krzesle południową odbywał drzemkę, padrone jak młodzieniec jaki, stanął od razu przedemną, i z rodzajem oburzenia rzucił mi pytanie:

Jako, pan nie jesteś ciekawym na święto patrona wyspy? pan nie zostajesz do jutra, aby widzieć przystrojoną wyspę, i procesję na cześć św. Sebastjana? Pan może heretykiem?

Nie panie — nie — ale,..

Panie! jutro będą *fuoci artifici!* ognie sztuczne! pan jeszcze w życiu nie widziałeś podobnego przepychu, jaki u nas będzie!

Fuoci artifici mnie podbiły, powiedziałem że zostanę, aby obchodzić wraz z wyspiarzami święto miejscowego patrona. Odpowiedź moja dobrze dla mnie usposobiła zacnego gospodarza, pozyskałem tym sposobem zupełne jego zaufanie. Więc się starowina rozgadał przedemną, i zwierzał się ze swoich interesów. Opowiadał mi, że od dwóch tygodni bardzo mu się dobrze dzieje, i więcej jak zwyczajnie gości do niego przybywa. Gdym się zaś pytał o przyczynę, wskazał mi stary na ołtarzyk Matki Boskiej, który było widać przez drzwi otwarte, w sypialni państwa gospodarstwa.

Widzisz pan — opowiadał padrone — bo to u nas jest przenośny ołtarz Matki Boskiej, który księża co dwa tygodnie w innym ustawiają domu, chcąc każdej rodzinie przynajmniej na czas krótki w roku, boskie zapewnić błogosławieństwo. Mnie się udało, że ołtarz dostałem na cały miesiąc, to też widocznie mnie się z nim szczęści, codziennie miewam po pietnastu do dwudziestu gości, i to takich co dobrze jedzą i piją, i każdy sporo da utargować.

Poszedłem do pokoju oglądać cudowny obraz Matki Boskiej, co cudzoziemców sprowadzała do hotelu pobożnego Włocha, i przypomniały mi się nasze wiejskie faretrony, nasze ołtarzyki z Matką Boską Częstochowską, które w Boże Ciało dziewczęta ustrojone w wianki z ruty, obnoszą na około kościoła. Ołtarzyk stał na honorowym miejscu w pokoju, w głowach pomiędzy łóżkami jego i jejmości, a cała rodzina odprawiała przed nim wieczorne modły, prosząc o pomyślność na rok cały, dopóki ten ołtarz, znów pod ten sam dach nie zabłądzi.

Nie żałowałem, że mi się dał Włochowi namówić do pozostania na wyspie w dniu św. Sebastjana. Dzień ten pozostawił mi wrażenia tak uroczego obchodu, za jakim musiałbym daleko szukać po szerokim świecie.

Ranek był prześliczny, jasny pogodny i jednej chmurki nie było widać na szafirowem niebie, jednej niespokojnej fali na gładkiem morza zwierciadle; woń kwiatów i drzew napełniała powietrze, a świąteczna cisza zaległa wyspę. Gdy tylko wyszedł z pokoju, ujrzałem ponakrywane, kwiatami przystrojone stoły pod werandą, a Mariuccia wystroiła się w swą najpiękniejszą suknię, w wielkie zielone i białe kraty, wyglądające, mówiąc między nami, jak duże pole szachownicy.

Cała droga od kościoła aż do portu obwieszoną była po obu stronach białymi prześcieradłami i kapami, które upięto girlandami z zielonego mirtu i żółtego kwecia. Improwizowanych bram tryumfalnych, chorągwi było po drodze bez liku, a nawet amerykańska flaga naszej Miss S., na bonorowem wisiła miejscu.

Koło Mariny grupowało się kilkadziesiąt osób, widocznie czegoś oczekując, a nad brzegiem stał uwiązany mały bieluteński konik, jedyny jakiego widziałem na Capri, przykryty pasową kapą i ustrojony w różnokolorowe pióra.

Dziewczęta przybiegały do konika i znosiły mu trawę, a jakiś poważny dygnitarz karcił je za to, jak za coś, co uchybiało powadze dzisiejszej uroczystości.

Oczekiwano biskupa z Sorrentu, który miał solenne odprawić nabożeństwo.

Kilkanaście najpiękniejszych Kaprejanek stało nad brzegiem z pełnymi koszykami żółtych kwiatów. Kokietki! wiedziały, że im ładnie obok żółtego koloru! Kolor ten, u nas może często niesłusznie poniewierany, we Włoszech zaszczytnego dorobił się miejsca. Mając słabość do żółtego koloru, z przyjemnością śledziłem za nim, z przyjemnością widziałem go na żaglach bark weneckich i neapolitańskich, na strojach kobiet Pawła Weronesa, na starożytnych ścianach w Pompei i w pałacach rzymskich Cezarów.

Żółty kolor po wsze czasy
 Był kolorem wschodnich tronów,
 Żółte futra i atłasy,
 Ozdabiały Faraonów.

Mojżesz na Synaju górze,
 Kiedy lud swój z prawem brata
 Choć się cały schował w chmurze,
 Widna jego żółta szata.

Żółte niebo w Watykanie,
 Malowali mistrze wzoru,
 Siódme niebo w Alkoranie,
 Ma żółtego być koloru.

,

Więc nad wszystkie róże, bratki,
 Mnie najmiłsze żółte kwiatki.

Pożyczyłem sobie wierszyka od Zacharyasiewicza, aby wyrazić sympatyę dla żółtego koloru, który tem bardziej stał mi się sympatycznym, gdym zobaczył w nim ubraną Capri, ową perłę neapolitańskiej zatoki.

Nie długo się wszakże mogłem za żółtym oglądać kolorem, wkrótce bowiem spostrzeżono z dala na morzu czarny punkt, później drugi za nim, a nad przystanią przeszedł jeden głos: biskup z muzyką już płynie.

Z wyteżoną więc czekaliśmy uwagą, a po chwili niewyraźny głos muzyki pierwszy przyplął po falach, i zwiastował nam początek uroczystego obchodu. Tłumy gromadziły się na kamiennej grobli, aby hołd złożyć swemu arcypasterzowi.

Barki nadpłynęły: na pierwszej muzyka i goście z trójkolorowym włoskim sztandarem, na drugiej fiolety; księża jak grzyby z ogromnymi kapeluszami i dygnitarze z Sorentu. Wyrzucono z barki powrozy, Pietro uwiązał je na grobli, burmistrz z Capri podał rękę dostojnemu gościowi, i staruszek znalazł się na lądzie. Tłumy dziewcząt zaczęły starca po rękach całować, mężczyźni nie mogąc się docisnąć, szat się dotykali, deszcz żółtych kwiatów zaczął padać w powietrzu.

Podprowadzono białego konika, wysadzono starca na purpurą pokryte siodło, muzyka dzielnego zagrała marsza, i szliśmy w tryumfie pomiędzy kołdrami i prześcieradłami, wprost na probostwo.

Tyle w całej tej uroczystości było prostoty, tyle uczucia, tyle swobody i radości, że tem serdeczniej lud ten pokochałem, i tem trudniej mi było odbić od skalistego brzegu.

Obrzędy religijne wielką na Capri grają rolę, w nich składa lud swoje uczucia i troski, w nich szuka zabawy i pociechy. — Ja byłem na radosnej uroczystości, innemu podróżnemu zdarzyło się że bardzo poważny, bardzo smutny tam zastał obchód.

Letnią to było porą, zaraza padła na winną latorośl, zielone jej gałązki usychały, i zdawało się, że cały zbiór zniszczeje, a wyspa swego jedyne go będzie pozbawioną bogactwa. Wtedy cała ludność z księżami na czele, w procesyi obchodziła ogrody, aby zażegnać zarazę i nędzę od wyspy odwrócić. Bractwa w białych ciągnęły habitach z wieńcami winnych latorośli na głowie i zdawało się, że to kapłani Bachusa idą wśród skał, śpiewając swoje bałwochwalcze hymny, a dziki wzrok Tyberyusza spogląda z Villi di Giove, śledząc za ofiarami, dla zaspokojenia swych krwiożerczych fantazj.

Dzień św. Sebastjana przeszedł na nabożeństwie i ucztach, a wieczór *fuoci artifici* oświecały wyspę i dziwnie oryginalny pomiędzy skałami sprawiały widok. Południowi Włosi, pomimo, że tyle mają światła i słońca, przecież namiętnie lubią sztuczne oświetlenia, i nie opuszczają żadnej uroczystości, żadnego solennego wieczoru, aby nie kazać strzelać racom i obracać się ogniowym młynkom, a przecież mogą się często przypatrywać daleko świe-tniejszemu widowisku, bo wybuchającemu Wezuwyszowi.

Nazajutrz po św. Sebastjanie, znów zwyczajna cisza zaległa Kapreę, znów kołowrotki żółty przędły jedwab, i rybacy wypłynęli na szerokie morze, a nasze hotelowe towarzystwo nowym podróżnym ustępowało miejsca, i stojąc na pokładzie parowca, każdy się jeszcze zwracał ku wyspie, i tym uroczym skałom serdeczne zasyłał pożegnanie.



IV.

CAMPANIA FELIX.

I.

Szczęśliwa Kampania! jedyny kraj w Europie co się mianem szczęścia ozdobić ośmielił, jedyny kraj, co się odważył fortunie, śmiało zajrzeć w oczy; a ten kraj przepyszny, to ziemia obiecana, to owa dolina na której się rozsiadły Kapua, Kaserta, Neapol, na której kończynach, kwitło niegdyś Pompei i Sarnus wody swe toczył...

Pociąg się zatrzymał, konduktor wrzaskliwem głosem zawołał „Kapua!“ stanąłem więc u bramy kraju, co burzliwe dzieje połączył z burzliwą przyrodą. Przed skromnym dworcem chodził królewski karabinier w czarnym fraku z czerwonymi i srebrnymi ozdobami, kilka rozczochranych dziewcząt biegało z wodą, z lemoniadą i pomarańczami, a zielone i szare jaszczurki, swobodnie się nam przypatrywały z pobliskiego muru, w takt poruszając pyszczkami. Po za niemi w ogrodzie uginały się drzewa pod dorodnymi cytrynami, a kilka krzaków indyjskiej figi, przytuliło się do murów dworca z ciemnego postawionych ka-

mienia. W oddali widać było szczątki rzymskich jeszcze murów, ruiny jednego z największych amfiteatrów w państwie Tyberyuszów i Domicyanów.

Niegdyś było ludniej i weselej, kiedy gladyatorowie ginęli w wielkim Kapuańskim amfiteatrze, lub kiedy rzymskie orły spotykały się z przebiegłymi hufcami wzbogaconej Kartaginy. Dzisiaj okropny dworzec kolei, wiele ruin, jeszcze więcej ubóstwa, oto owoce odwiecznych wojen i chciwości zagranicznych dynastyi.

Zaledwie jednak opuścisz zczerniałe mury, owe pomniki ludzkiej zawiści, a już oko twe buja, po najpiękniejszej, rajskiej krainie. Jak daleko okiem sięgniesz, aż po mgły morskie na drawo, a po sine góry z białymi szczytami na lewo, wszędzie najpyszniejszy zobaczysz ogród. W tym ogrodzie nie widzianej wielkości rozsiadły się jarzyny, kalafiory rej wodzą i świecą, swe mi łysinami, karczochy z ciekawością wystawiają ciemno-niebieskie głowy, łany kukurudzy w zwartym stoją szeregu, pszenica ugina się pod ciężarem kłosów, a po polu w szachownicę posadzone wzbijają się drzewa morwowe, powiązane ze sobą girlandami winnej latorośli. Zdaje ci się, że tutaj wczoraj odbył się jakiś festyn na cześć Bachusa i od drzewa do drzewa dla większej wspaniałości porozwieszano zwoje winnej łodygi, a to tymczasem sama przyroda wieczne tutaj obchodzi święto, i w niedzielnych występuje szatach.

A wśród tej uroczej natury dziwny naród żyje, naród którego początki, jak początki mieszkańców dawnej Etruryi, w zamierzchłej gubią się przeszłości.

Na tej więc dolinie w szczęśliwej Kampanii i na otaczających ją górach, osiadł od wieków mały naród Osków, naród, dziki, bitny, ruchliwy, niepokojący nieraz sąsiadów, własną posiadający mową i własne nie bardzo czytelne pismo.

Narodek ten w ostatnich czasach nawet uczonym Niemcom wiele narobił kłopotu, znany historyk Momsen, którego niedawno posądzano, że Napoleonowi III pomagał w napisaniu życia Cezara, nie mało się namozolił nad odczytywaniem starożytnych napisów w Pompei, co je szkolne żaki scyzorykiem w ścianach porysowały. Lud za czasów rzymskich mówił w Neapolu, w Pompei, w Stabies, i w innych miastach kampanii, dawnym Osków językiem i toczyła się tam taka walka narodowościowa,

jak ją widzimy dzisiaj w Prusiech zachodnich, w Czechach lub na Szląsku. W ciągu wieków znikła wprawdzie mowa Osków, ale narody które ją przygnębiły, uległy pod każdym innym względem wpływowi małego ludu, tak dalece, że w dzisiejszych jeszcze neapolitańczykach, cechy Osków z łatwością spostrzedz zdołamy.

Ciężkie było życie Osków, bo jak gromady kruków zbiegały się do nich różnorodne, bliskie i dalekie ludy, aby im wydrzeć cudowną ziemię, co ich była własnością. Więc też jak zórawie, na lekkich barkach przypłynęli Fenicyanie, aby swoim sposobem w handlowe stosunki i na nagie fenickie skały z kampańskiej doliny, przywozić wino i zboże. Nadmorskie miasta Osków coraz bardziej cudzoziemcami zaludniać się zaczynały, niejeden płynął tutaj, jak do złotodajnego Ofiru, aby za szklajne korale, lub broń zużytą, surowy wywozić jedwab. Fenicyanie nie starali się bynajmniej bronią podbijać dzikiego narodu, handel i zepsucie miały im otworzyć bramy bogatej krainy.

Oni to do Kampanii pierwsi przynieśli boski kult Wenery. Pompei leżało nad morzem, najbliżej obcych przybyszów, więc też najprzód w Pompei Wenus stała się opiekunką miasta, jej na forum postawiono świątynię i dano jej tamtejsze obywatelstwo pod nazwą: *Venus physica Pompeiana*. Pompei więc miało bardzo przyjemną patronkę.

A owa „Venus Pompeiana“ mieszała się nieraz w prywatne stosunek Fenicyan i Osków, a będąc kosmopolitką, starała się o ile możności międzynarodowe spory łagodzić w drodze miłości. Jakiś fenicki dandys, co dotąd zawsze tylko czarne afrykańskie widywał piękności, tak sobie upodobał w bielszych nieco kampańskich dziewczętach, że w przystępie poetyckiej werwy, napisał na jednym murze w Pompei piękny wierszyk:

Candida me docuit, nigras odisse puellas.

„Biała młoda dziewczynka, nauczyła mnie pogardzać dziewczętami o czarnem obliczu.“ Jakiś dowcipniś rzymski co znał ludzką naturę podpisał, pod tym wierszykiem:

Oderis, sed iteras.

Scripsit, Venus Physica Pompeiana.

„Pogardzasz czarnemi dziewczętami, ale do nich powrócisz. Podpisano Venus Physica Pompeiana“. Dzisiajby ten podpis wytłumaczono francuzkiem przysłowiem: *On revient toujours à ses premières amoures*.

Kto sobie przypomni śliczny romans Bulwera; „Ostatnie dni Pompei“ noszący zresztą bardzo prawdziwą historyczną cechą, ten mi nie zaprzeczy że miłość w życiu Kampanii nie małą odgrywała rolę, proszę sobie przedstawić owe postacie Julii i Jony, owego Arbacesa, co otoczony czarną mgłą egipskiej magi odbywał konferencye z czarownicą na Wezuwiuszu, albo jego orgie w świątyni pompejańskiej Isis, a poznamy, że Fenicyanie nie próżnowali w szerzeniu zepsucia na brzegach cudownej Kampanii.

W czasie rzymskiego cesarstwa egipska Isis wydarła Wenerze berko panowania nad Kampanią, Isis protegowała większe zepsucie aniżeli Wenera, a więc bardziej odpowiadała ówczesnym pojęciom i smakowi Rzymian.

Po Fenicyanach wpływy Greków i Etrusków, nie pozostały bez śladów na małe narody, co szczęśliwą zamieszkiwał Kampanią. Od Greków smak i zamiłowanie do sztuki, od Etrusków wydoskonalenie rzemiosł rozszerzały się pomiędzy Oskami. Owe prześliczne brązy, lampy, kandelabry, które dzisiaj w neapolitańskim podziwiamy muzeum, to zbytek etruskiej w brązownictwie tradycyi. Z Etruryi nareszcie przyszło nad neapolitańską zatokę zamiłowanie zbytku, drogich kamieni, przepychu w meblach, wazach i ściennych ozdobach. Od Rzymian wrzeszcie dostali Oskowie organizacyę municypiów i administracyę w najszerszym tego słowa znaczeniu.

A czyż klimat nie musiał także działać na mieszkańców Kampanii? Owe częste, przemijające a ulewne deszcze, owe szybkie zmiany temperatury, gwałtowne burze, skwarne afrykańskie wiatry, czyż nie musiały stworzyć ludzi nerwowych, drażliwych, pełnych imaginacyj i skłonnych do porywów serca?

Toteż typ Osków, typ mieszkańców szczęśliwej Kampanii, odrębnie się wykształcił od innych typów italskiej ziemi, a dość wyjść jeszcze dzisiaj na ulicę w Neapolu, aby zrozumieć wszystkie cechy tego dziwaczного uarodu, co nie łatwo się podda pod reguły kosmopolitycznych charakterów i pomimo andegaweńskich,

hiszpańskich, francuzkich, bourbońskich albo bonapartystowskich rządów, dotąd zachował swe odrębne cechy.

Jest pewna nieregularność w rysach Neapolitańczyków, która się właśnie staje charakterystyczną tych rysów oznaką. Nie można na przykład powiedzieć, że mieszkaniec Kampanii ma nos grecki, albo orli, albo nareszcie zadarty; o nosach neapolitańskich tyle tylko można powiedzieć, że jeden nos mniej kształtny od drugiego, i że dwóch podobnych nosów nie znajdzie w całym Neapolu. Za to jeżeli w północnych Włoszech, a nawet w Rzymie, spotkasz blondyna lub blondynkę, to bądź pewien, że pod niebem szczęśliwej Kampanii, znajdziesz tylko ludzi z czarnem, metalicznym okiem, kruczemi prawie spalonymi włosami, albo też ujrzysz egzemplarz tak piegowanego i rudego Neapolitańczyka, że i szatan w tradycyi ludu piękniejszemi się nie szczycił włosami. Powabnych głosów także napróżno szukałbyś w Neapolu, chociaż więcej wrzasku nie znajdziesz na świecie. Rzecz zresztą szczególna, że mężczyźni zwyczajnie daleko mają piskliwszy głos, aniżeli kobiety, a młode dziewczęta bardzo często zadziwiają grubym, wcale niedźwięcznym głosem, jakgdyby wieczną miały chrypkę.

Tych przeróżnych krzyków i wrzasków jakie się w Neapolu o uszy obijają, nigdzie się nie słyszy, a gdy wyjdiesz na „stradę di Roma“, albo na Chiaję, to taką usłyszysz muzykę przyszłości, jak gdyby ją tysiące układało Wagnerów. Połowa ludzi co się znajduje na ulicy, krzyczy z jakiegokolwiek bądź powodu: jeden krzyczy, że ma pomarańcze i cytryny do sprzedania, drugi deklamuje o doskonałości mydła do wywabiania plam, trzeci chwytą cię za poję i rozkazującym głosem każe ci sobie buty oczyścić, czwarty prowadzi krowę i zachwala, jakie ta krowa wyborne daje mleko, inny recytuje ci tytuły ludowych ksiązek, które niesie w koszu. Nadto fiakier krzyczy, żeby mu się z drogi ustępować, ciemny dziad pod kościołem śpiewa nabożne pieśni, pies poważnie jadący na osle, szczeka nie chcąc się stracić w tłumie, ekwipaże najróżnorodniejszymi dzwonią, dzwonekami. Nie koniec na tem, albowiem katarynkarz niemiłosiernie wygrywa arye z oper Verdiego, kilku uliczników przeklina się wyrazami, na jakie tylko stać ich bujną imaginacyę, dziewczyna w kramie brząka tamburinem, wędrujący ślusarz piłuje klucz do jakiejś bramy. Wreszcie zdaleka dochodzą cię tony piskliwych

trąb włoskiego wojska i melancholiczny świat statków odpływających z portu św. Łucyi.

W tym ogólnym wrzasku każdy pojedynczy chce być przecież także zrozumianym, a więc stara się przekrzyczyć swoich sąsiadów, a ztąd powstają głoŝy, o jakich się nie śniło tym, co wieżę Babel wznosili w obłoki.

Do przedrzeźniania się, mimiki, wykrzywania twarzy, udawania śpiewu wszystkich ptaków, od słowika do papugi, Neapolitańczyk szczególny ma dar i pod tym względem jest skończonym artystą.

Raz wieczorem siedziałem przy obiedzie w Lorencie, i obserwowałem jakieś niemieckie małżeństwo, które sobie przy drugim stole z wielką wytrwałością, dolewało do kieliszków „Lachrimę Christi“, gdy w tem za oknem dziwaczna się ozwała muzyka. Neapolitański artysta grał na instrumencie, o jakim dotąd nie miałem wyobrażenia. Na obszerny nos zasadził muzyk pewnego gatunku okulary, czy raczej obciążki, które przyciskały nos z jednej strony, a tem samem pozwoliły Neapolitańczykowi i nosowe i zwykle wydobywać tony. Nosowe tony i grzebień służyły tylko za akompaniament, nasz artysta bowiem miał przytem w gardle taki zasób najrozmaitszych tonów, że nie wiem, czy orkiestra naszych prowincjonalnych teatrów potrafiłaby się poszczycić tak znakomitą instrumentacją. Od „oboy“ i basów, aż do klarnetu, fletu i myśliwskiej trąbki, wszystkie tony stały Neapolitańczykowi do dyspozycyi. Nie zadowolnił się on wszakże samą muzyką i popisywaniem swą biegłością w wykonywaniu zapewne umyślnie na ten cel pisanych utworów, albowiem w miarę czułych i wesołych tonów, tak charakterystycznie zmieniał swoją twarz, że co chwila wyglądał jak inna komiczna maska z przedmiejskiej reduty.

Coś podobnego potrafi tylko Neapolitańczyk, odrzekło stanowczym głosem niemieckie małżeństwo, a mnie także nie wypadło jak tylko potwierdzić słuszną Niemców uwagę.

Nie dziw więc, że na tak urodzajnym gruncie komicznego naśladownictwa, powstał jeszcze za czasów rzymskich odrębny rodzaj scenicznych przedstawień utrzymujący się do dzisiaj w neapolitańskim St. Carlino. Komiczne sztuczki ludowe z ulubionym błaznem *con Pulcinella*, które się do żadnych innych nie dadzą przyrównać przedstawień, bywały przed wiekami grywane w owym

Osków języku, nad którym pan Momsen tyle sobie głowy namalał.

Jest koło „Kapuy“ małe miasteczko Atella, położone wśród najżyźniejszych pól szczęśliwej Kampanii, słynne z tego, że tam za czasów rzymskich po raz pierwszy zaczęto grywać komedye ludowe con Pulcinella. Te komedye więc nazwano Atellanami od miejsca, gdzie powstały. Nie były one podobne ani do satyrycznego dramatu Greków, z Panem Silenami i Nimfami, ani do komedyi Aristofanesa albo Menandra, były to sceny z życia rodzinnego; popularne, tchnące najzupełniejszym realizmem. Wyprowadzano w nich na scenę typy prawdziwe, wzięte z ulicy, z pola albo od rzemiosła. Kazano im bawić się, mówić prawdę, ale zawsze z pewnym akcentem śmieszności,

W obrazkach tych z życia wziętych, wyśmiewano nieporadność pobliskich górali, wyprowadzano na scenę kłótnie ludowe, imitowano w sposób komiczny mowę i obyczaje sąsiednich szczepów italskich, tak że z czasem wyrobiły się pewne stałe typy komiczne, około których cała czynność się obracała. Takim stałym typem został dzisiejszy Pulcinella, który w jednej sztuce jest doktorem, w drugiej żołnierzem, w trzeciej Lowelasem, ale wiecznie owym śmiesznym Neapolitańczykiem, którego dobry humor nie opuszcza nawet pod kapucą klasztornego braciszka. Za rzymskich już czasów jednym z najważniejszych typów, które Poliszynel na scenie przybierał, był to typ żarłoka, zwany dawniej Maccus Manducus, dzisiaj *mangia macaroni*. Stałą stroną neapolitańskiego ludu jest jedzenie i picie, jakżeż więc to cieszyć musi neapolitańskiego Lazzarona, jeżeli widzi na scenie Pulcinellę, który lepiej jak on umie pić i z niezwykłą biegłością połyka macaroni. Maccus w ciągu wieków umiał sobie pozyskać swój własny kostium, i jak za rzymskich czasów, tak i po dziś dzień, występuje całkiem biało ubrany, w czapce podobnej do głowy cukru, w białej tunice, bufiastej, powyżej pasa. Powiadają że armia, którą Sannici wysłali naprzeciw Rzymian tak była ubrana... prawdy tego archeologicznego przypuszczenia nie chcę dochodzić, bo zapewne skończyłoby się na hipotezach. Maccus występował na scenie w różnych okolicznościach, raz był stróżem w świątyni i zjadał owoce bogom na ofiarę przynoszone, innym razem jako żołnierz za całą Kompanię z obiadem się umiał

uwinać, wreszcie jako doktor cichaczem wypijał wino i kleiki dla chorych przeznaczone.

Innym typem „atellanów“ był Bucco, dzisiejszy *dottore Bucco*, mądry człowiek, bakałarz, wróżbit, sarkastyczny, musiał brać na siebie wszystkie śmieszności, jakie tylko spostrzeżono u ludzi jego zajęcia, albo Casnar, u Rzymian Pappus, człowiek dobroduszny, góral co się wychował z daleka od miasta, i którego na wszystkie strony wyzyskiwano.

Słowem Poliszynel to geniusz neapolitański, to upersonifikowany spryt mieszkańców Kampanii, umiejący sobie w każdym położeniu we właściwy sobie sposób poradzić i zawsze z humorem skorzystać z okoliczności. Ow Poliszynel jest więc na pozór łagodnym to znów upartym, pełnym dobroduszności i złośliwości, kłamcą i naiwnym, łatwowiernym i podejrzliwym, cynikiem i satyrykiem, ofiarą i mistykującym, odbierającym policzki ale oddającym je sowicie i zawsze, próżniakiem, żarłokiem, złodziejem jeśli tego potrzeba, uprzejmym, optymistą, szczęśliwym, pieśczochem, zawsze pięknym, zawsze kochanym, zawsze żonatym. Do tego fortuna wiecznie się do niego uśmiecha i nie ma kolizji z którejby z jej pomocą Poliszynel szczęśliwie nie wyszedł. Nie dziw więc, jeżeli stał się ideałem neapolitańskiej publiczności, jeżeli jest tak dla niej koniecznym w komedyi, jak makaroni w przyzwoitym obiedzie. Poliszynel odgrywał nieraz polityczne role, a przez jego usta w teatrze St. Carlino Burboni nie jedną usłyszeli niegrzeczność, Poliszynel musi być patriotą, w pojęciu ludu, boć on z ludu wyszedł i jego jest sprzymierzeńcem.

Scena na której Poliszynel w Neapolu występuje, w zupełności odpowiadają jego zwyczajom, sposobowi myślenia i jego socyalnej pozycji. Obaczmy go więc na tej scenie.

Na *Piazza del municipio* uderzyły mnie na małym, niepokaznym domu afisze większe prawie jak sam dom, z jakimś kolorowanym obrazem, podobnym do obrazów na budach przejezdnych menażeryj, gdzie pół wysznurowanej panny, kryje się w kolosalnej paszczy lwa. Otóż na owym afiszu, nie było wprawdzie lwiej paszczy, natomiast jednak wielka biała postać zdawała się dowodzić całym zastępem arlekinów, w najdziwniejszych występujących kostiumach. A więc to portret Pulcinelli z całym jego wesołym towarzystwem. Pulcinella jak zwykle, tak

i dzisiaj, miał się produkować dwa razy w tej samej sztuce; raz o szóstej, drugi raz o dziewiątej wieczór. Doczekawszy się więc drugiej reprezentacji, wszedłem do przybytku neapolitańskiego humoru i zdawało mi się, że znajduje się w szopce klejonej z papieru, którą już chłopcy poobdzierali z jej najpiękniejszych ozdób.

Cały ten teatrzyk St. Carlino nadzwyczajnie niepokazny, nadzwyczajnie mały, wpuszczony gdzieś głęboko w ziemię, ma niby wszystkie warunki gmachu dla muz przeznaczonego; i łoże i krzesła i orkiestrę, ale wszystko to tak małe i pościskane, że słusznie robi szopki wrażenie. Pulcinellę zdaje się nie razi bynajmniej, że jego przybytek od wieków nie był odnawiany, i że o zmiataniu lub ścieraniu prochów, nikomu się tam nie śniło.

Wązkim przejściem wśród krzesel, dostałem się do pierwszego rzędu, gdzie miałem miejsce i już widziałem mój numer podartą czerwoną obity ceratą, gdy niestety na bliższych krzesłach napotkałem na wielką do wejścia przeszkodę na bardzo stateczne ale i bardzo otyłe neapolitańskie małżeństwo. Padrone dał mi do zrozumienia, że on się z miejsca nie ruszy, i że się mogę dostać na moje krzesło tylko z pomocą wyższej gimnastyki, biorąc za punkt wyjścia trzeci rząd krzesel, gdzie jeszcze mało było zgromadzonej publiczności. Wziąłem się więc do dzieła i po kilku gwałtownych skokach znalazłem się nareszcie obok dobrze wyglądającego małżeństwa. Na umieszczenie całej mojej figury miałem zaledwie kilkadziesiąt kwadratowych cali przestrzeni, musiałem więc siedzieć w pozycyi mumii egipskiej, broń Boże się nieruszając, nie chcąc dotkliwie się dać uczuć mojej nadobnej sąsiadce. Nie koniec jednak na sąsiadce! — przedemną siedział muzykant z łysiną, okularami na nosie i z trąbą o ogromnym otworze. Otwór ten ku mnie był zwrócony. i jak tylko artysta zaczął dąć w swój mosiężny instrument, tak natychmiast owiała mnie z tego otworu taka atmosfera pary przesiąkniętej winnemi ingrediencyami, jak gdybym na naszym zimowym popasie, otworzył drzwi do żydowskiej szynkowni i w progu się spotkał z niegościnnemi wyziewami wonnych spirytuołów...

Bliskość mosiężnej trąby, kazała mi się oglądać poza siebie, a w całej drugiej ławce ujrzałem czeladników różnorodnego cechu, którzy widocznie wprost od warsztatu, bo z poczernionemi twarzami, poszli się bawić dowcipami Pulcinelli. Ten rembran-

towski obraz, oświetlony wątpliwem światłem lamp olejnych, miał jednak i swoje bardzo piękne strony. W dwóch łóżach siedziały neapolitańskie dziewczęta w swoich uroczych narodowych kostiumach. Młodość i świeżość zdobiła ich nieregularne rysy, a piękny strój dodawał wdzięku. Z fantazyą neapolitańskim sposobem zarzucone białe jedwabne chusteczki na głowę, spadały w tył, opierając się na pięknych biustach. Nasze panie siedziały bowiem wygorsovane, w czarnych aksamitnych gorsetach, z pod których ciekawie haftowana wyglądała koszulka. A gdy wstały dziewczęta porwane entuzjazmem dla Pulcinelli, widać było pąsowe spodnice i jedwabne fartuszki przerabiane w różnowzore pasy. Proste, swobodne, a przytem pełne gracyi dziewczęta, były dla mnie przyjemną nowością, na naszej północy bowiem przywykliśmy w łóżach widzieć tylko pretensjonalne kapelusiki i ubiorki, lub ciężkie a poważne gronostaje.

Kapela teatralna, boć trudno jej dać nazwę orkiestry, grała tak przeraźliwie, że lwowski pan Mikuli, byłby był dostał słuchając jej — nerwowej gorączki.

A moja trąba! moja trąba! musiała ona być zrobioną na wzór trąb co waliły jerychońskie mury.

Pulcinella owego wieczora był notaryuszem i bardzo dowcipnie łączył małżeństwo, które prawdopodobnie bez niego nie byłoby się nigdy połączyło, za to też dostawał oklaski, które dla Racheli byłyby wystarczały.

Późno już w nocy wróciłem do hotelu, a że mieszkanie moje było dosyć wysoko, więc z wielką przyjemnością długo jeszcze mogłem się przypatrywać innemu obrazkowi neapolitańskiego życia, tchnącemu prawdziwą poezyą. Ulica na którą moje okna wychodziły, była bardzo wązka, a naprzeciwko położona kamienica miała zamiast dachu dużą marmurową terasę, na której poustawiano klomby najpiękniejszych wazonowych kwiatów. Noc była jasna, księżycowa, więc też na terasie zebrało się liczne towarzystwo, i przy odgłosie tamburynów, tańczyło tarantellę.

Było to na wysokości czwartego piętra, a giętkie postacie wesołych Neapolitanek magicznem światłem księżyca olśnione, rysowały się na ciemnym nieba błękiecie, jak nowe plejady gwiazd co chciały do wesołości pobudzić martwe, od wieków na jednym miejscu stojące towarzyski.

Lecz wśród tego wesela było serce żalobą okryte; bo gdy ochocze rozeszło się towarzystwo, ujrzałem jeszcze obok liści pomarańcz, wysmukłą postać młodej dziewczyny, która się oparła o marmurową balustradę, długo się patrzyła w gwiazdami zasłane niebo i dźwięcznym głosem włoską ludową zaczęła nucić piosenkę:

O szczęśliwa gwiazdka w górze,
Co w księżycu budzi żar,
Anioł nad nią zawisł w chmurze,
Miłość swą jej niesie w dar.

Smutno istnieć mi na świecie,
Wieść z nieszczęściem ciągły spór,
Więdnąć jeszcze w pełnym kwiecie,
Słyszeć smutków pełny chór.

Nie mieć serca, ni kochanka,
To najcięższa z wszystkich kar,
Wzbudzać miłość li w nieszczęściu,
Pić z goryczy pełnych czar.

Poezya ludowa nigdzie może nie ma tego znaczenia, co we Włoszech, co w szczęśliwej Kampanii, tutaj każdy prawie jest poetą, każdy gotów wypowiedzieć prozą lub wierszem owe myśli, pełne fantastycznej siły. Podczas jesiennej uroczystości w Piedigrotta w Neapolu, popisuje się lud improwizowanymi wierszami, i opiewa w nich klęski lub przygody z ostatniego roku. W tych piosenkach są zwrotki nieźrównanej piękności i delikatności myśli, niepodobno ich jednak na obcy przełożyć język, tak forma ich związana jest ze śpiewnością i lekkością włoskiej mowy. Toskańskie, neapolitańskie i sycylijskie poezye ludowe, walczą ze sobą o palmę pierwszeństwa, w toskańskich może jest więcej delikatności uczuć, w neapolitańskich i sycylijskich więcej namiętności, werwy i humoru. Wszystko to są piosnki o niezrównanej formie, o naiwności, o jakiej trudnobyśmy marzyć mogli, pod zimnem niebem północy.

Piosnki malujące różne przejścia ludzkich uczuć, pierwsze tutaj zajmują miejsce, a więc pieśni o miłości, malujące niena-

wieść, zazdrość, pogardę, tęsknotę. Bardzo blisko z nimi są spokrewnione zagadki (indovinelli) najczęściej także z miłością mające stosunek, gdyż pod tem słońcem gorącym, wśród tej upajającej atmosfery, co roztacza zapachy mirtów, cytryn i pomarańcz, serce musi być pełniejsze, aniżeli gdziekolwiek indziej na świecie.

Te porywy serca, te wybuchy uczuć do jakich są skłonni południowcy, byłyby dla nas nieraz psychologicznie niewytłumaczone, a jednak pod pięknym promieniem włoskiego słońca, są one prawdziwe i naturalne. To też północni pisarze, kiedy tylko szukają tematu do dzieł sztuki, a mianowicie do poezji, malującej wielkie namiętności, najczęściej sięgają do serc pod południem żyjących niebem, albo też przezierają karty dziejów tamtejszych ludów. Szekspir wyczerpawszy kilka historycznych tematów, do których mu jego zimna ojczyzna dawała treść, kazał błędzić swej fantazyi w czasach zamierzchłej przeszłości i tam stwarzał swe tytaniczne postacie, albo też szedł na południe i u obcych się zapożyczał.

Na północy byłyby miłość Romea i Julii zapalająca się od jednego spojrzenia, prawie niewytłumaczonym zjawiskiem, tutaj kochanek potrzebowałyby słyszeć przynajmniej głos kochanki, ona chciałaby widzieć go w czynach i działaniu, gdy przeciwnie tam spotkanie się wzroku wystarcza. Tak znakomity znawca serc ludzkich jak Bulwer, gdy w swym „Rienzim“ opisuje jak szybko powstała miłość Adryana Colonna do Ireny, gdy z szybkością iskry każe przepływać temu prądowi, co ma ich wiązać do śmierci, cały rozdział prawie poświęca uwagom mającym wobec swych zimnych czytelników usprawiedliwić niezwykajne dla nich zjawisko miłości.

Więc też i pieśń ludowa włoska nosi cechę tej namiętnej, nieźrównanej miłości, albo też kreśli dzikie uczucia w strofach o wendecie, wojnie i bandytach, o bohatyrskich czynach, takich ludzi jak Testalonga, Fradiavolo, Tabbuso lub Zuzza.

Oryginalną a bardzo piękną instytucję wytworzyła pieśń gminna w Palermo. Od wieków zgromadzają się tam w części gmachu jezuickiego ciemni pieśniarze Sycylii, i pod opieką pewnych praw i statutów, walczą pomiędzy sobą pieśnią o palmę pierwszeństwa. W koło siadają ciemne Homery i jeden po drugim występuje z nową poezją, lub uderza w struny gitary i nie-

słyszane dotąd wydobywa z niej dźwięki. A gdy ci posiwili trubadurów, z zapalem w twarzy ubiegają się o wspólną na grodę, dzieci co ich tutaj przyprowadziły, cichaczem bawią się w sali. Jeżeli się nie mylę, to w *Palazzo Pitti* jest Madonna-Rafaella siedząca na tronie pomiędzy świętymi, uroczystą otoczona powagą, i podczas gdy koło tronu Matki Zbawiciela, najpotężniejsze ludzkie się gromadzą uczucia, kilku aniołków mając wolną chwilę, przewraca w kącie koziołki. Obraz mi ten przyszedł na myśl, gdym wspomniał o towarzyszach starców w Sycylii.

Ciemni trubadorowie jeszcze w r. 1661 założyli w Palermo swoją kongregację, a kilku mieszczan darowało im kwotę około 70 talarów na opędzenie kosztów wzajemnych schadzek. W r. 1690 pozwolił im generał jezuitów *Tirso Gonzales* zgromadzać się w jednym z przedsióneków zakonnego gmachu. Później jednak nie było zakonowi na ręce, cierpieć obok siebie ślepych pieśniarzy, więc im zaprzeczył nabytych praw. Ciemni jednak umieli sobie pozyskać, w czasach kiedy Duca di Laurenzana rządził Sycylią, dekret który zabraniał jezuitom wypędzać ich ze swego gmachu. I odtąd żebracy, toczą zacięty proces z zakonem Lojoli, i z niezrównaną stanowczością i uporem bronią swej kongregacji. Akt księcia *Laurenzana* chowają pieśniarze w żelaznej skrzyni z trzema zamkami, i trzech ciemnych starców, ma sobie powierzone klucze od wspólnego skarbu. Niejednokrotnie starano się podstępnie akt ten wyłudzić, podejrzliwi starcy jednak, pomimo że nie widzieli swoich nieprzyjaciół, nie dali się podejść, i dzisiaj podobno już prawa swe odzyskali.

Kongregacja składa się z trzydziestu członków, muzyków albo śpiewaków, jedni nowe tworzą rymy (Trovatori), inni z gotową pieśnią rozchodzą się po starych miastach, po Syrakuzie Agrigencie i Katanii, albo błądzą wśród ruin sycylijskiej Kampanii i w kaplicach, albo przed obrazami świętych, śpiewają nabożne pieśni, albo też wierszem opowiadają dzieje o bohatyrskich rozbójnikach, i krwawej wendecie.

Nieraz pod złamaną kolumną doryskiej świątyni w Syrakuzie, albo Agrigencie, śpiewa ciemny bard, giestykułuje krwawe opowiadając dzieje, a lud z niezrównaną słucha go uwagą. Jeżeli zważymy z jakim zapalem słucha Włoch południowy ludowe pieśni, to nas dziwić będzie, jeżeli powiemy, że Kampania i Sy-

cylią brzmia od tej pieśni, jak wiosenny łan pola od śpiewu skowronka. W każdej ludniejszej części Neapolu rozłożył swe skarby ludowy księgarz, a magiczne słowo „*Canti popolari*“ sprowadza mu tysiące kupców.

Jak kamienia mądrości na północy, tak kamienia poezji szukano na południu, myśmy jednak nie znaleźli szacownego głazu, gdy tymczasem na Sycylii znają kamień poezji (la pietra della poesia) i wiedzą, gdzie się ten kamień znajduje. „Każdy zostanie poetą — powiada wieść ludowa sycylijska — kto pójdzie do *Mineo* i pocałuje kamień poezji“. Jeżeli który z naszych od natury upośledzonych poetów, chce łatwym sposobem zdobyć sobie dar tworzenia najpiękniejszych wierszy, niechaj się uda do *Mineo Contrada, Camuti, Volla di Paolo Maura*, gdyż tam stoi ów nieoszacowany kamień. Rzecz szczególna, że i Irlandczycy mają taki sam skarb, chociaż wątpię, aby miał tę samą skuteczność co kamień z Mineo. Zresztą kamień irlandzki tak zwany kamień *blarnejski* w wieży *Blarney*, nadaje za pocałowaniem go, dar wymowy a nie dar poezji. Irlandczykom w ich życiu społecznem daleko potrzebniejszą była wymowa, aniżeli poezya, gdyż wobec poezji obojętneby były angielskie serca, podczas gdy w parlamencie, nie jedna dobra mowa, wywalczyła okrucieństwo swobód, dla biednej Irlandyi.

Wróćmy wszakże do naszych ciemnych bardów.

Kongregacya ich rządzi się bardzo ściślemi regułami mającemi zadanie, utrzymać piewców na wysokości powołania, Mają oni swego kapelana, który im codziennie mszę odprawia, i któremu przedkładają do cenzury swoje poezye, w święto *Immacolaty* winien każdy z nich, złożyć małą kwotę na obchód żałobny za zmarłych członków kongregacyi. Szczycą się, że należą do kongregacyi św. Maryi Magdaleny w Rzymie, a tajemnicza ich skrzynia, zamyka także i dekret arcybiskupa *Mormile*, nadający każdemu śmiertelnikowi czterdziestodniowy odpust, kto każe sobie śpiewać bardowi duchowną poezję.

Proszę mi darować, że się cokolwiek dłużej zatrzymałem u sycylijskich Homerów, i na chwilę opuściłem naszą szczęśliwą Kampanię, pod względem poezji ludowej, jednak Kampania w niczem Sycylii nie ustępuje, więc mówiąc o bardach w Pałermie, nie odchodziłem bardzo od przedmiotu.

II.

Wjazd do Neapolu dziwne robi wrażenie: krzyk, gwar, pstrokacizna, komiczna sytuacja, wszystko to wiąże wzrok i uwagę podróżnego i każe mu się oglądać na około siebie. Niczem nasze rzeszowskie albo przemyskie żydki, co każdego wysiadającego z wagonu, zasypują pytaniami i propozycjami, w porównaniu z neapolitańskimi łobuzami, którym żadna policja na świecie, radyby nie dała.

Zaledwie więc staniesz na wulkanicznej ziemi, co neapolitańską otacza zatokę, a już z jednej strony ogorzały, obszarpany podrzutek, szarpie cię za poły, ciągnąc do omnibusu jakiegoś hotelu, o którym w Bedekerze mowy nie było. inny drab rudowłosy, przemocą usiłuje cię wydrzeć z ręki kufereczek, aby cię zaprowadzić do swego znajomego fiakra, wygalowany portyer lepszego hotelu, krzyczy ci tymczasem w uszy, nazwisko swego właściciela, wylicza ci potrawy, które dostaniesz za cztery franki przy table d'hôte o siódmej, i powołuje się na świadectwo podręcznej książki podróżnej, jeżeli ją trzymasz w ręce. Tymczasem kolporter kolejowy natarczywie częstuje cię nowym drukowanym „guidem“ po Neapolu, a żandarm, stróż publicznego porządku, stara ci się przyjść w pomoc, przeciw natrętom, a tem samem podwaja ich energię. — Jeżeli z zimną krwią potrafiłeś dojść do omnibusu owego hotelu, do którego sobie zajechać postanowiłeś, to jeszcze na wsiadaniu otoczy cię owa zgraja natrętów, którzy ci z dworca towarzyszyli i wystąpi wobec ciebie z najdziwaczniejszymi pretensjami. Ów ogorzały wyrzutek, rozkazującym tonem woła za tobą, abys mu dał na piwo, za to, że on zwyczajnie czyści omnibus, w którym pojedziesz, fiakier przychodzi, abys go wynagrodził za zawód, któryś mu zrobił, nie jadąc z nimi kolporter częstuje cię obelżywymi wyrazami, za to, że mu nic nie dałeś utargować. Przy pierwszym więc kroku na gorącej ziemi, musisz mieć nie mało zimnej krwi i cierpliwości.

Nareszcie siedzisz w omnibusie, na wierzch pakują góry kufrow noszących na sobie karty hotelowe ze wszystkich części świata; obok siebie widzisz kilku Anglików, Niemców i Francu-

zów — jesteś szczęśliwy, że się w końcu w przyzwoitem znalazłeś towarzystwie. Pozorne to jednak wytchnienie! — jesteś w Neapolu, a więc pożegnaj się ze spokojem!

Wiozą cię ulicą długą, szeroką, gwarną, ludną, najrozmaitsze przedstawiającą obrazy. Rzucisz okiem na lewo, to czasem z poza domów cudowne uśmiechnie się do ciebie morze, niebieska fala najpiękniejszej zatoki w Europie; za to jeśli wzrok twój padnie na prawo, to się oprze na nieskończonym szeregu szarych, żółtych, czerwonych domów, robiących ci wrażenie jakiegoś wczoraj dopiero spalonego miasta, gdzie nie miano jeszcze czasu odbudować dachów. Jak nie masz dwóch nosów podobnych w całym Neapolu, tak nie masz dwóch domów na Chiaï, coby podobnemi szczyły się liniami. Tutaj okno wyżej, tam niżej, w jednym domu pełno balkonów, drugi zbudowany jak średniowieczna forteca; z okna na prawo wygląda z pięcioro rozczochranych dzieci, w oknie na lewo, na jaskrawym dywanie, oparta prześliczna wygląda Włoszka, na dole pełno kramów, sklepów, straganów ze świeżemi i suszonymi rybami, z książkami o Mazzinim i Masaniellu, z owocami nęcącemi cię swą dorodnością, Czasem zobaczysz las masztów wchodzących prawie w ulicę, czasem grupy bud drewnianych, zbudowanych na umieszczenie jakiegoś wożającego Pulcinelli, na menażeryę, albo na składy kolonialnych towarów. Na granitowem „Molo“ wśród ogólnego gwaru, najspokojniej śpią Lazaroni, w grupach niekoniecznie estetycznych, jednokonki upstrzone dzwonekami, i różnokolorowemi wstążkami, pędzą jak wiatr po stepie, muły i osły ciągną, zaprzężone do dwukolistych wozów, wszystko się rusza, pędzi i krzyczy. Chwilami omnibus w którym jedziesz, na kilka minut się zatrzymuje, gdyż dla natłoku ekwipażów i wozów nie może naprzód ruszyć, więc tymczasem możesz się przypatrywać, jak majtek przed straganem ze smakiem rozłupuje ostrygi, albo połyka makaroni, lub jak dwóch atletycznych uliczników, wzięło się za czuby, i dla ochłodzenia swego zapału, starają się nawzajem wtrącić do morza.

Po tak różnorodnych wrażeniach, stanąłeś nareszcie w jednym z hotelów w pobliżu portu stej Łucyi, gdyż ztamtąd przepyszny widok na morze, i na gwarną neapolitańską ludność. Jeżeli w hotelu służba włoska; to cię odrazu uderzy w niej nieodłączne od Neapolitańczyka lenistwo. Otoczy cię mnóstwo różnorodnych

garsonów, z serwetami i bez serwet: jeden zabiera ci parasol, drugi laskę, trzeci pleed, do kuferka tylko żaden się nie bierze i pozostawiają go najlitościwszemu jeszcze „fakinowi.“ — Po tych przejściach dopiero, możesz sięść w oknie swego pokoju, i patrzeć na neapolitańską zatokę, a widok jej pogodzi cię z tamtejszymi ludźmi i taką cię magnetyczną do siebie przywiąże siłą, żebyś o wszystkim chciał zapomnieć, całą przeszłość swoją puścić w niepamięć, i patrzeć się wiecznie, wiecznie w błękitne oczy tej kochanki, którą neapolitańską nazwałeś zatoką..

Koło św. Łucyi gwarno i rojno jak w ulu, tutaj lud neapolitański połowę swego przepędza życia, tutaj w dzień sprzedaje, kupuje, nosi, krząta się, wieczór zaś bawi się w późną noc. Gdy księżyc w pełni zejdzie nad Wezuwiuszem, św. Łucya cudowny przedstawia widok. Czarny, smętny las masztów, gubi się w srebrnym eterze, a wśród tego zagadkowego lasu, wystającego z niebieskiej toni, błędzą ruchliwe majtków postacie, albo spóźnione czółna spokojnie dobijają do brzegu. W oddali jak dramat Szekspira w mglistych czasach peczety, jak wieść o Makbecie, albo królu Lirze, sterczy w oddali ciemna, poważna skała Kapryjska, sterczą góry Sorrentu. Na lewo w oddali, zda ci się, że jakiś czarnoksiężnik, co pamięta czasy Faraonów, w magicznem świetle wywołuje postacie przedwiecznych olbrzymów co jasnym na szczycie grają ogniem — a to Wezuwiusz i jego matka: skalista, potężna *Somma*.

Na dole obraz wesoły. W dwóch rzędach bud rozłożyli swój towar handlarze ostryg, i tych przeróżnych morskich delicyi, które Neapolitańczyk zowie *Frutti di mare*, i bez którychby życie dlań nie miało uroku. Kupcy zapraszają do swoich stołów, przy każdym płonie słabe światło lampy i rzuca promień, na owe najdziwaczniejsze kształty muszli, morskich jeżów, koralu pajaków i raków. Morze w zgodzie tutaj z ludźmi, wyrzucało im swe zagadkowe płody, otworzyło im swoje tajemnicze łono.— Jeżeli po wielkich schodach zejdziesz na sam brzeg morza, to się znajdziesz w wielkiej sali, w której księżyc i gwiazdy służą za przepyszne lampy. Tutaj ucztuje Neapolitańczyk i połyka niezmierną ilość ostryg i makaronów. Dałem tam jakiemuś gamenowi kilkanaście centymów, aby się sprodukował, czy umie dobrze połykać makaroni. W lot bosy biesiadnik, kazał sobie podać talerz ulubionej potrawy, poprawił na bakier frygijską

czapkę, a ująwszy prawą ręką cały zwój makaronów, podniósł go wyżej głowy, i zaczął ciasto polykać, jak Bosko polyka wstażki, lub Jakończyk noże i pałasze.

W pobliżu bud i kramów, w sklepionej grocie, wytryska źródło siarczanej wody, a od świtu gromadzi się tam mnóstwo dziewcząt z kubkami, które ofiarują przechodzącym ów nie bardzo przyjemny napój. Neapolitańczycy jednak tak się przyzwyczaili do tego nektaru, że mnóstwo osób go pije i zajada przytem okrągłe placuszki. Wesolo tam i gwarno jak wszędzie, jest kawiarnia, koło niej pełno stołów i stolików, przy których średni stan, mieszczaństwo biesiaduje. Gdzieniedzie tylko zakręci się jakiś cudzoziemiec, który się musi mieć w tym tłumie na baczności, aby nie padł ofiarą nocnych oszustów i oszustek.

Taka jest noc u św. Łucyi, lecz i dzień równie zajmujący przedstawia obraz: cały handel i ruch cudzoziemców tutaj się koncentruje, neapolitańscy wyrobnicy w frygijskich czapkach i czerwonych koszulach, rozciągają się na gorących kamieniach grobli; a gromady chłopców ciągną od Castello dell' Ovo, aby pływać w bliskości portu i produkować się w wodzie swemi sztukami. Neapolitańczycy pływają jak ryby, a uliczne chłopaki, pół dnia prawie przepędzają w wodzie, uważając kąpiel za sposób zarobkowania. Gdy bowiem cudzoziemcy stoją nad brzegiem podziwiając zręczność gamenów, wtedy niejeden z nich wybiega na brzeg i prosi o mały datek, za który na nowo będzie bawił publiczność. Za kilka więc centymów, młody Lazaroni skacze do wody, pływa na boku, na plecach, wywraca koziołki, czubi się ze swym towarzyszem, drapie się na pokład stojącego w porcie okrętu, a chociaż od pilnującego okrętu majtka, dostanie powrozem niemikosierną cięgę, nic go to nie zraża, i nie mu nie psuje humoru, albowiem kilka centymów, które sobie zdobył, wystarczą na potrzebną ilość makaronów.

W pobliżu św. Łucyi na piazza reale, wzdłuż Chiai, zupełnie inny nam się przedstawia obraz.

Pałac królewski na piazza reale i teatr St. Carlo pod jednym się znajdują dachem, zabawa w Neapolu jest nierozłączną z najważniejszymi czynnościami życia. Duża kolumnada zdobi wejście do teatru, a pod kolumnadą w kątach kędy publiczność nie potrzebuje przechodzić, kilku wychudłych pisarzy publicznych, umieściło swe stoliki i kałamarze. Jeden z nich wysoki, a łysy,

siedział właśnie z wielkimi okularami na nosie i temperował pióro, a chwacka Neapolitanka usiadła koło niego, palec położyła na ustach i zdawała się być bardzo zamyśloną. „Zapewne się będzie pisał bilecik miłosny“ — pomyślałem, a usiadłszy na jakimś kawałku marmuru, co się znalazł w pobliżu, przypatrywałem się ciekawemu widokowi. Gdy pisarz pióro zaciął, a dziewczyna się namyśliła nad planem swego listu, z żywością zaczęła mu opowiadać, co napisanem mieć chciała. Opowiadała jednak tak żywo, tak namiętnie, że nawet na wychudłym i wynędzniałym pisarzu, znać było pewne wzruszenie. Wreszcie zabrał się do pisania i do wylania na papier tych uczuć, które miotały dziewczyną.

Z godzinę się przypatrywałem różnorodnej klienteli publicznego pisarza. Przychodzili do niego majtkowie włoskiej floty, aby zasyłać swe pozdrowienia kochankom w różnych stronach świata, kramarze z *Mercato*, aby układać pozwy, przeciw nierzetelnym dłużnikom, najwięcej zajęcia miał tam jednak Amor, co się zdawał siedzieć na rogu stolika, i z radości klaskać w ręczęta, że tyle serc rozżarzył i tyle intryg nawiązał.

Koło głównej bramy królewskiego pałacu, szykowała się tymczasem pąsowa gwardya włoska, gdyż Wiktor Emanuel bawił w Neapolu, a w tej chwili miał wyjechać na zwykłą wzdłuż Chiaj przechadzkę.

Jeżeli w porcie św. Łucyi widzieliśmy życie neapolitańskiego ludu, to Chiaja przedstawia nam między szóstą a siódmą wieczorem, zupełnie inny obraz. Tam piękne kobiety, stroje, ekwipaże, pyszne zaprzęgi, podały sobie rękę, aby uczynić spacer nad morzem, jedyni z najciekawszych, jakie się w cywilizowanej spotyka Europie. Pola elizejskie, lub lasek buloński, wydarłyby Chiaj palmę pierwszeństwa, gdyby chodziło o zbytek w strojach, o ilość ekwipaży; nie dorównają jednak neapolitańskiemu nadbrzeżu, co do piękności kobiet, oryginalności zaprzęgów, a przede wszystkim nie mają owego lazurowego morskiego zwierciadła, w którym włoska strójnisia, każdej chwili przegładnąć się może. Neapolitańskie „Corricoli“ wózki, powoziki o najróżnorodniejszych kształtach, kawalerskie jednokonki, to prawdziwa ozdoba nadmorskiego *Corso*, tyle bowiem w tych ekwipażach rozmaitości, taka dziwaczność w przystrojeniu konia, w owych piórach, dzwoneczkach, lisich ogonkach poprzczepianych do głów końskich, że oko

przeskakiwać musi z przedmiotu na przedmiot, bawić się rozmaistością i pomysłami, jakby w jakiej sztuce o czarodziejskich dekoracjach. Fantazyja starego Dumasa, lubowała się w neapolitańskich wózkach, i kilka razy zdarzyło mi się spotkać, w jego pismach, nader żywe opisy, kłószących neapolitańskich biegunów. Tak bowiem jak tamtejszych konie umieją kierować w kawalerskim karyklu, nie wiem doprawdy, czy gdziekolwiek kłószące rumaki widzieć się zdarzy. Podczas gdy więc poważne karety i Landeaux cicho szemrzając, skradają się po bruku, uganiają się na prawo i na lewo, dzielne jednokonki, zwyczajnie karcami zaprzężone końmi.

W długim, półmilyowym może szeregu karet, spostrzegłem wkrótce powóz Wiktora Emanuela. Król w jeneralskim włoskim mundurze, z adjutantem śledził widocznie piękne sąsiadki w powozach, a kilku paśowych żokiejów i kilku żołnierzy z gwardyi, otaczało jego powóz. Patrząc się na terażniejszego włoskiego króla niktby nie powiedział, że to człowiek któremu p. Tiers przypisuje większe zdolności dyplomatyczne, aniżeli samemu Cavourowi, że to człowiek namiętny, lubiący miłosne awanturki, polujący niezmordowanie na dziki w lasach Apeninów. Co najwięcej możnaby sądzić z pierwszego wejrzenia, że Wiktor Emanuel jest znakomitym gastronomem, że się przewybornie zna na ostrygach, i że umie dobierać co najlepsze wina. Tymczasem ów król, pełen życia, pełen zapału, jeden z pierwszych Lowelasów włoskich, jak pan Tiers utrzymuje, mąż co mało ma równych sobie w dzisiejszej Europie, pod względem dyplomatycznych zdolności.

Lotna Fortuna co zgrabną nóżką koło swe toczy, zwykle wybiera sobie ludzi nadzwyczaj przystojnych, ludzi lekkich, wesołych i ich swemi łaskami obdarza, tymczasem król Wiktor Emanuel ani jest przystojnym, ani lekkim, może tylko wesołym, a pomimo to z nikim szczęście tak ścisłych jak z nim nie zawarło związków, i podczas gdy w ostatnich czasach, po większej części źle się powodziło głowom koronowanym w Europie, on jeden mógłby z cesarzem Wilhelmem powiedzieć, że do nich się szczęście uśmiecha!

Nie mogę ręczyć za autentyczność powyżej wyrażonej opinii pana Tiersa o zdolnościach dyplomatycznych króla Wiktora Emanuela, zdanie jednak prezydenta rzeczypospolitej, rozbierały

w swoim czasie europejskie dzienniki, przyczem hrabiego Cavoura na drugi plan postawiono. Nie chciałbym jednak wierzyć w prawdziwość zdania sławnego historyka i śmiałybym mu pod tym względem zaprzeczyć trafności sądu. Nie widziałem wprawdzie za życia hrabiego Cavoura, porównyując wyborny jego portret w Brera w Medyolanie, z wybornym także portretem króla Wiktora Emanuela, w sali włoskiego parlamentu w Rzymie, każdy jaki taki fizyonomista, nieroszczący sobie bynajmniej pretensyi do przenikliwości Lavatera, na pierwszy rzut oka spostrzeże, że w twarzy byłego włoskiego ministra, maluje się nadzwyczajny spryt i przenikliwość, podczas gdy twarz włoskiego króla, prócz szerokimi wąsami dalibóg niczem, a niczem nie imponuje. Twarz Cavoura ciągle się uśmiechająca, wyraża pewną ufność w swoje siły, pewne zadowolenie za swoich planów, wysokie czoło, zdaje się potwierdzać, że ufność ta jest na swoim miejscu, a małe czarne oko ukryte pod złotemi okularami, rzuca iskrami sprytu i geniuszu. W twarzy zaś Wiktora Emanuela, napróżnobyśmy szukali oznak umysłowej wyższości. W każdym razie, historia nam kiedyś pokaże, kto był właściwą sprężyną wszystkich ważnych czynności znamienujących rządy teraźniejszego włoskiego króla, czy sam monarcha, czy też jego ministrowie. W historii więc i fizyonomista znajdzie kiedyś pomoc.

Wracając jednak do spaceru, któryśmy opisywać zaczęli, i do królewskiego powozu, przyznać trzeba Wiktorowi Emanuelowi, że ma przesliczne kareciane konie. Już to rasa karych i białych dużych koni, podobno hiszpańska początkowo, jaka się utrzymała i w stajniach austriackiego dworu, tak się zdaje być stworzoną do karety, jak angielskie bieguny do kilkomilowej areny. Dwór papieżki tradycyjnie się trzyma tej rasy koni, a zdaje się, że i król Wiktor Emanuel przynał jej w swych stajniach pierwszeństwo. Owe wysokie w łuk wygięte karki, nosy kabłakowate, dwie grzywy i ogony, wszystko to przypomina owe rumaki, które spotykamy wyrzeźbione na rzymskich sarkofagach, zaprzężone w bidze stojącej w muzeum Watykańskiem, albo w wozie Daryusza, przedstawionym w słynnej mozaice znanej pod nazwą „bitwy Aleksandra,“ wykopanej w Pompei, a znajdującej się w neapolitańskim muzeum.

Szereg powozów spieszących na Chiaję, zaczyna się już na ulicy rzymskiej i ciągnie się aż po Pozilip, jak powiedziałem

na półmilowej przeszło przestrzeni: jeżeli sobie wyobrazimy dekorację wobec której te powozy defilują, to ów widok rzeczywiście tryumfalnym nam się przedstawi być pochodem. Po prawej przepysznie oświetlone magazyny i kawiarnie, marmurowe pałace, po lewej ręce ogród „Ville reale“ i ciemny szafir śródziemnego morza, oto Corso przed którym jak dziecinne bawidełko, nikną wiedeńskie „praterfakoty“ na pierwszego maja, albo sztywne kawalkaty, wśród berlińskiego „Thiergartenu.“

Jest pewna wesołość, pewna swoboda cechująca wszystkie klasy neapolitańskiego towarzystwa, które się z przyjemnością widzi, gdy się przyjechało ze smutnej północy, nie mówiąc o chłodnym Berlinie. Godczas gdy u św. Łucyi panuje pusty śmiech, i piosenka przelatuje z ust do ust i niknie w lesie masztów w porcie stojących, ten sam śmiech z łatwością spostrzeżemy w paradnych powozach, wśród lyońskich materyj dam wyższego neapolitańskiego świata, i wśród młodzieży, co oblega kawiarnie, przypatrując się oczom jakie tylko wulkaniczna ziemia wypielegnować zdołała.

Snać, że te oczy inne, aniżeli oczy Francyi, Anglii, Niemiec albo Polski, skoro przeciw nim trzeba się było uzbroić w cały zasób amuletów, i koralowe różki, nosić przy sobie, aby się uchronić od uroków. A nie chcielibyśmy posądzać tej pięknej ziemi, aby tylko złowrogie skutki wlewała we wzrok swoich cór, aby tylko czary miały się osiedlić u stóp Wezuwiusza, owszem! na tej ziemi może więcej takich oczów, co miłość i szczęście przynieść potrafią, aniżeli oczów co złowrogą zajaśniały iskrą!

Neapolitańczycy jednak się boją „jeltatury“ a wzdłuż Chiaia, na „piazza reale“ na „stradę di Roma“ pełno sklepów i kramów, w których koralowe różki, chroniące od uroków, są jednym z najważniejszych artykułów handlu, a w średniej klasie neapolitańskiej, nie znajdzie człowieka, któryby u zegarka, pomiędzy brelokami, nie miał nieodzownego amuletu. Kobiety mniej się złego wzroku obawiają, gdyż nie zawsze noszą koralowe różki, czyżby to miało świadczyć, że oczy mężczyzn w Neapolu, mniej są niebezpieczne, aniżeli oczy kobiet z Reziny, Portici albo z Pozilipu?

Jak mozaika jest specjalnością Florencyi i Rzymu, i tam od wieków na najwyższym stoi szczeblu swego rozwoju, jak narazie Genua słynie w całym świecie, ze swych wyrobów filigranowych, z połączanego srebra, tak Neapol znów doszedł do

najwyższej doskonałości w wyrobach koralowych i szyldkretowych. Może dla tego, że koral jakby stworzony dla Neapolitanek, dla tej śniadej cery, i czarnych oczu? może dla tego, że połysk szyldkretu, tak pięknie odbija w opalonych prawie włosach dziewcząt z św. Łucyi? Być może! wszak natura tyle dobrodziejstw rozsypała na ten lud szczęśliwej Kampanii, że i kaprys fantazyi dziewcząt tamtejszych zaspokoić chciała. Przyroda widocznie miała za cel tworząc Neapol i jego okolice, okazać ludziom przynajmniej jeden kraj na ziemi, gdzieby człowiek niepotrzebował pragnąć ani piękniejszego nieba ani cieplejszego słońca, ani ziemi żyźniejszej, ale gdzieby mógł powiedzieć, bijąc się w piersi: jeżeli mi źle na świecie, to sam sobie jestem winien!

III. •

We Włoszech na każdym kroku spotyka się Anglika, nie dziwie się więc, że mówiąc o wyspie Capri wyprowadziłem na scenę Angielkę mis S., a obecnie chcę się znów angielską poszczycić znajomością.

W neapolitańskim muzeum, jakiś Anglik z wielkimi faworytami i siwymi oczami, mozolił się nadwyczajnie nad wyszukiwaniem w swoim podręczniku, numeru obrazu, co w całej okazałości przed nim wisiał, pomógł mi więc Anglikowi w oznaczeniu autora i numeru w katalogu, a ztąd wiele u niego zyskałem szacunku i uprzejmości. Oglądaliśmy więc razem obrazy i rzeźby, i doszliśmy do jakiejś marmurowej Wenery, która podobnie jak medycejska, nadwyczaj cienkimi, a długimi, szczyci się paluszkami. Zwróciłem uwagę Anglika na nienaturalną prawie cienkość palców, i pozwoliłem sobie zauważać, że trudnoby w rzeczywistości spotkać kobiecą rękę, o podobnej formie. Anglik mnie objaśnił, że jako doktor medycyny, miał sposobność studyować w życiu anatomię, i że zna kobiety wysokiej angielskiej arystokracji, mające palce tak wązkie, jak palce u medycejskiej Wener-y. Była to dla mnie dość ciekawa wiadomość, albowiem chociaż widywałem dość ładne rączki na świecie, przecież nieprzypuszczałem aby miara medycejskiej Wener-y, do jakiegokolwiek żyjącej rączki zastosować się dała. Powaga doktora, Anglika i do tego

wracającego prosto z Kalkuty, gdzie bardzo liczną miał klientelę, musiało mnie pod tym względem przekonać.

Temat ładnych rączek, jeden z najprzyjemniejszych w towarzyskiej pomiędzy mężczyznami rozmowie, zbliżył nas do siebie tak dalece że mi Anglik zaproponował wspólną przejażdżkę do Puzzol i do Bajae. Ostatnie to miejsce, miało dla niego szczególny urok, albowiem w starożytności słynęło jako miejsce kąpielowe, a w Puzzeoli również istnieją siarczane termy, bardzo skuteczne na reumatyzmy, i inne tego rodzaju choroby.

Oglądawszy więc jeszcze w muzeum zbiór starożytnych narzędzi lekarskich, które mój towarzysz uznał za doskonałe, i za bardzo zbliżone do narzędzi przez dzisiejszych używanych operatorów, posiliwszy się wreszcie ostrygami i biftickiem w Cafée di Comercio, pojechaliśmy na wyprawę.

Pierwsza stacya była na Pozilipie, tym pagórku, co dominuje nad północną częścią miasta i gdzie się przesliczne ugrupowały ogrody. Znajomi, co zwiedzali Neapol, przestrzegali mnie przed grobem Wirgiliusza, a podobno i p. Kremer w swojej podróży do Włoch, powiada, że szkoda kilka franków, które tu nieciekawa ekspedycya kosztuje, tem bardziej, że bardzo jest nieprawdopodobem, aby popioły autora Eneidy na Pozilipie spoczywały. Anglik turysta nie dał sobie jednak wyperswadować, że nie ma po co iść do grobu rzymskiego poety, więc dla towarzystwa musiałem wysiąść z fiakra, i drapać się wśród grządek fasoli i kukurudzy, na wierzchołek dość stromej skały. Niestety ścieżka do grobowca sławnego męża, widocznie umyślnie tak sztucznie prowadzona jest pomiędzy grządkami, aby ile możności jak najdłuższa się zdawała, i podróżny nie sądził, że łatwą jest rzeczą, znaleźć się na miejscu, drogiej dla rzymskiego narodu pamiątki.

Wśród fasoli i kukurudzy stąpaliśmy więc długo i długo po klasycznej ziemi, naraz spotkaliśmy się ze wzrokiem okropnie brzydkiej signory, a ja mimowoli chwyciłem za koralowy różek, aby możebne odpędzić uroki. Lekarz człowiek bardziej racjonalny, śmiało się jej patrzył w oczy. Signora wskazała nam na jakąś podziemną budowlę, podobną do naszych piwnic przy karczmach w których kartofle i mleko chowają, i patetycznym głosem zapowiedziała że w tym przybytku jest grobowiec wielkiego poety, a wejście do tego przybytku kosztuje dwa franki od osoby, które z góry zapłacić należy. Wyjęliśmy więc żądane

franki, a siniora dopiero wtedy raczyła wyjąć klucz z kieszeni, i otworzyć piwnicę. I miała rację biorąc naprzód pieniądze, ręczę bowiem, że połowa zwiedzających, nicby jej nie zapłaciła, gdyby wiedziała poprzednio, że w piwnicy nic niema, jak tylko niedawny napis na marmurowej tablicy, opowiadający że tutaj pochowane popioły Wirgiliusza. Niechcąc się w tej mierze spierać z owym włoskim archeologiem, co tutaj chciał mieć grób wielkiego męża, uwierzyłem w jego zdanie, i patrząc się z tryumfem na Anglika któremu odradzałem, aby tam nie chodzić, wracałem do fiakra znów wśród szerokolistnej fasoli, i wysmukłej a wiotkiej kukurudzy. I zaprawdę kukurudza mnie daleko więcej zachwyciła, aniżeli grobowiec Wirgiliusza.

Jeden z najpiękniejszych widoków, jakie się ma w Neapolu na miasto i na całą zatokę jest widok z Pozilipu. Stoi się naprzeciwko Wezuwiusza, a zatoka wrzyna się w ląd i czarodziej-skie tworzy półkole. Na brzegu owego półkola, nieskończonem pasmem snują się domy płaskie, chaotyczne, bez architektonicznych linii, bez wyrazistej cechy. Oko tonie w tem morzu płaskich dachów, a gdyby nie Castello dell' Ovo, owe dziwaczne, czarne, groźne masy kamienia, toby wzrok się nie miał nawet gdzie oprzeć, i odwracałby się znnżoną tą nic nie mówiącą jednostajnością. Nawet kościoły przyjęły tutaj charakter świeckiej budowli, a z morza domów, gdzie niegdzie jakaś wysoka wieża, jakiś szczyt gotyckiej świątyni, co nadaje zarysom miasta pewien typ i niezatarte piętno. Jakaż to ogromna różnica taki widok z Monto Pincio na Rzym, a widok na Neapol z Pozilipu! Tam miasto przybrało cudowne architektoniczne kształty, a ze sterczących wieżyc, ruin, obelisków, możesz czytać jego dzieje, możesz jak z hiroglifów odgadywać jego przeszłość, tutaj masz księgę rozwartą, ale gdy na nią spojrzysz, gdy się jej bliżej przypatrzysz, to spostrzeżesz, że to biały papier, który wczoraj dopeiro szkolne zababrały żaki. Na tych murach, na tych domach, żadnej historycznej nie znajdziesz cechy, z niczem się nie spotkasz, coby się z daleką wiązało przeszłością. Gdyby się Neapol był spalił przed rokiem i na nowo go odbudowano, toby widok był ten sam jak na ten Neapol, co stoi wieki. W mury Neapolu wcielił się duch jego mieszkańców, oni żyją życiem chwilowem, bez historycznej idei i bez dziejowego celu, te też i mury ich stolicy, nie nie mówią, niczem się nie szczyca, i wyglądają

jakby mury jakiejś handlowej kolonii, co na to istnieje, aby kraj eksploatować i zniszczyć swój ślad, i przenieść się gdzieindziej gdzie ziemia nowemi ją obdarzy bogactwy.

W Neapolu niewidać ani ruin; ani kościołów, wszystko tutaj dla terażniejszości Neapolitańczyk żył zawsze z dnia na dzień, kościołów wprawdzie jest mnóstwo, ale trudno je odróżnić od domów prywatnych, stały one do rzędu w ulicy, a sklepy i kramy zakryły ich facjaty.

Z tej kupieckiej republiki domów, trzy tylko odróżniają się fortece, trzy punkta oparcia dla awanturników, co ztamtąd trzymali za cugle spienionego neapolitańskiego rumaka.

Więc wysoko nad Neapolem, na górze Vomero stanął wielki zamek Sant Elmo, nadzwyczaj malowniczo położony, jakby duch średniowiecznego rycerstwa, panujący nad ruchliwym ludem kupieckiego miasta; nad morzem, daleko już prawie w zatoce, dwa groźne sterczą forty Castello dell'Ovo i Castello Nuovo. Forty to ponure, dziwaczne, jak dzieje awanturniczych rodzin co tutaj berło swe dzierżyły i tutaj żądę panowania srogą przepłacały śmiercią.

Powiadają, że Castello dell'Ovo, należy do najdawniejszych neapolitańskich budowli i jeszcze Lucullusowi swój początek zawdzięcza. W tym czarnym gmachu Romulus Augustulus, ostatni cesarz rzymski, życie miał zakończyć, a Frydryk II w r. 1221 ostatni blok granitu, na te mury położył, nie przeczuwając nawet, że one staną się straszem dla jego potomków więzieniem. W kilka lat bowiem, po nieszczęśliwej bitwie pod Benewentem, w której król Manfred państwo i życie postradał, wtrącono jego dzieci do piwnic Castello dell'Ovo, a córkę tylko oswobodziły sycylijskie nieszpory. Było to 5 czerwca 1285 roku, gdy Sycyljczycy wygrali na neapolitańskich wodach, bitwę morską pod rozkazami sławnego admirała Rugierra Lorii. Córka Karola Andegaweńskiego z okien zamczyska przypatrywała się z drżącym sercem krwawym na morzu zapasom, niemniej jednak skwapliwie oczekiwała nieszczęśliwa córka Manfreda, wyniku ważnej dla niej walki. Księżniczka widziała jak flota neapolitańska została zwyciężoną, jak niezwyciężone zda się okręty w ucieczce szukać musiały ratunku, co więcej: księżniczka widziała, jak jej brata Karola wzięto do niewoli! Niebawem dwie sycylijskie galery podpłynęły pod zamek della'Ovo, i zażądały wydania córki Man-

freda, a gdyby im drogiego nie oddano więźnia, obiecywały w oczach króla i w oczach księżniczki, ściąć syna Karola Andegaweńskiego. Zgrzytnęły więc wrzeczadze w Castello dell'Ovo, i po ośmnastoletnim więzieniu wyszła ztamtąd niewinna dziewica i popłynęła z Sycylijczykami do Messyny, gdzie ją w tryumfie witała rodzona siostra Constancia, żona Piotra Aragońskiego, gdzie ją witało cudowne niebo sycylijskiej Kampanii i zbytek maurytańskich tronów.

Ponure kamienie fortecy dell'Ovo nie wypuściły jednak z pomiędzy siebie synów Manfreda, ale grobowym przykryły ich całunem.

Castello Nuovo jeszcze potężniej, jeszcze groźniej rozsiadło się nad zatoką, jest to największe dzieło architektoniczne w Neapolu i zawdzięcza swoje powstanie Karolowi Andegaweńskiemu (1283). W ogóle, jeżeli znajdziemy w Neapolu jakąś budowę, coby na sobie pewne historyczne nosiła piętno, to bądźmy pewni że ona Andegaweńskim szczyi się herbem, inne dynastye tak dalece uległy wpływowi ludu, którym rządziły, że zapomniały o swych familijnych tradycjach, o swem rodowym posłannictwie i jak pierwszy lepszy Lazzaroni, po dzień jutrzejszy, nie widziały przyszłości.

Karta więc dziejowa Neapolu, nie posiadająca wielkich idei, nie wiążąca się w historyzoficzne zagadnienia, leży przed nami rozwartą, gdy na nią z Pozilipu spoglądniemy, a przyczyna tej historycznej jałowości zaraz nam się przedstawi, gdy odwrócimy oko od nic nie mówiących murów, a spoglądniemy na czarujący krajobraz, jaki się w koło nas roztacza, na ową ziemię obiecaną, na szczęśliwą Kampanię. Ludzie w tego rodzaju klimatycznych warunkach, nie potrzebowali myśleć o jutrze, nie potrzebowali się silić nad ugruntowaniem lepszej przyszłości, albowiem terażniejszość im wystarczała, zadowalniała wszelkie zachcenia rozgorączkowanej nawet ich imaginacyi.

Z drugiej strony Pozilipu, Neapol zginął nam z oczu, a natomiast dzikie mieliśmy przed oczyma wybrzeża: kawały czarnych skał w fantastycznym nad morzem leżały nieładzie, a fala morska rozbija się o nie w milionowe cząstki i z gniewu pienią się, że nie może głębiej wryć się w nieprzystępną dla niej ziemię. Droga szła nad samem morzem, a mój towarzysz nie mógł się oprzeć pokusie, i nie zanurzył się w niebieskiej fali. Zatrzy-

maliśmy więc fiakra, Anglik wysiadł i po kilku skokach znikł mi pomiędzy skałami, a ja tymczasem zacząłem czytać ustępy z Bedekera, tyczące się Puzzuoli i Bajae. Jakież było jednak moje zdziwienie, gdy za kilka minut mój Anglik w wielkim negliżu, z odzieżą na ramieniu, w gwałtownych skokach przybiegł do powozu.

Co się stało?

Rekiny! rekiny!

Jak to? pływają w bliskości brzegu?

Mogą być tutaj, odpowiedział spokojniej Anglik, albowiem przystań głęboka, a po przekopaniu suezkiego kanału, ogromna ilość tych niebezpiecznych potworów przyplęnęła na wody włoskie, z czerwonego morza. Anglik zaczął mi opowiadać, że gdy płynął przed kilkoma tygodniami kanałem suezkim, rekiny często pokazywały się w bliskości okrętu, czatując na możebną zdobycz; majkowie rzucali im różne okrawki skór i powrozów, stare zużyte obuwie jednak najbardziej im smakowało. Otóż szanownemu doktorowi, przyszedł na myśl ów dobry apetyt tych przyjemnych zwierząt i z tego powodu, tak prędko znalazł się w powozie.

Za pół godziny byliśmy w Puzuoli i mieliśmy przed sobą obraz ubogiego włoskiego miasteczka, ze wszystkimi jego niedogodnościami; o zaletach bowiem trudnoby tam było mówić. Naszym czytelnikom przyjdzie na myśl na wspomnienie małego miasteczka, taki Żmigród, Obertyn, Kulików, albo coś podobnego i słusznie: albowiem co do nędzy i brudu, włoskie miasteczko w niczem nie ustępuje naszym siedzibom żydów i szewców, czem jednak te miasteczka stoją niesłychanie wyżej, to świetną swoją przeszłością, są to łachmany, ale łachmany jedwabne, z najpyszniejszej pozostałe materii. W rządzie domów, znajdziesz tam dom rozwalony, z którego zadymiony sterczy komin, obok tej ruiny jednak, stoi kamienica, której marmurowe odrzwia, mogłyby znakomite zdobić miejsce na jakiej archeologicznej wystawie, bruk po którym jedziesz, to ten sam bruk, jaki widzisz na Chiai w Neapolu, po jakim zresztą jeździli Rzymianie przed tysiącem lat w sąsiednim Pompei. Jeżeli obdarłe kobiety z wyrazem nędzy na twarzy, na bocznych uliczkach, nie mile wzrok twój uderzą, to z drugiej strony zobaczysz gdzieś na szczątkach marmurowych wschodów wspianiale ugrupowanego Włocha, co ci

swą twarzą i kostiumem przypomni wszystkie powieści coś czytał dzieckiem o zbójcach włoskich, przywiedzie ci na pamięć Rinaldo-Rinaldinego i dzikich jego towarzyszy. Gdzieindziej znów smukła dziewczyna, z koszykiem pomarańcz na głowie, każe ci żałować, że nie jesteś malarzem i że nie możesz patrząc na nią najpiękniejszego stworzyć obrazu. A cóż dopiero powiedzieć o ruinach świątyni Serapisa, o amfiteatrze, który cię przekonuje, że tutaj dawniej była ludność wielka, i wielkie bogactwo, że tutaj cesarze rzymscy przybywali, aby się przypatrywać walkom gladyatorów, a rzymskie galery zatrzymywały się w pobliżu wybrzeża, aby wyładowywać kolosalne słupy porfirowe, wydobyte ze skał górnego Egiptu, albo z wielkim mozołem wyszukane w górach małej Azji.

Owe słupy porfirowe, na których spoczywała świątynia Jowisza, sterczą dzisiaj jeszcze jako pomniki rzymskiej potęgi i czią nas napełniają, gdy pomyślimy, ile to wieków na nich się oparło, a pomimo to, nie zdołało ich zniszczyć. W pobliżu świątyni, w podziemnych grotach, bucha gorąca siarczana woda, to oddech niedalekiego wulkanu! Ruiny amfiteatru również imponujące, również potężne! podziemne kanały, przyrządy do zanurzenia, sceny w wodzie, wszystko to świadczy, że ten amfiteatr urządony był na sposób amfiteatrów w Rzymie i w Kapui, tylko objętością swoją tamtym nie wyrównał.

Bajae to samo prawie co Puzzuoli pozostawiają wrażenie: i tutaj ruiny, połamane kolumny, szczątki kapitelów, tutaj tylko tradycya jeszcze bardziej aniżeli w Puzzuoli ożywia ruiny, Bajae bowiem, jak to już powiedzieliśmy, należały do miejsc najbardziej uczęszczanych w starożytnych Włoszech i służyły za *rendez-vous* całemu wielkiemu światu, co w lecie z powodu maleryi w Rzymie nie chciał przebywać. Przystań w Bajae, jak jezioro spokojne, zasłonięte przed gwałtownymi uderzeniami wielkich bałwanów, była najulubieńszem miejscem zabawy dla publiczności tam bawiącej. Gdy słońce tylko w morzu się zanurzyło, czółna strojne w purpurowe żagle wypływały z muzyką na niebieskie wody, a pod zasłoną z bogatej materyi, ukrywało się może nie jedno prawdziwe uczucie, lecz częściej zapewne swawola! Kobiety rzymskiego świata, co pragnęły nieznanym wrażeń, mężczyźni znudzeni Rzymem, jechali do nadmorskich kąpiel, a tam oddychając świeżem morskiem powietrzem, na nowo żyć

zaczynali. Rzymscy też moralisci, nie zgadzali się z tem życiem, jakie wiodło towarzystwo w Bajae, dla nich ów wieczny śpiew i muzyka, owe szeptanie miłosnych zwierzeń, owe kielichy Falerna, miały głębsze, nie dobre dla ojczyzny znaczenie! Mężowie także niechętnie wyprawiali żony na morskie kąpiele, nie jedno bowiem serce, co się nawet w Rzymskim nie dało podejść świecie, w Bajae tak się w miłosne sidła uwikłać pozwoliło, że szanowny mężulek, co gdzieś w Kampanii był obecnym winobranianem nie poznał swej żony, gdy po nią do Bajae przyjechał. Martialis (I. 63) opowiada że:

Skromna Laewina ze starego rodu,
 Od zgryźliwego poważniejsza męża,
 Gdy się do Bajów raz dostała grodu,
 Tak się zmieniła, tak serce zwycięża:
 Że z Penelopy Heleną się stała,
 I z jakimś gachem — męża odjechała....

A taki wypadek niestety nie jednemu stał się mężowi i gdybyśmy się nie bali obrazić skromności naszych czytelniczek, tobyśmy mogli wiele z dawnych pisarzy zacytować wierszyków, na którychby można osnuć jakie *mistères de Bajae*.

Zmierzch już zapadał, gdyśmy z Anglikiem wracali do Neapolu, tą samą drogą, którą „skromna Laewina“ Martialisa, swego czasu przed mężem uciekała. A droga to piękna, jeżeli się zboczy za Puzzuoli, aby wracać do miasta przez sławną „Piedigrotte.“ Wśród drzew morwowych i gierland winnej latorośli wieczorną jechaliśmy ciszą, od czasu do czasu tylko stado kóz zadzwoniło, albo osiołek układając się do snu, żalodne pięknemu światu słał pożegnanie. Nareszcie wjechaliśmy w Piedigrotte, a jest to jedno z najciekawszych miejsc w Neapolu, tunel wykuty w Pozilipie, i łączący dwa przedmieścia ze sobą. Tunel ten pochodzi podobno jeszcze z czasów rzymskich, goście którym się spieszyło do Bajae, skrócili sobie drogę, przejeżdżali tunelem, zamiast okrążyć całą górę i mozolnej używać drogi. Z dziesięć minut jedzie się przez Piedigrotte oświeconą cały dzień gazowemi latarniami, pomimo bowiem, że sklepienie bardzo wysokie i tunel szeroki, a tem samem i otwory wielkie, któremi się wjeżdża, przecież długość tunelu jest tak wielką, że światło dzienne

nie wystarcza, aby oświecić drogę na całej jej przestrzeni. Piedigrotta stała się oddawna miejscem ludowych rozrywek i tutaj na przedmieściu ukryci przed skwarem słonecznym, zbierają się Neapolitańczycy po winobranii, na świętego Januarego i przy kilku innych sposobnościach. Czerwone wino płynie wtedy strugami, ostrygi pękają, a najpyszniejsze owoce zalegają stragany.

Lud neapolitański nadzwyczaj lubi uroczystości, podczas których bawić się i weselić można, nie dziw więc, że korzysta z każdej sposobności, a szczególnie z kościelnych odpustów, aby wrodzonej swej namiętności do zabaw, mógł zadosyćuczynić. Św. January patron neapolitańskiego ludu, jest pod tym względem prawdziwym jego dobrodziejem, pod jego opieką, bowiem, płynie zawsze wino, i najlepsze się przyrządza makaroni. Drugim świętym którego mieszkańcy Kampanii z tego względu nadzwyczaj wysoko cenią, jest św. Paulinus z Noli. Nola małe miasteczko w pobliżu Neapolu, słynie w dziejach z tego, że w pobliżu niej niegdyś Marcellus pobił Hannibala, i że tam umarł Augustus; obecnie zaś niczem innym się nie chlubi, jak tylko swemi odpustami.

Dzieje świętego Paulina z Noli, natchnęły jakiegoś ludowego rymotwórcę, do napisania wielkiego poematu, naśladującego Wirgiliusza *Eneidę*, a noszącego tytuł „Paolineida.“ Owoż z tej Paolineidy, chociaż o wiele jest nudniejszą aniżeli mesyada Kloppstoka, dowiedzieć się można, że w r. 351 urodził się w dzisiejszej Gaskonii, wielki mąż, późniejszy św. Paulin, a że zrazu był poganinem, a nawet podobno bratobójcą, więc też niebo się radowało, skoro niewierny syn został chrześcianinem, a co więcej biskupem w Noli, gdzie przed nim stolicę biskupią zajmował jego nauczyciel Feliks, mąż wielkiej świętobliwości. Święty Paulinus był poetą, cudotwórcą i znakomitym kościelnym pisarzem, swą wziętość u neapolitańskiego ludu, zawdzięcza on jednak innej przyczynie.

Żyła w Noli wdowa, której Wandalę wzięli do niewoli jedynego syna i wywieźli go do Afryki. Ksiądz biskup poświęcił się dla niej, pojechał wyszukać syna i zamiast niego, sam poddał się niewoli. Po kilku latach wrócił jednak z Libii do ojczyzny, a rodzinne miasto przyjmowało go muzyką i tańcami. Odtąd w dzień 26 czerwca jest wielki odpust i festyn ludowy w Noli

na cześć świętego biskupa, cała okolica schodzi się do miasteczka, przedmieścia Neapolu się wypróżniają, a Nola brzmi od odgłosu dzwonów, muzyki i śpiewu.

Charakterystyczną rzeczą podczas tych odpustów, są tak zwane *guglia di San Paolino* są to na dwa piętra wysokie piramidy z drzewa, różnorodnemi oklejane papierami, które mają przedstawiać obeliski. Obeliski spoczywają na barkach najsilniejszych mieszczan, a ci ustawiają je naprzeciw siebie, i podczas procesyi, zaczynają z niemi tańczyć, a tysiące chorągiewek pozatykanych u wierzchołków piramid oryginalny w powietrzu wywołuje szelest. Takimi obeliskami mieli witać mieszkańcy Noli, wracającego z wygnania św. Paulina.

Kto chce jednak bliżej się zapoznać z tą ludową uroczystością neapolitańskiego ludu, niechaj jedzie do Noli na dzień 27 czerwca, ale niech nie naśladuje mojego przykładu i niech nie czyta „Paolineidy.“

IV.

Pompei i Herculanium, to jeszcze jeden skarb, jaki w swem łonie kryje szczęśliwa Kampania!

Ażeby lepiej widzieć zniszczenie jakie zrządził wybuch Wezuwiusza, w kwietniu 1872 roku, jechałem fiakrem do Pompei, a nie koleją, jak się zwykle robi. Wulkan jeszcze buchał czarnemi kłębamii dymu, a około powozu, wznosił się tuman kurzu, tuman popiołu, który świadczył: że jeszcze nie uprzątnięto z przedmieść neapolitańskich śladów złęgo humoru Wezuwiusza. Im bliżej byliśmy Pompei, tem mniej było śladów świeżęgo wybuchu, wiadomo bowiem, że wybuch w r. 1872 oszczędził gruzy miasta, na którym już raz wywarł swą potężną zemstę.

Gdzie Pompei, gdzie Pompei? — pytałem się mimowoli, zbliżając się do starożytnych ruin, a nie widząc nic przed sobą, prócz nowej lokandy i niskich pagorków, pokrytych pszenicą i karczochami. O miejscach, które znamy z opowiadań, z opisów, o których wieleśmy myśleli i które były przez długi czas zaba-

wką naszej imaginacji, tworzymy sobie pewne wyobrażenie nierozłączne z naszymi o tem miejscu myślami. To wyobrażenie staje się z czasem własnością naszej duszy i nie chętnie się przekonujemy, że było nieprawidłowem, że było błędnem. To też i mnie zawiodły wyobrażenia o Pompei. Zdawało mi się, że znajdę przed sobą sterczące ruiny, że z daleka już będzie się mój wzrok napawał pięknnością starożytnych kolumn i będzie błądził po dalekich arkadach, jak po niezliczonych łukach rzymskich wodociągów, gdy tymczasem znajdowałem się o sto kroków od Pompei, a jeszcze nie widziałem ani murów, ani świątyń starożytnego miasta. Przyczyna tego zresztą bardzo prosta: popioły Wezuwiusza utworzyły na miejscu zagrzebanego miasta mały pagórek, który obecnie kryje w sobie ruiny tyle dla nas mające uroku. Z piętra więc zajazdu, stojącego w Pompei, wchodzi się na terasę i tam dopiero na kilkanaście kroków przed sobą, widzi się pierwszą bramę rzymskiego miasta. Położenie ruin na równinie w znacznej części pozbawia je tego uroku, któreby miały gdyby były rozłożone na pagórku, i jak ogrody farnezyjskie w Rzymie z różnych stron odmienny, oryginalny przedstawiały widok.

Za dwa franki zapłacone przy kasie, dostaje się przewodnika, co oprowadza po ulicach przedwiecznego miasta opowiada o jego ciekawościach i jak książka podręczna, różnorodne daje objaśnienia. Radzę tylko nie ze wszystkiem spuszczać się na jego wiadomości, nie zawsze się one bowiem zgadzają z umiejętnymi badaniami i wiele w nich włoskiej się mieści fantazyi.

Błądzenie po tych pustych ulicach miasta będącego w ruinie, dziwne robi wrażenie. Na starych murach zwykliśmy widzieć mchy, dzikie porosty, krzewy co się uczepliły gzymsu lub krawędzi a ta zieloność dodaje ruinom wdzięku, życiem je ubarwia. W Pompei tymczasem widzisz wprawdzie mury sterczące tylko do połowy pierwotnej swojej wysokości, kawałki porfirowych słupów, uszkodzone kapitele, wszystko to jednak tak porządnie i tak czysto utrzymane, kawałki murów tak skrzętnie dachem nakryte, kapitele umieszczone tam, gdzie się pierwotnie znajdować miały, że gospodarstwo odjęto tutaj zupełnie naturze, a ludzie chcąc jak najdłużej zachować szczątki starożytnego świa-

ta, obdarli je z najpiękniejszych ozdób. Więc błądzisz po tych ulicach i wokoło nie widzisz zielonego mchu, zielonego drzewa, marmury tylko do ciebie klasyczną przemawiają mową, a skwarne słońce, całą swą siłą dopieka. Od czasu do czasu, gdzieś na zakręcie niemej ulicy dosłyszysz głosy ludzkie i stąpanie głuchem się odbijające echem, a gdy się przybliżysz, poznasz podobnych do siebie turystów, wybladłą lady z pąsowym szalem na ręku i John Buhla w słomianym kapeluszu, przykrytym wielkim jak panna młoda woalem. Czasami, cichaczem skrada się za tobą, bosy chłopak z dzbankiem wody, który przez nadużycie dostał się do środka tych murów, do których przystęp dozwolony tylko w towarzystwie przewodnika.

Gdym chodził po bruku w Pompei, zdawało mi się, że to ten sam bruk, którego się wczoraj dotykałem w Puzzuoli lub w innych małych miasteczkach szczęśliwej Kampanii. Ten sam co tam sposób układania kamieni, wysokie trotuary—ciągną się po obydwu stronach ulicy, nie chcesz wierzyć z razu, gdy ci powiedzą, że ten bruk układali rzymscy niewolnicy za czasów Pliniusza. Co kilkadziesiąt kroków spotkasz się z wielkimi w poprzek ulicy, od trotuaru do trotuaru położonymi kamieniami które w czasie ulewnego deszczu służyły na to, aby z jednej strony na drugą przejść o ile możności sucho, woda bowiem szybko spływała do zagłębionej ulicy. Pomiędzy temi na poprzek ulicy położonymi kamieniami, są wążkie brzozy na koła przejeżdżających wozów, wogóle jednak ze sposobu założenia ulic w Pompei widać, że tam ruch powozowy był nie wielki, i że podobnie jeszcze jak dzisiaj w wielu nadmorskich miastach targarze przenosili towary. Koleje jednak rzymskich wozów, znajdziesz jeszcze na ulicach Pompei i na VII Apii w Rzymie, dopatrzysz się śladów, kędy się toczyły wozy rzymskich tryumfatorów.

Wrażenie jakiego się doznaje, będąc po raz pierwszy wśród murów Pompei, jest tak oryginalne, tak nowe, że z trudnością przysłoby mi je porównać z innem jakim w życiu wrażeniem. Nie jest to owo uczucie wzniosłe, pierś ci podnoszące, którego doznajesz stojąc na balkonie galerii *Chiarimonto* w Watykanie i widząc przed sobą rozłożoną kartę dziejów stolicy świata, i w mgłę niebieskiej tonące góry albańskie, nie jest ów uroczy zachwyty, owo upojenie w którym się znajdziesz, patrząc się w ga-

leryi pałacu Dożów weneckich, na czarodziejskie miasto wynurzające się z fal morskich i na nieskończoną błękitną nieba powierzchnię, nie jest to wreszcie owa myśl siły i grozy, co cię przejmuje, gdy spojrzysz na potężne ruiny amfiteatru Flawiuszów — w Pompei nie doznasz ani uczucia imponującej ci potęgi, czasów starożytnych, ani też o duszę twą niewypowiedzianie miłe obijają się wrażenia! tutaj bowiem wszystko spokojne, pozbawione życia — wszystko spopieliałe. Pomników starożytnych takich jak ma Rzym tutaj nie znajdziesz, tam stąpasz wśród pałaców rzymskich Cezarów, tam widzisz grobowce zdumiewające cię swą wielkością, kolumny i łuki tryumfalne, pełne artystycznej wartości, słupy marmurowe, przypominające ci największy rozwój rzymskiej sztuki, podczas gdy tutaj znajdujesz się wśród zwykłych kamienic, wśród świątyń, które ci nie imponują rozmiarem, wśród zabytków codziennego życia nadmorskich mieszczan, którzy mieli i suche piwnice i wygodne pomieszkanie i termy i teatr, ale ze stolicą z jej przepychem i potęgą, mierzyć się nie mogli.

W tem jednak właśnie, że w Pompei spotykamy ślady codziennego mieszczańskiego życia, że nie mamy tam do czynienia z tryumfalnymi łukami i kolumnami stawianymi Cezarom — w tem jak powiedziałem, leży cała wartość pompejańskich wykopalisk. — Odkrycie Pompei niesłychanie się przyczyniło do zrozumienia starożytności, do wypełnienia sobie tego obrazu, który historycy z dzieł starożytnych i zabytków sztuki stawiali. Rzymska cywilizacya pozostawiła nam wprawdzie dzieła wielu znakomitych historyków, wielkich poetów, porywających mowców, gramatyków, geografów, a nawet i budowniczych, ale z jej czasów, przechowało się nadzwyczaj mało dzieł, któreby nam malowały, drobnostki codziennego życia, które przecież nadzwyczajnie charakteryzują ludzi i epoki.

Tacyty i Liwiusze, piszą nam o wydarzeniach ludzkość obchodzących, o królewskich dworach i mężach co władzę dzierżyli, ale nie opowiadają nam nic o klasie średniej, o kupcach i rzemieślnikach, nie opisują nam życia ubogiego rolnika, nie poniżają się tak dalece, aby zstąpić pomiędzy lud i z niego zdejmo-
waz obraz. Więc też z rzymskich pisarzy znaleźliśmy patrycyuszów, znaleźliśmy miłosne intrygi Julii albo Agryppiny, wiedzieliśmy, jak wielki świat ucztował w stolicy, ale poza tym

światem, nie znaleźliśmy Rzymu, literatura . bowiem powieściopisarstwa, nie doszła do naszych czasów i zaginęła w przestworze wieków, tępiona przez ludzi co nie umieli ocenić jej historycznej wartości. Zaledwie w pismach Apulejusza, znajdujemy ślady rzymskiej beletrystyki, a i te tylko częściowo nas doszły. Cały materiał do obyczajowego obrazu starożytnego Rzymu, musieliśmy czerpać z przypadkowych uwag historyków, z poezji Owidyusza, z satyr Marcyalisa, Juwenala i jeszcze z kilku innych dzieł, które właściwie o czem innym traktują.

Ztąd pochodzi, że możemy z wielką historyczną prawdą odtworzyć sobie postacie Cezarów, Neronów, Dyoklecjanów, ale gdyby nam przyszło opisać rzymską gosposię, co na folwarku w okolicach Alby kurom zboże sypała, albo przypatrzeć się bliżej krzątaniu się kupca, co handel z Azyą prowadził, tobyśmy bardzo problematyczne potrafili tylko kreślić szkice. Niemieccy antykwarze, jak np. z najnowszych taki Friedländer, z mrówczą pracowitością pozbięli wszystko, co się tylko w starożytnych pisańkach do bliższego skreślenia obyczajów średnich klas rzymskiego społeczeństwa znaleźć mogło, a przecież na każdym kroku niezmiernie spotykamy luki i gdyby się ktoś z powieściopisarzy pokusił sięgnąć cokolwiek głębiej w społeczeństwo rzymskie, zwłaszcza przed Augustem, toby z trudnością i zapewne nie z wielkiem powodzeniem, z tego zadania wybrnąć potrafił.

Połowę jednak tego co wiemy o życiu średnich i uboższych klas w Rzymie, zawdzięczamy odkryciu Pompei, i pod tym względem to odkrycie miało nieobliczoną historyczną wartość! Tutaj zobaczyliśmy po raz pierwszy prywatny dom zamożnego i ubogiego rzymskiego obywatela, tutaj po raz pierwszy potrafiliśmy studyować jego życie, iść z nim do *therm*, do teatru, załatwiać interesa na forum i z kapłanami Izydy miłosne układać intrygi. Pompei dopiero mogło stworzyć taki obraz z rzymskiej przeszłości, jakim są Bulwera „Ostatnie dni Pompei“, gdzie autor w genialny sposób potrafił zużytkować wszystko, co tylko spotkał w odwiecznych ruinach, aby z tych okrucich i tych ułamków stworzyć o ile możności wierny obraz miejskiego życia w czasach upadku rzymskiego cesarstwa.

Ta historyczno-obyczajowa strona ruin Pompei — jeżeli się tak wyrazić wolno — potraça to oryginalne wrażenie, jakiego się przy pierwszym zwiedzaniu tych ruin doznaje. O greckich

i rzymskich bogach, czytaliśmy w Homerze, w chłopięcej naszej wyobraźni już wytworzyła się postać owego Jowisza, co w dłoni dzierżył pioruny, i owej Minerwy, z pięknym na piersiach pancerzem; tryumfatorów rzymskich widzieliśmy na różnych rysunkach, jak stoją w rydwanie z laurowym wieńcem na czole, a rumaki z zagiętymi w kabłąk karkami, poważnie kroczą w zaprzęgu, nawet Cicero wymawiając swoje: *Quousque tandem abutere Catilina* — przedstawiał nam się w białej, w fantastyczne fałdy zarzuconej todze, wyobrażenia jednak o całości życia w starożytności z książek i z obrazów nabyć niepodobna, podczas gdy ruiny Pompei w jednej chwili nam je pokazują, w jednej chwili wtajemniczają nas w ten rzymski świat, tak wysoko stojący pod względem cywilizacyi, a tak mało się od nas różniący.

Wchodząc więc w mury Pompei, pomimo że nie widzimy ludzi, pomimo że martwą otoczeni jesteśmy naturą, przecież zapoznajemy się z innym światem, oddychamy innym powietrzem i dopiero tam potrafimy w wyobraźni wlać życie w owe postacie marmurowe, któreśmy spotykali w muzeach, dopiero zdołamy zrozumieć te cyniczną rozpustą, zaprawne rysy satyrów, albo pełną prostoty i wdzięku, postawę „*Pudycycyi*“

Przejdźmy się więc po ulicach starożytnego miasta.

Trzebaby grube i dość nudne dzieło opisać, gdyby się chciało zastanawiać nad wszystkimi publicznymi i prywatnymi gmachami Pompei, gdybym oparty na strukturze tych domów i dziełach Wirgiliusza, chciał moim czytelnikom dawać lekcye starożytnego budownictwa, Daleki więc od specjalnych badań w tym kierunku, ograniczę się tylko na opisanie ważniejszych zabytków zasypanego miasta, mających ogólny interes.

U teraźniejszego wejścia w mury Pompei, urządzono muzeum, w którym się znajdują różne ciekawości tam znalezione; rzeczy jednak większej wartości, cenne sprzęty i rzeźby, ścienne malowidła, zręcznie razem z tynkiem z murów zdejmowane, znajdują się w neapolitańskim muzeum. W zbiorach pompejańskich pozostają zaś tylko takie rzeczy, które albo już w Neapolu w wielu istnieją okazach, albo też nie odznaczają się szczególną archeologiczną wartością. W małym tem muzeum w Pompei, zwracają uwagę turyści przedewszystkiem gipsowe odlewy ciał, które zginęły gorącym przysypane popiołem. — Dyrektor robót w Pompei, pan Fiorelli, wpadł na oryginalny, a bardzo szczę-

śliwy pomysł, zdjęcia tych gipsowych odlewów; jeżeli bowiem przy odgrzebywaniu jakiegoś domu, robotnicy wpadli na ślad ludzkiego szkieletu, natenczas Fiorelli kazał natychmiast wstrzymać dalsze odkrywanie i w otwór gdzie szkielet spostrzeżono, nalać płynnej masy gipsowej; po kilku dniach masa stwardziała i najczęściej przedstawiała kształt ciała ludzkiego w konwulsyjnych drganiach śmierci. Drobnny popiół co zasypał ciało w ciągu czasu zwykle na około niego utworzył skorupę, a gdy później samo ciało zepsuło się i prawie znikło, pierwotna jego forma w popiele wyżłobiona, pozostała aż do dzisiejszych czasów. W ten sposób uzyskał pan Fiorelli bardzo cenne odlewy, przedstawiające nam postacie walczących ze śmiercią ostatnich mieszkańców Pompei.

Najciekawszym jest może odlew ciała kobiety, wykopanego w r. 1863. — Upadła ona wznak, rażona ostatecznym ciosem. Pomimo że jej rysy nie są zbyt wyraźne, przecież tyle po jej twarzy widzieć można, że wiele cierpiała i że się udusiła. Głowa się cokolwiek podnosi, prawa ręka sparta o ziemię, robi ostatnie wysilenia, aby zrzucić z siebie ciężar gniotącego ją popiołu. W około głowy w kształcie korony albo diademu, znać owinięty gruby warkocz włosów. — Piers pod wielkiem ciśnieniem popiołów spłaszczona. — Nieszczęśliwa, widocznie uciekała, a dla łatwiejszej ucieczki podniosła swe długie szaty, które tym sposobem utworzyły dość wielki węzeł. Odzież naturalnie znikła w ciągu wieków, kilka tylko szklanych guzików, zachowało się do dziś dnia.

Pod względem wiadomości o starożytnem ubraniu odkrycie tej nieszczęśliwej Pompejanki bardzo było ważnem. Uczni nie umieli sobie zdać sprawy, czy Rzymianie nosili spodnie czy nie? Niemieccy archeologowie całe dzieła pisali za i przeciw tak ważnej kwestyi, a w nowszych nawet czasach, przynajmniej co do kobiet, nasze piękne Heleny Offenbacha, przeciw temu zdaniu się oświadczyły. Tymczasem ludzie, którym chodziło o to, aby starożytność o ile możności w przyzwoitem przedstawić świetle, znajdowali tę część ubrania już u żołnierzy rzymskich przedstawionych na kolumnie Trajana; stanowczym jednak w tej mierze dowodem, była kobieta, o której właśnie mówiłem, jakoteż i wiele innych postaci, które gips pana Fiorellego potrafił wydobyć z ukrycia. Obecnie jest więc rzeczą pewną, że nietylko

mężczyźni, ale nawet i kobiety nosiły w starożytności dolną część ubrania, podobną do terażniejszych trykotów, jakie jeszcze dzisiaj widzimy u kobiet z ludu, w niektórych okolicach Włoch, a mianowicie w Wenecyi.

Wybrnąwszy szczęśliwie z tej delikatnej materyi, dodać tutaj jeszcze musimy, że odlew kobiety, o której mówiliśmy, każe wnosić, że była smukłą i pełną gracyi, a nóżkę miała tak kształtną, iżby jej niejedna piękność pozazdrościć mogła. — Srebrny pierścionek zdobił jej palce.

Kobieta ta umiała kochać i z wyrazem miłości na ustach w inne musiała podążać światy, przy niej bowiem znaleziono kolczyki, srebrne lusterko i małą statuetkę z ambry, przedstawiającą małego, figlarnego amorka. Mały złoczyńca owinięty był w płaszcz, włosy miał zaczesane w trzy rzędy loków, które z nad czoła spadały w tył związane w jeden węzeł, przypominając zupełnie wolterowskie peruki.

Pedantyczni badacze, ludzie, co wszystko z zewnętrznych oznak chcą sobie wytłomaczyć, z małego amorka w rękach niešťczęśliwej kobiety, chcieli źle sądzić o jej przeszłości, lusterko przy niej znalezione, zdawało im się być jej płochości dowodem; dla czegoż jednak nie mamy przypuszczać, że kobieta ta ginęła z uczuciem w sercu, i że szlachetną pałając miłością, w ostatniej jeszcze chwili, chciała się przypodobać swemu kochankowi!

Zostawmy więc zmarłym dobre wspomnienie!

Jednym z najciekawszych i najlepiej utrzymywanych domów w Pompei, jest tuż pod murami miasta stojący dom, którego właścicielem miał być *Marcus Arrius Diomedes*. Przynajmniej tak się archeologom zdawało, dlatego że naprzeciwko istnieje grobowiec, z powyższem napisem. W piwnicach domu Diomeda, ośmnaście znaleziono szkieletów, w pozycjach, które świadczyły o pasowaniu się ze śmiercią niešťczęśliwych mieszkańców. Śnać właściciel ukrył się ze wszystkimi domownikami do obszernych pod całym prawie domem znajdujących się piwnic, sądząc, że przetrwa burzę, co się srożyła nad jego głowami. Pełno glinianych dzbanów z winem i z pożywieniem, miało przedłużać życie ukrytej rodziny, losy jednak rozstrzygnęły inaczej, a tumany cienkiego popiołu garnęły się do piwnicy przez szczelinę, a do dziejów Pompei przybyło ośmnaście ofiar.

Dom Diomeda stał się osiã, około której się grupuje większa część pompejańskich tradycyi; Bulwer córkę gospodarza, robi bohaterką swej powieści; w najnowszych czasach świecznik tam znaleziony, posłużył tyle już przez nas wspomnianemu Gregoroviusowi do osnucia nader pięknego poematu. „*Euphorion, Eine Dichtung aus Pompei*“ nazywa się ów poemat, a treść jego następująca:

Zamożny mieszczanin w Pompei, — *civis romanus* — dumny na swe prawa, wysłał córkę do Rzymu do stolicy, aby tam nabrała wiadomości i w wielkim się wykształciła świecie. Z domu wyjechała Jona jako młoda dziewczynka, a wracała jako dorosła panna. W Pompei zostawiła ona towarzysza lat dziecinnych — Euforiona, który będąc niewolnikiem w domu jej ojca, kształcił się w rzeźbiarstwie, aby niegdyś spanoszonemu kupcowi pompejańskiemu *atrium* przyozdabiać. Lat kilka minęło, młodzi się nie widzieli, a Euforion z daleka tylko słyszał, że Jona rosła w piękność i miłość u ludzi, i serce mu się ścisnęło, gdyż wiedział, że przepaść pomiędzy nim a towarzyszką młodości się powiększa, bo on zawsze niewolnikiem, a ona córką wolnego Rzymianina, córką uwielbianą przez wszystkich. Lecz Euforionowi wspomnienia młodociane zanadto były drogie, aby je miał z serca wyrzucać, więc się niemi pieścił i róść im pozwolił, ciesząc się, że przecież kiedyś Jona z Rzymu powróci i że będzie mógł z daleka przynajmniej ujrzeć jej oblicze. Aby zaś uwagę swej pani zwrócić na siebie, biednego niewolnika, postanowił Euforion przywitać ją podarunkiem, długich lat pracą i wielu pięknych myśli owocem. Rzeźbiarz przybywającą, światłem chciał olśnić, więc z brązu ukuł świecznik w kilku ramionach, świecznik będący arcydziełem ludzkiego geniuszu i zręcznego dłuta.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym z Rzymu przybyła Jona. Tłumy niewolników i niewolnic ojcowskiego domu wyszły na jej spotkanie:

Aber es schritt hochherrlichen Gangens vor ihnen ein Mädchen, Schlank wie die Flore des Mai, die über die Fluren daherkommt. Leichtlich umfloss das Gewand sie, als war's aus Violett duftig gewebt, und es glänzte die Tunica schneeweiss drunter, Knapp um die völligen Formen sich schmiegend.

Taka była Jona, a rzeźbiarz obawiając się niejako potęgi jej uroku, nie znalazł się w niewolników orszaku, ale w celi swej marzył o niej puszczając wodze gorącej wyobraźni. Gdy jednak wieczorem dom rodzinny Jony zabrzmiął od tonów wesołej muzyki, i znajomi się zeszli, by witac przybyłą, wszedł i Euforion niosąc swe dary. Echo podziwienia rozeszło się po obecnych, takiego arcydzieła jak świecznik Euforiona, nie widziały dotąd Pompejańskie mury. Większa jednak nagroda, aniżeli pochwalne słowa, był dla Euforiona dziękczynny uśmiech Jony i jej szczere przywitanie, przypominające rzeźbiarzowi ubiegłe chwile.

Ów uśmiech jednak, owe wspomnienia, były dla niewolnika bolesnym ciosem gdyż kazały mu tem bardziej boleć nad sobą; więc też Euforionowi ciemno tam było wśród gości i gwaru, wśród twarzy promieniejących od szczęścia i wesela, więc wyszedł za mury i błądził wśród ponurych nocnych cieni. Burza wrzała w sercu niewolnika, ale i w całej naturze jakiś był niepokój, jakiś szum podziemny; a spokojny zawsze Wezuwiusz, naraz zaczął huczeć i świetlanym się odziewać obłokiem. Im bardziej namiętności targwały duszę niewolnika, tem głośniejsza walka powstawała w naturze: niebo się czarną pokryło chmurą, ziemia drżała, jakby ją ukryte Tytany w konwulsyjne wprawiały ruchy. A walka żywiołów wzrastała i wkrótce szczyt góry ogniem ziać zaczął, i popłoch wielki ogarnął nadbrzeżne miasta. *Sarnus* zaczął się pieniść, a jego wody niespokojne, rzucały okrętami, co ciężarne towaram dalekich krajów, szukały spokoju na kotwicy,

Kilka godzin zaledwie minęło, a całe miasto było pokryte kirem żałoby, domy pękały, grad kamieni padał na ulice, czarna chusta popiołu pokryła białe marmury, jęk, płacz i narzekania, mieszały się z grzmotem wydobywającym się z wnętrza Wezuwiusza. W tej strasznej chwili, egoizm zapanował nad ludźmi, każdy szukał tylko dla siebie przytułku, każdy się chronił ze szkoda innych. Mąż żonę pozostawiał pod walącym się sklepieniem, brat siostrę opuszczał wśród ciemności na brzegu rzeki, aby tylko samemu módz się przyczepić do odpływającej łodzi, która szybko odbijała na pełne morze, aby się pozbyć natrętów, co chcieli na niej życie swe uratować.

Jedna tylko była dusza, do której egoizm w tej strasznej chwili nie miał przystępu, jeden był tylko człowiek, który za-

pomniął o sobie, aby ratować kochankę, a tym człowiekiem był Euforion, a ta kochanka była Jona.

Żywioty co całemu światu dzisiaj przysięgły zagładę do Euforiona uśmiechnięte zwróciły oblicza, ony go zrównały z Joną, jego zrobiły człowiekiem wolnym, a ją sierotą potrzebującą męskiej opieki.

Więc też z gruzów Pompei wyleciały dwa serca niby dwa gołąbki i poszły w świat, opowiadać sobie o przebytych cierpieniach i cieszyć się swem szczęściem.

Oto jest tło, na którym osnuł Gregorovius swój poemat, tło mniej więcej to samo, które już Bulwera ożywiało fantazję, tyle jednak posiadające świeżości i prawdziwie pięknych motywów, że nie jeden jeszcze talent, może z gruzów Pompei, potężne wywołać postacie, i kazać gorącym namiętnościem wrzeć wraz ze spienionemi fałami, palące się lawy.

Tuż koło domu Diomeda od głównej bramy miejskiej, prowadzi ulica grobów, ulica nie znana dzisiejszym czasom, a w starożytności będąca każdego miasta ozdobą, po obydwu jej bokach, rzędem stały sarkofagi. Po większej części obszerne, marmurowe kwadraty, jakby postumenty pod wielkie pomniki, lub jak dzisiejsze cmentarne kaplice. Gdzieindziej grób taki do znacznych urósł rozmiarów, było to *columbarium*, grób rodzinny, w którym całe rzędy popielnic, zbliżały przynajmniej resztki tych, co za życia w bliższych ze sobą byli stosunkach.

W ulicy grobów w Pompei, znajdziesz także rodzaj salonu pod gołym niebem, gdzie się odbywały stypy, pośmiertne uczty. Czworobok z marmurowych ścian bez dachu, wewnątrz trzy ławki z marmuru i okrągły stół na środku, po bokach cieniste cyprysy, oto miejsca, gdzie się Rzymianie pocieszali po stracie osób im drogich, gdzie *Falerno* służyło zamiast wody Letejskiej, aby smutne zapomnieć wrażenia. Miejsce to zwano *triclinium funebre*.

Na grobowcach, widać gdzieindziej bardzo ciekawe rzeźby. Na jednym z nich widać siedzi *Sfinx* na rozdrożu, w chwili gdy *Oedipowi* zadaje zagadkę, gdzieindziej kobieta ze spuszczoną pochodnią, chce powiedzieć, że tam już życie zagasło, owdzie znów sceny z walk gladyatorów, zdają się przypominać, że mieszkańiec grobowca, amfiteatr liczył do największych przyjemności życia.

Ulicą grobów, wchodzi się do najregularniej zabudowanej części miasta: pięć jest ze sobą równoległych ulic, a plan tej części miasta tak regularny, jakgdyby stanowił część planu jakiej nowszej niemieckiej lub amerykańskiej stolicy. Część zachodnia, bliżej morza położona, gdzie się największe publiczne skupiały budowle, gdzie świątyn było najwięcej, mniej już regularne przybrała kształty. Tam się znajdowało forum z świątynią *Izidy*, tam amfiteatr i teatr mniejszy, tam stała Bazylika, odpowiadająca potrzebom włoskiego miasta: gmach bez ścian, z rzędami kolumn, gdzie zabezpieczeni przed słonecznym skwarem, mogli kupcy w Pompei załatwiać interesa i kramarze sprzedawać towary. Dzisiejsze giełdy zastąpiły starożytne bazyliki, które w Rzymie chrześcijańscy cesarze na kościoły poprzemieniali.

Pompei nie posiadało wiele gmachów publicznych, gdy bowiem do poprzednich, dodamy kilka świątyn, a mianowicie świątynie: Wenery i Panteon, gmachy sądowe, termy i koszary gladiatorów, te prawie wyczerpaliśmy wszystkie znaczniejsze ruiny. Z gmachów tych szczątki już tylko pozostały; na forum jeszcze widzimy ściany, marmurowe wschody, tak że można mieć wyobrażenie o składzie większej części zabudowań, niektórych jednak gmachów jak np. panteonu, lub bazyliki, domyślić się raczej należy ze złamanych kolumn, co dotrwały dotąd na miejscu, na którym je rzymska postawiła ręka. Za to wiele prywatnych budynków bardzo się dobrze utrzymało, a z nich możemy mieć zupełne wyobrażenie o domowym życiu Rzymian. Dom rzymski to nie dzisiejsze miejskie koszary, w których kikadziesiąt nieraz mieszka rodzin, nie jest to ów „Zinshaus“ niemiecki, stawiany umyślnie dla obcych, a nie dla właściciela; dom rzymski zbliża się do domu angielskiego, zamkniętego dla świata, będącego ogniskiem rodzinnego życia, zasłoniętego przed wzrokiem ulicy. W domu rzymskim, prawie nigdy niema okien na ulicę, wązkim kurytarzem wchodzi się do pierwszego podwórza, otoczonego kolumnadą i rzędami pokoi. Obcy co miał interes do gospodarza, najczęściej tylko w tem pierwszym był przyjmowany podwórzu, w drugim bowiem podwórzu, głębiej jeszcze położonem, niechętnie widział Rzymianin obcego człowieka. Tam wychodziły najczęściej drzwi od sypialni, tam był gabinet do czytania, i w tyle mały ogródek, składający się z kilku cyprysów i drzew pomarańczowych, pod których cie-

niem chronił się właściciel, przed słonecznym skwarem i rodzimem szczęściem się cieszył. Obydwa podwórza najczęściej bardzo starannie były przyozdobione i często fontanna biła we środku, otoczona grupami marmurowych postaci, pod kolumną brązowy Satyr uśmiechał się do przybywających, albo Wenus przyglądała się w cysternie, w której złote pływały rybki. Całe podwórze przykryte było piękną mozaiką naśladowującą nie raz utwory znakomitych malarzy, ściany pod kolumnami ozdobione były najróżnorodniejszymi malowidłami, z których wiele do dziś dnia się utrzymało.

Ścienne malarstwo za czasów rzymskich stało na bardzo wysokim stopniu rozwoju i nie jednego w tym względzie mogliśmy się dzisiaj uczyć od starożytnych i faktycznie wieleśmy się nauczyli. Przedewszystkiem materiały na którym malowano, tynk, tak był doskonałym, tak zbity i gładki, że dzisiaj po tysiącu lat prawie, tynk z całych ścian, można pod spodem odpiłować i oprawić cały obraz w ramy jakby jednostajną marmurową tablicę. W ten sposób prawie wszystkie znakomitsze ścienne obrazy zostały z Pompei przewiezione do neapolitańskiego muzeum, i mało który obraz pękł podczas odpiłowywania go od ściany, na której od wieków spoczywał. W rzymskich starożytnych pokojach, spotyka się najczęściej całe ściany gładko jednostajnym, a mianowicie: czerwonym, żółtym lub białym pomalowane kolorem, w środku tylko znajduje się jakiś obraz: najczęściej tancerka w przeźroczystych szatach albo scena z mitycznych dziejów rzymskich, albo greckich, albo nareszcie w pokojach zwłaszcza jadalnych, pęk zwierzyny lub kosz owoców, o świeżej barwie i doskonałym rysunku. U spodu i u góry jest zwykle szeroki, ciemny, czasem całkiem czarny szlak, na którym stósownie do przeznaczenia pokoju, bywają przedstawiane sceny z życia myśliwskiego, walki gladyatorów, wesołe psoty amorków, fantastyczne postacie, gierlandy kwiatów, pęki winogron i t. d. wszystko najczęściej z wielkim malowane gustem.

Bywa też czasem, że ściana przedstawia jakiś perspektywiczny, architektoniczny obraz, jakby teatralna kulisa, więc widzisz na niej np. gmach jakiś z gankami i kolumnadą, u spodu woda płynie, i gęsi spokojnie pływają, albo też rząd kolumn, malowany z zachowaniem nader zręcznym perspektywy, rozszerza mały pokój i nadzwyczaj się efektycznie wydaje. Kolory po więk-

szej części świeżo dochowane mogą zadziwiać dzisiejszych malarzy. Ten sam sposób malowania i to samo użycie kolorów co w Pompei znajdujemy w ruinach gmachów cesarskich w Rzymie, w pałacu Nerona, gdzie girlandy z winogron i owoców, zbudzają podziwienie.

Bardzo za złe można mieć zarządowi ruin w Pompei, że ogołaca zupełnie tamtejsze domy i wszystko co cenniejsze wywozi do neapolitańskiego muzeum. Rozumiemy, że wszystkiego w Pompei zostawić nie można, tembardziej, że kto wie, czy Wezuwiuszowi się jeszcze kiedy nie spodoba wymieść swe popioły w stronę starożytnego miasta; jeden dom jednak, powinien być przynajmniej pozostawiony w Pompei tak jak go znaleziono, ze wszystkimi ściennymi malowidłami, szczątkami marmurów, rzeźb i sprzętów domowych. W neapolitańskim muzeum, które obecnie nadzwyczaj pięknie odnawiają, urządzono jeden pokój w taki sposób, jak były urządzone komnaty w Pompei; ściany więc są odpowiednio malowane, starożytne sprzęty stoją na miejscu, na którym według ówczesnego urządzenia stać powinny. Pokój ten miłe robi wrażenie, i świadczy, o wysokim artystycznym zmyśle Rzymian, którzy dobremu smakowi w najdrobniejszych nawet szczegółach pomieszkania, zapanować kazali.

Porównując starożytne malowidła, starożytne sprzęty wykopane w Pompei i w Herkulanum, z dzisiejszemi malowidłami, brązami, meblami, widzimy jak się obecnie u Rzymian zapożyczamy. Odkrycie Pompei zrobiło rewolucję w naszych wyrobach, mających nosić cechę pewnego artyzmu. Od kółczyków i kolii począwszy, a skończywszy na koszykach i wazonach na kwiaty, wszędzie widzimy motywa i myśli, które w Pompei i w Herkulanum, swój początek biorą.

Z wielu fragmentami ściennego malarstwa z Pompei, można się spotkać nie tylko we Włoszech, nie tylko we Florencyi w Medyolanie, ale co więcej fragmenta te już dosięgły Wiednia, a nawet Berlina. Włoskie dworce kolei żelaznych, co mogą kopiują ze starożytności, i nie powiem, żeby im to na złe wychodziło. Dworzec w Turynie posiada sale, nadzwyczaj pięknie malowane, ale malowane pod widocznym wpływem, starożytnego ściennego malarstwa.

Jeżeli chcemy śledzić wpływ starożytnego brązownictwa na dzisiejsze tego rodzaju wyroby, to nie potrzebujemy jak tylko

przejść się po magazynach *Christofla* w Paryżu, albo nawet rozpatrzyć się w różnych drobnostkach u *Kleina* w Wiedniu, a na każdym kroku odkrywamy linię, rysunek, którąśmy widzieli w neapolitańskim muzeum, na przedmiocie, co przed kilkoma dopiero laty, został wydobyty z zapomnienia.

Modele z niesłychaną szybkością obecnie po świecie się rozchodzą, więksi bowiem fabrykanci, posyłają rysowników do Włoch południowych, aby każdą nową schwycić formę, i w tyśiączny ją zastósować sposób.

V.

Odkrycie Pompei dało nam dopiero wyobrażenie o starożytnem malarstwie, przed tem o tej gałęzi sztuki u Rzymian prawie sądzić nie byliśmy w stanie, a znając dokładnie ich plastykę co do malarstwa, musieliśmy nasze wiadomości ograniczać do luźnych wiadomości, zaczerpniętych w tej mierze ze starożytnych autorów. Pompei nam udowodniło, że malarstwo stało w starożytności na bardzo wysokim stopniu rozwoju, i że prawie wszystkie działy, reprezentowane w dzisiejszem malarstwie, nie były obcymi starożytnym Rzymianom.

Jeżeli nam chodzi o malarstwo dekoracyjne i architektoniczne, to na ścianach Pompei i Herkulanum, mnóstwo tej gałęzi malarstwa mamy przykładów. Jak już wspomniałem, całe ściany imitowały nieraz architektoniczne rysunki i mogły służyć za rodzaj teatralnej dekoracyi. Zresztą i dekoracye w dzisiejszem słownaczeniu były znane w starożytnych teatrach. Zwyczajnie teatr a raczej scena, miała w głębi stałą murowaną dekoracyę przedstawiającą dom w ówczesnym stylu, przed którym rozwijała się czynność bohaterów sztuki, wtedy też pisano na afiszach, na ogłoszeniach teatralnych, że przedstawienie odbędzie się ze zwykłą dekoracyą. Gdy jednak ta dekoracya nie wystarczała, natenczas spuszczano inną dekoracyę i afisz teatralny równie jak za dzisiejszych czasów nie omieszkał z tego skorzystać, aby nie zachęcić publiczności do liczego współdziałania w przedstawieniu. Owóż owe płócienne dekoracye, były już polem popisu, nietylko dla architektonicznego malarstwa, ale i dla pejzażu.

Pejzaż też, krajobraz, jak go dzisiaj nazywamy, stanowi ważną część ściennego malarstwa w Pompei, i niejednokrotnie widzimy tam skały, lasy, kozy drapiące się po górach, wyspy wynurzające się z morza, ubrane świątyniami w doyckim guście, lub też nawet naturę wzburzoną, piętrzące się bałwany morskie, albo księżyc spokojnie wschodzący, jakby w wyobraźni sielankopisarza z końca ośmnastego wieku.

Rodzaj malarstwa, w którym ostatnimi czasy rej wodziła flamandzka szkoła: obrazy przedstawiające ubitą zwierzynę, ryby, owoce, stołowe naczynia wśród kuchennych stołów, wszystko to widzimy i w starożytności: zające, kuropatwy, kapłony przyrządzone na rożen, ryby, gruszki, w koszykach winogrona, różnowzore i różnokolorowe świeże serwisy znalazły po największej części miejsce na ściennych szlakach przy suficie, albo też często i w środku ścian, ale w tym razie, już jako pewna artystyczna całość.

Zwierzęta w ściennem malarstwie w Pompei, ważną odgrywają rolę, nie trzeba sobie wprawdzie wystawiać, abyśmy tam mieli spotykać konie Adama lub Kossaka, abyśmy patrzyli się na owce *Verboekhowena*, co beczeć się zdają, albo cieszyli się psami takimi, jak je malował *Landseer*, lub lisem *Mykitą* co wyszedł z pod ołówka *Kaulbacha*, lub pędzla *Spektera*, ale przecież są tam rzeczy godne uwagi jak np. lwica goniąca dwa uciekające woły, albo pies toczący zażartą walkę z kotem o kawałek mięsa.

Malarstwo rodzajowe, zdaje się stało na wysokim stopniu rozwoju, a zabytków w tym względzie, bardzo wiele w Pompei znajdujemy, albowiem jak wiadomo, Pompei było miastem kupieckim, które zapewne przedewszystkiem ceniło humor, a czasem nawet i trywialność w sztuce. Bankierzy w Pompei mieli pod tym względem ten sam smak co ich następcy na Ringstrasse, albo na Jögerzeile, którzy na jednej z ostatnich licytacji obrazów, płacili pięć i sześć razy więcej za mały obrazek *Peltenhofena* przedstawiający parę węgierskich koników w ubogiej uprzęży, aniżeli za duży obraz religijny, jednego z najznakomitszych włoskich mistrzów.

W guście *Peltenhofena* jest nawet mały obraz z Pompei, przedstawiający wóz, na który dwóch niewolników nakłada dzbany z winem, a para koni wyprężonych, niecierpliwą się, rychło ich panowie, skończą wóz nakładać.

Dotknąwszy jednak rodzajowego malarstwa w starożytności, nie możemy nie potrącić o jeden z jego najcudniejszych tematów, tematów powtarzających się pod najróżnorodniejszymi postaciami, i będącego właściwością starożytnej sztuki. Chcemy mówić o amorkach.

Amorek jest to największy figlarz w starożytności, najmiłszy psotnik, jaki kiedykolwiek istniał w sztuce, dzieciak któremu nigdy niezabrakło na humorze i najróżnorodniejszych oryginalnych pomysłach, towarzysz Wenery i wszystkich ładnych kobiet umiejący zgrabnie wykradać całusy; z tytułu swej młodości, za dziecko uważany, a przecież posiadający zachecenia i doświadczenie dorosłego nieraz człowieka. Gdzie tylko się knuła jakaś miłosna intryga, gdzie tylko życie pełnym płynęło strumieniem, wszędzie się znalazł amorek, bez niego nie odbyło się zejście kochanków, bez niego pięknego snu nie było, bez niego nawet bogowie w Olimpie, w swych stosunkach i stosunekach obejść się nie mogli.

Wenus medycejska stoi czysta i wstydliva pełna uroczego wdzięku, a przecież amorki niecnoty, figlują koło niej, wspinają się na delfina, będącego za piękną boginią. Amorek ma największe na świecie przywileje, jemu wolno wchodzić bezkarnie do komnat bogini, on w każdym buduarze pięknej Rzymianki gospodaruje, jak w swoim mieszkaniu. Mając skrzydła, wszędzie się wśliznie i wszędzie się dostać potrafi, słowo miłości umie szybko zanieść tam gdzie go piękna pośle królowa.

Rzecz szczególna, że ten amorek pomimo że się rozumie doskonale na sprawach serca, sam zdaje się jeszcze nie mieć serca, spryt i rozum prędzej się u niego rozwinęły, aniżeli uczucie; przytomności, doświadczenia ma tyle, co dorosły człowiek, czuje nawet pewne sympatyje do dam, którym służy, pojmując rozkosze, jakie są tych udziałem, co w ich sidła wpadli, ale sam się nie kocha, sam jest pod względem uczucia i namiętności najzupelniejszym dzieckiem. Amorek posiada zresztą ciekawość zepsutego dziecka, ciekawość, dla której nie ma przeszkód, ale ciekawość li tylko w przedmiotach serca i miłości; inne sprawy go nieobchodzą, on ma swój zakres działania, w którym mu dobrze, w którym jest królem, ma bowiem protekcję wszystkich pięknych kobiet, a więc ma protekcję wszystkich najpotężniejszych mężczyzn.

Nie ma dla Amorka większej pociechy, jak gdy nową miłosną potrafił zawiązać intrygę, małżeństw on nie kojarzy, to nie jego sprawa, małżeństwa go nudzą, tam wszystko idzie spokojnie, poważnie, a wszelka powaga jest mu wstrętna. Zresztą Amorek nie lubi dzieci, dzieci płaczą, a on się śmiać lubi, dzieci przypominają mu jego małą figurkę, a on chętnieby za dorosłego uchodził. Amorek więc, najchętniej przebywa w buduarach młodych mężatek, co nieszczęśliwe w małżeńskim pożyciu, o wdówkach nie zapomina, a jak mu się uda starszej kobiecie zakłócić spokój, to śmieje się niepoczciwiec i klaszcze w rączęta.

Amorek mężów nienawidzi, i mężowie żeby mogli, zamknęliby malca do ciemnego pokoju o chlebie i wodzie, na nieszczęście mężów jednak Amorek ma skrzydła, a najzazdrośniejszy małżonek, nigdy schwytać go nie może. Nie było wypadku, żeby się amorek skompromitował, żeby niezręcznie postępował, albo żeby zdradził damę, której służy. W starożytnych amorkach jest pewna średniowieczna szwalerya, jest pewien punkt honoru, nie pozwalający fałszywie postępować wobec kobiety, w której służbie się jest, której barwę się nosi.

Mimo wszystkich swych wad, amorek jest poczciwym chłopczyną, nie masz w nim śladu szkodliwej złośliwości, jeżeli bowiem czasem źle robi, to jego czyny wynikają z niepochamowanej chęci kojarzenia serc pragnących miłości, ale bynajmniej nie z chęci sprawienia komuś przykrości. Toteż amorek dalekim jest od cynizmu, i gdzie się panowanie cynizmu zaczyna, tam amor składa dobrowolnie swoje berło i oddaje je w ręce Satyra, owego człowieka, o kozich nogach, i zimnym, pustym uśmiechu.

Satyr towarzyszy zwykle Bachusowi, Amorek jest przy nim tylko w miłosnych wyprawach, i często wychodzi na jego towarzystwie w nader niefortunny sposób. Biedny chłopczyna, nie przyzwyczajony do wybryków posiwiąłego przy kieliszku bożka, kończy zwykle przy nim bardzo smutno. Proszę sobie przypomnieć jeden z bardzo pięknych obrazów Rubensa, zdaje mi się że w Turynie, przedstawiający Bachusa w wesoleń towarzystwie. Wina tam już dużo wypito, bachantka dolewa z pełnego dzbana swemu pryncypałowi. Satyr pije na boku, co się tylko wypić da, a dwom amorkom biedakom, złe towarzystwo tak nie posłużyło, bo się zachowują w ten sposób, jak studenci z gimnazyum, gdy pierwsze wypalili cygaro. Coś podobnego przedstawić, może so-

bie pozwolić tylko taki Rubens, chociaż w ogóle włoscy malarze na rachunek amorków bardzo wiele grzeszą, a nawet nieskazitelnemu Rafaelowi, możnaby w tym względzie wielki zarzucić grzeszek, umieścić on bowiem na jednym obrazie, na którym Matka Boska króluje w świętem otoczeniu, amorka w takiej pozycji, o jakiej się w przyzwoitem nie wspomina towarzystwie.

Skrzydlaty Amorek tak dalece był w starożytności związany z pojęciem miłości, że stale został jej symbolem. Jeżeli np. na jednym obrazie w Pompei, widzimy młodą kobietę zadumaną, a obok niej zadumanego amorka, to już ci jasnym jest, że malarz chciał nam powiedzieć, że owa kobieta myśli o miłości. Jednym z najciekawszych obrazów z amorkami w Pompei jest duży obraz przedstawiający starca sprzedającego amorki. Amorki siedzą w klatce, a stary ptaszek właśnie jeszcze jednego z nich wsadza do klatki. W pobliżu stoi piękna młoda kobieta, ku niej wlatuje amorek z dwoma wieńcami, a za nią z za sukni jeszcze jeden z tych małych psotników wyziera, jak gdyby się obawiał że i jego wsadzą do klatki. Stary ptaszek widocznie z młodą panią wiele miał kłopotu, skoro aż całą klatkę amorków musiał przynieść, aby przecież odpowiedniego zdołał jej wyszukać.

Humor nigdy amorków nie opuszcza; to też widzimy ich w Pompei jak się czubią po ścianach, jak na kozach jeżdżą, jak wywracają koziołki i najróżnorodniejsze wyprawiają psoty. Do pojęcia amorków, tyle było już przywiązane humoru, że samo postawienie amorka w pewnych okolicznościach, które same przez się nic nie przedstawiały szczególnego, miały całemu jego otoczeniu nadać pewną cechę wesołości. Toteż starożytni malarze azali amorkom najróżnorodniejsze, najsprzeczniesze z ich powołaniem mieć zajęcia: są obrazki w Pompei, na których np. dwa amorki zawzięcie buty szyją, i koło nich znajduje się cały warsztat szewski, inne dwa amorki mozolą się nad jakąś stolarską robotą, poruszając większą piłą jak oni sami. Sprzecznosc jaka istnieje pomiędzy powołaniem amorka, z szewskim rzemiosłem, musiała rzeczywiście działać rozśmieszająco, co rzymscy malarze wyzyskać umieli.

Amorki były ulubioną ozdobą kobiecych biżuterii i w zbiorach drogich kamieni, zachowanych z czasów rzymskich, widzimy amorki w różnych postaciach już to w pierścieniach, już to w ka-

mieniach służących do ozdoby naszyjników i naramienników. Jak serce z gorejącym płomykiem, spotkać można dzisiaj, na przedmiotach mających być pamiątką miłości, tak amorek, dawniej wybornie służył w podobnych razach. Amorek najlepiej się udawał na godło do kamieni służących za amulety, boć ten poczciwy chłopczyzna, niepozwolił z pewnością nic złego zrobić pięknej kobiecie, i odwracał od niej nieprzyjazne losy.

Pojęcie starożytnego amorka, przeszło do pojęć i tradycji chrześcijańskich, a wiecznie młody i wiecznie wesoły Amorek, nie dał się zakopać pod gruzami starożytnego Rzymu, ale odżył w sztuce chrześcijańskiej jako aniołek, pod tą samą postacią i bardzo często, z tymi samymi przywilejami. Wprawdzie Chrystyanizm założył wędzidła rozpustnemu chłopcu, nie pozwolił mu już widocznie protegować zakazanych miłosnych stosunków, ale zawsze amorek, obecnie aniołek, został rozpieszczonem dzieckiem całego zastępu osobistości stojących na szczycie chrześcijańskiej wiary. Chrystyanizm pozwalał tylko aniołkowi starzeć się i postawił obok skrzydlatego dziecka, całe chóry istot rozwiniętych, męzkich, walczących za Boga i wiarę.

W sztuce jednak, nawet w sztuce kościelnej, do dziś dnia starożytny amorek z nowożytnym aniołkiem w najzupełniejszej żyją zgodzie, i trudnooby było w nim rozpoznać, kogo malarz myślał, małując skrzydlate dziecko, czy towarzysza starożytnej bogini miłości, czy dziecię unoszącą się około tronu matki Boskiej. Tradycja starożytna o amorku, tak dalece ciągnie się w religijnem włoskiem malarstwie, że Rubensy, Rafaele, Ticyany, na najpoważniejszych religijnych obrazach, oddają pod postacią amorka pewną humorystyczną część swej kompozycyi, podczas gdy obraz nieraz mistyczno-religijne ma przedstawiać zagadnienia, aniołek tymczasem na boku zupełnie ziemskimi trudni się rzeczami, i nader przyjemny tworzy kontrast. W galeryi Pitti króluje na tronie *Madonna del Baldachino* Rafaela, i podczas gdy na całym obrazie rozlana jest pewna powaga i uroczysty spokój, dwa aniołki na boku z figlarnemi minkami uczą się czytać, a tak im się to poważne zatrudnienie zabawnem zdaje, że mimowoli żartują same z siebie. Już to te ucieszne aniołki zwykle nie pojmują wielkich religijnych dramatów, które się koło nich odgrywają, nie umieją uświęcić rzeczy, które wiara otoczyła pewną aureolą świętości. Aniołki *Domenichina* jak piłką bawią się różańcem,

i ani im na myśl nie przyjdzie, że to ze stanowiska religii, tak poważny przedmiot, w *Campo santo* w Pizie aniołki kąpią się w chrzcielnicy: jeden z nich na głowę skacze do wody, inny znów popycha swego towarzysza do wody, który snąć nie jest przyjacielem kąpieli.

Nowsi malarze umieli zresztą w świeckich obrazach, w wyborny sposób pojmować i przechować tradycję amorków, a Rubens mistrzem był pod tym względem. Około każdej jego Wenerzy, gdzieś z boku ukryty jest amorek, a taki figlarny, taki miły, że niedziw, iż jest ulubieńcem swej pani. Sławne są owe amorki w galerii *Borghesa*, co niby obojętnie, jednak z wielką energią, ostrzą na kamieniu swe strzały, jako zapowiedź miłosnej sceny, która się w ich pobliżu wkrótce ma odegrać. Z wielkim humorem wiąże inny amorek Rubensa, za nogę, do boju spieszącego Marsa, aby nie opuszczał swojej kochanki. Gdyby Mars chciał, toby za jednym poruszeniem swej żylastej nogi przerwał i pęty na niego nakładane i amorka za sobą pociągał, ale zachody amorka widoczną wojownikowi sprawiają przyjemność i znać, że ów amorek ma więcej moralnej, aniżeli fizycznej siły. Wyborne są amorki na obrazie Rafaela, przedstawiającym Galateę, jak w prawo i w lewo wypuszczają strzały ze swych łuków, aby tylko rozżarzyć miłość pomiędzy nimfami a Tritonami.

Tysiące musiałbym wyliczać obrazów, w których amorki, albo aniołki, pełną humoru grają rolę, postać ich bowiem jest tak wdzięczna, tak się nadaje do pełnej uroku kompozycyi, że niejednen malarz nie może sobie odmówić, aby nie pójść w ślad swych poprzedników i nie wywołać jeszcze raz amorka na płótno. Jedną z najnowszych kompozycyj, która przed dwoma laty tyle narobiła rozgłosu owa *Venus anodiomene*, otoczona jest także nader figlarnymi amorkami, które zwracają uwagę widza na wdzięki swej pani.

Nie pomnę już którego dzisiejszego malarza są dwa niewielkie obrazki, znane z fotografii szerokiej publiczności, będące jedną z tak miłych kompozycyj, że takowe długo pozostają w pamięci. — W buduarze stoi młoda kobieta, pełna wdzięku, w widocznem oczekiwaniu kogoś kto ją bardzo i bardzo obchodzi; jeden amorek niecnota, ciągnie ją za suknię naprzód z całej siły, drugi dopomaga w pracy swemu towarzyszowi, i z boku oparł

się o swą piękną panią, popychając ją tam, gdzie koleżka ciągnie. Obrazek prosty, ale zrozumiały.

Na drugim obrazku widzimy tę samą kobietę zmartwioną, zapłakaną, chustką zasłaniającą oczy, a amorek także zapłakany, kłęczy na grochu, a drugi kryje się do kąta, aby ująć gniewu swej pryncypalki.

Niepocziwe amorki, co ony narobiły kłopotu!

Może za długo zatrzymały nas amorki, skoro nam wypada mówić o innych gałęziach malarstwa w Pompei, czytelnicy nam jednak darują zboczenie, boć rzecz naturalna, że i autora amerek na bezdroża może zaprowadzić.

Pompei posiada także wiele zabytków historycznego malarstwa, a treść do takowego, czerpano najczęściej z greckich podań, lub też kreślono obrazy, które nieśmiertelny poeta Homer. Do lepszych w tym względzie kompozycji, należy Herkules toczący walkę z lwem, rysunek tam bardzo poprawny, pejzaż w głębi odznaczający się doskonałą perspektywą. Większych rozmiarów kompozycją, jest uprowadzenie pięknej Bryzeidy. Schwycony tam jest moment, kiedy Agamemnon posyła swych heroldów do namiotu Achillesa, aby mu uprowadzić Bryzeidę, którą król żąda jako nagrodę za Chryzeidę, aby ją oddać jej ojcu, uśmierzyć gniew Apollina, i tamę położyć morowej zaradzie, szerzącej się w obozie Greków. Z płaczem zbliża się piękna dziewczyna pod tron Achillesa, który prawą ręką daje znak heroldom, aby ją poprowadzili, w oku bohatera jednak znać miłość i gniew, że się musi poddać wyrokowi króla.

Z ugrupowania i pięknego rysunku wielu z tych ściennych obrazów, można z pewnością prawie przypuszczać, że pokojowi malarze, kopiowali tylko dzieła znakomitych mistrzów, które wówczas były powszechnie znane i słusznego nabrały rozgłosu, najczęściej bowiem, samo wykonanie rysunku, w wielkiej stoi sprzeczności z kompozycją, zdradzającą niepospolity talent malarzski, podczas gdy samo wykonanie nie zasługuje na szczególną uwagę. Rzecz zresztą bardzo naturalna, że tak być musiało i malarze kopiowali dzieła znakomitych autorów, jak się to i dzisiaj dzieje.

Rewolucyi w wyobrażeniach naszych o starożytnem malarstwie, dokonał jednak wielki obraz z mozaiki, znajdujący się dzisiaj w neapolitańskim muzeum, a przedstawiający, jak po-

wiadają historycy, bitwę pod *Issos*. Jest to mozaika ogromnej wielkości przedstawiająca króla Daryusza na złocistym, czterema końmi w poręcz uprężonym wozie, w chwili, kiedy sam Aleksander lancą przesywa jego ulubionego brata i wodza Daryusza Oxathresa. Pomimo że obraz zrobiony z mozaiki, przecież wyrazy twarzy Daryusza, Aleksandra, tak odpowiadające strasznej chwili, rysunek całego bojowego szyku, ugrupowanie, perspektywa, cieniowanie, tak znakomite, że pierwszorzędnny malarz dzisiejszy, na tym obrazie swój podpis mógłby położyć.

W tej mozaice, która niestety z jednej strony jest uszkodzona, podziwiać musimy nie tylko już mistrzowskie dzieło artysty, ale nadto nadzwyczajną technikę tych co ją układali. Jest to bezsprzecznie jedna z najpiękniejszych istniejących mozaik, przechowanych nam ze starożytności, pomimo że dzięki trwałemu materiałowi, posiadamy wiele nader cennych pod tym względem zabytków, które terażniejsi fabrykanci mozaik, aż do znużenia nieraz powtarzają, jak np. gołębie siedzące na urnie, znalezione w willi Hadryana, zdobiące w kształcie broszy, nie jedną piękną szyję, Włoch i Wielkiej Brytanii.

Bardzo piękne mozaikowe posadzki zachowane ze starożytności widzieć jeszcze można w Rzymie w pałacu Cezarów, i w rzymskich muzeach. Największymi wrogami starożytnych mozaik, są niezaprzeczenie Anglicy, każdy angielski turysta bowiem miałby sobie za wyrzut sumienia, gdyby cichaczem nie wyjął z posadzki, choć ze dwa kamyczki i nie włożył je do podróżnej torby. W willi Tyberyusza na wyspie Capri, gdzie ruin nikt nie pilnuje, wkrótce Anglicy całą rozbiorą posadzkę, nie ma dnia bowiem, żeby statek zabierający z tamąd podróżnych do Neapolu, nie wiozł ze sobą kilku funtów kamieni, z których się ongi składała posadzka pałacu groźnego Cezara.

Trzeba było wulkanicznej włoskiej natury, a wskutek tego tak ogromnej różnorodności różnorodnych kamieni, aby mozaika mogła tam dojść do tej wysokości, na której stała w czasach starożytnych i z której dzisiaj bynajmniej nie schodzi. Dość przejść się wzdłuż „*Lung Arno*“ we Florencyi, albo po placu hiszpańskim w Rzymie, aby za wystawami sklepów, podziwiać te gustowne i piękne wyroby, jakie Włosi z małych składają kamyczków. W galerii Pitti znajduje się prześliczny zbiór stół mozaikowych, któremi rzeczywiście możnaby umeblować sa-

lony jakiegoś zaczarowanego pałacu: jednostajne tafle malachitu, albo *lapis lazuli*. Przy tych stołach mogłoby wygodnie zasiąść sześć do ośmiu osób, co wzbudza zazdrość w niejednej damie, która spoglądając na swą dużą broszę z malachitu, widzi ją tak bardzo poniżoną w swojej opinii.

Może nam się już w niniejszych szkicach nie nadarzy po raz wtóry sposobność mówić o mozaikach, musimy więc sobie pozwolić, poświęcić słów kilka stolicy mozaik, miejscu zkąd się takowe na świat cały rozchodzą. Fabryka papieżka mozaik w Rzymie, nieraz już była opisywana, więc chętnie ją pomijam, tem bardziej, że niemam bynajmniej ochoty dawać moim czytelnikom lekcyi robienia mozaik, prawdopodobnie bowiem nauczyciel uczniów swoich powstydziliby się musiał. Moim zamiarem jest, przypomnieć czytelnikom *Ponte Vecchio* we Florencyi, ów oryginalny, wielce malowniczy most, gdzie wyłącznie fabrykanci mozaik założyli swoje panowanie.

Dziwny to most! wieki tam stoi, rozpięty na Arnio, porósł już mchem i poczerniał ze starości, a na swych barkach nosi codziennie setki pięknych kobiet z całego świata, które tam dobierają ozdoby z mozaiki, stósownie do koloru włosów, a może i ulubionej jakiej toalety. Po obydwu stronach na całej długości mostu, od dawien dawna złotnicy, fabrykanci mozaik popostawiali murowane domki, w których dzień cały pracują, wystawiają przechodniom na pokaz i na sprzedaż dzieła swej sztuki. Kilkadziesiąt sklepików z jednej i kilkadziesiąt z drugiej strony rywalizuje ze sobą, dobrocią wyrobów i pięknnością rysunku mozaik. Całe szeregi zagranicznej publiczności zatrzymują się przed sklepikami oglądając brosze, kolczyki, spinki, małe obrazki, aby niemi uszczęśliwić swych znajomych, krewnych od Stockholmu aż po Rio - Janeiro. Nie jeden narzeczony, chodzi i wraca, przypatrując się w czemby najbardziej do twarzy było jego przyszłej żonie, nie jeden kochanek radby, aby w ten kamień, co go ztąd wywiezie, wlać jakąś siłę magnetyczną, któraby jego ukochaną przywiązała do niego na wieki. Inny znów biedny małżonek co od czasu jak jest we Włoszech, musi ciągle kupować, tak jego pani zna się na pięknych rzeczach, radby jak najprędzej przejść z żoną na drugą stronę mostu, aby minąć terytorium na którym tyle się nagromadziło pokus, lecz ciekawa pani, zobaczyła coś bardzo pięknego, nadzwyczaj gustownego i pomimo że mę-

żulko oczy odwraca, ona mu każe zwrócić na mozaiki uwagę i wyciągnąć wychudły już pugilares.

Podczas gdy na dole na moście gwaro i ludno, na pierwszym piętrze nad jubilerskimi sklepami inny można widzieć obraz. Most i pierwsze piętro! powiecie — cóż to znaczy? — Tak jest: nad sklepami po jednej stronie mostu ciągnie się długi korytarz łączący dwie galerye: pałacu Uffici i pałacu Pitti, tak że tym korytarzem przejść można z jednej do drugiej galeryi, nie wiedząc o tem, że się przechodziło przez rzekę. Otóż w owym korytarzu, przez który sporym krokiem trzeba iść najmniej dziesięć minut, pozawieszane są ściany kartonami, rysunkami najznakomitszych ministrów, albo też gobelinami, o dziwnie pięknych barwach i dokładnym rysunku.

Podczas gdy więc na dole na moście, wszystko rusza się, żyje, potraça, krzyczy i pracuje, tutaj na górze poważny, artystyczny panuje spokój; gdzieniegdzie długowłosy malarz kopiuje szkice Michała Anioła, albo świeża elegancka lady, mżoli się nad wyrysowaniem takiej samej ręki, jaką Rafael jednym rzutem ołówka nakreślił. W kącie z głową o gobelin opartą drzemie tymczasem co kilkadziesiąt kroków służący pilnujący skarbów galeryi, a przebudzając się czasem ze snu, spogląda czempředzej na zegarek, rychło nadejdzie godzina, w której będzie mógł wypraszać z galeryi, natrętnych cudzoziemców.

VI.

Obowiązki powołują nas jednak do Pompei, porzućmy więc drzemającą służbę i świeże Angielki na *Ponte Vecchio* i wracajmy jak niepyszni, pomiędzy starożytne ruiny, bo tam jeszcze chwilę podumać, pochodzić nam przyjdzie.

Gdy się bliżej rozpatrzymy w domach prywatnych i publicznych gmachach Pompei, musimy zauważać, że miasto to w chwili, gdy było zasypanem, musiało być nowem i nosić cechę pewnej świeżości. Budynki tam powiększej części do siebie podobne, marmury jak gdyby dopiero co wyszły z pod dłóta zręcznego kamieniarza, malowidła świeże i jedynie tylko mury otaczające miasto i amfiteatr zdawałyby się świadczyć, że Pom-

pei nie było jakąś świeżo założoną kolonią, ale miastem oddawna wspominanem przez rzymskich historyków.

Posłuchajmy więc dziejów Pompei, a pozorna sprzeczność wnet się nam wyjaśni.

Przed rokiem 63 ery chrześcijańskiej, przed panowaniem Nerona, Pompei było starożytnem miastem, wesołem i bogatym, które nigdy nie widziało ognia na szczycie Wezuwiusza, a tem mniej gorącej lawy. W r. 63 był pierwszy wybuch Wezuwiusza za czasów historycznych, w szesnastcie lat później w r. 79 za panowania Tytusa, nastąpił drugi wybuch, po którym się miasto już nie podniosło, ale zasypane popiołem, spoczywało aż do naszych czasów. Gdyby miasto po pierwszym wybuchu nie było się odbudowało, ale gdyby popioły z taką siłą go były przysypały, jak po drugim wybuchu, to bylibyśmy mieli dzisiaj Pompei starożytne, Pompei takie, jakie najdawniejszych rzymskich sięgało czasów; obecnie jednak mamy przed sobą Pompei z czasów upadku rzymskiego cesarstwa, z czasów upadku rzymskiej sztuki, Pompei naprędce odbudowane, bez dawnych zabytków, bez dawnych wspomnień.

Zapytacie się jednak: jakże mieszkańce dawniejszego Pompei, przeszedłszy raz już w r. 63 groźny wybuch i straszne trzęsienie ziemi, mogli się na nowo osiedlać na tak niebezpiecznym miejscu i narażać się na nieochybną zgubę? — Zarzut ten łatwo nam im czynić przychodzi, skoro wiemy, że za naszej ery, więcej jak 45 naliczyć możemy wybuchów Wezuwiusza, po pierwszym jednak wybuchu, nie sądzono zapewne, aby przyroda tak często chciała sobie sprawić straszne igrzyska, więc z ufnością w lepszą przyszłość, wracano do rodzinnych ognisk. Podówczas myślano, że Wezuwiusz wybuchał po raz pierwszy w r. 63 i dzisiejsze dopiero badania udowodniły, że groźny wulkan drzemał tylko dwadzieścia lub piętnaście wieków, aby tem silniej zatrząść ziemią, przy swem przebudzeniu. Geologowie powiadają, że przed wieloma wiekami, w około dzisiejszego Śródziemnego morza, wielka się odbyła rewolucya; tam gdzie był ląd powstało morze, a wody ustępujące utworzyły ogromną pustynię: dzisiejszą Saharę. Rewolucya ta może była skutkiem wulkanicznych poruszeń ziemskiej skorupy i niejeden podówczas wybuchał już Wezuwiusz, nie jedna Etna siała w około siebie zniszczenie. — Tradycye narodów przechowały nam z tych czasów groźne wspo-

mnienia, a legenda o Tytanach, co kamieniami w niebo rzucal i o gromach spadających wskutek tego z krainy bogów, nie zdaje się mówić o czem innym, jak tylko o potężnej walce żywiołów miotanych siłą ognia, co wewnątrz ziemi goreje. Wiadomą jest rzeczą, że po każdym wybuchu wulkanu następuje zwykle straszna burza ulewna, nie mająca granic, tak że się zdaje, jakoby rzeki przemieniły swoje koryta i niewidzialną siłą, źródła ich były przeniesione w obłoki, aby ztamtąd mogły spadać na ziemię.

W r. 1872 byłem świadkiem takiej burzy po kwietniowym wybuchu i rzeczywiście widząc te błyskawice i słysząc te gromy, co były w Wezuwiusz, można było sobie przypomnieć starożytną tradycję, która bogom na Tytanach każe wywierać zemstę.

Spalone pola, po których się według starożytnych podań szło do piekieł, nie jednokrotnie dzisiaj spotkać można koło wulkanów, wody Styxu, których pić nie było można, znajdujemy jako źródło z wielką ilością kwasu węglanego, *Lago Fusaro*, około którego roślinność wymarła, przypomina nam *Acheron*, nad którego brzegami błądziły cienie umarłych.

W tradycji więc ludów italskich zachowała się pamięć wulkanicznych wybuchów, kiedy jednak po raz ostatni w czasach starożytnych rzucał Wezuwiusz skałami ku niebu, trudnoby nam było na to odpowiedzieć, prócz słów: że to musiało być bardzo i bardzo dawno, jak powiedzieliśmy, może przed piętnastoma, a może i przed dwudziestoma wiekami.

Za czasów poprzedzających wybuch z r. 63 ery chrześcijańskiej, zaginęła nawet tradycja, że góra Wezuwiusz jest wulkanem. Po sam szczyt góry sięgały najpiękniejsze winnice, żyzne pola rozciągały się u jej stóp, a bogate miasteczka, łączyły nieprzerwanym łańcuchem Neapol i Pompei.

Zatoka neapolitańska tyle miała podówczas uroków, że możni rzymscy panowie przyjeżdżali tam lato przepędzać, stawiali sobie wille nad morzem i ani myśleli, że na podminowanej stawali ziemi.

A przecież gdyby byli mieli dzisiejszą geologiczną wiedzę, toby nie byli tak bardzo dowierzali tej uroczej, ale zwodniczej zatoce. Z dzisiejszych badań się okazuje, że Pompei stoi na odwiecznej lawie i że cały pokład ziemi rozciągający się tam aż ku morzu czystą jest lawą. Co więcej nawet, jeden francuski uczony radzi, aby w tej lawie kuć głębokie studnie, a kto wie

czy się tam nie natrafi, na jakie miasto, które za czasów Romulusa i Remusa, prawdopodobnie już nie istniało. Przypuszczenia takie zyskują na prawdopodobieństwie, że w najnowszych czasach na innem miejscu w Śródziemnym morzu, znaleziono ślady murów i mieszkań ludzkich sięgających zapewne epoki kamiennej.

Gdy suezka kompania budowała *Port-Saïd*, potrzeba jej było doskonałego wapna i w tym celu przysłała statki na wyspę *Therazję*, gdzie się wyborny znajdował materyał. Wyspa ta jest wulkanicznej formacyi, tak dalece, że na niej ani jednego nie ma źródła i wodę tam w skórzanych worach przywożą z daleka. Robotnicy pracujący około wydobywania wapna, uważali, że tylko do pewnej głębokości mogą kopać, dopóki nie napotkają na twarde kamień leżący w dziwnie regularnych pokładach. Pokłady te zbadano w r. 1867 po wybuchu *Santorina*, który także długo zdawał się spokojnym. W celu zbadania okoliczności towarzyszących temu wybuchowi, udało się na *Therazję* kilka uczonych i ci przy tej sposobności przekonali się, że owe mury, o których wspominali robotnicy z *Port-Saïd*, są rzeczywiście ludzką robioną ręką, co więcej: odkopano całe domy, do najdawniejszej ludzkiej należącej epoki.

Otóż jeżeli pod grozą wulkanicznego wybuchu *Santorina*, miasta istniały za najdawniejszych czasów, dla czegożby nie miały istnieć u stóp *Wezuwiusza*? — Tak przynajmniej rozumują uczeni, może się kiedyś przekonamy,

Przeciw memu w tych szkicach przyjętemu zwyczajowi, może trochę za długo zajmuję się archeologią i geologią i w zaudadno uczone zaczynam się wdawać wywody, przedmiot mój jednak tak był związany z poważnemi studyami, że niepodobna było w tej mierze inaczej postąpić, proszę więc o chwilkę cierpliwości, a znów porzucimy ciasne mury *Pompei* i odetchniemy w wielkim przestworze szczęśliwej *Italii*.

Do najnowszych czasów było mniemanie, że *Pompei* zostało lawą zasypane, a nawet, o ile sobie przypominam p. *Kremer* w swoich podróżach do *Włoch*, za tem poszedł zdaniem. A przecież fałszywszego zdania być nie mogło i kto tylko nie jest *par excellence* teoretykiem i ma jakie takie pojęcie o własnościach żywiołów, mógł na pierwszy rzut oka przekonać się, że w *Pompei* nie ma ani śladu lawy. Gorąca lawa jest tak

piekielnym płynem, że na drodze którą sobie obrała, nic się nie ostoi i wszystko podlega zniweczeniu. Wyobraźmy sobie rzekę roztopionego żelaza, spływającą z wielkiej góry, a możemy przypuścić: czy tej sile zniszczenia, jaką ona będzie posiadać, oprze się drzewo lub mury, a czy zresztą, choćby kamienie pozostały na swem dawnem miejscu, czy te kamienie zdołają zatrzymać cement, którym były powleczone, albo co więcej: kolory farb, co na nich istniały?

Trzeba było widzieć strumień płynącej lawy w r. 1872 na *St. Sebastiano* koło Neapolu, aby mieć pojęcie, jak wszystko ustępuje przed tym najstraszniejszym żywiołem, łączącym płynność rzeki i trawiące zalety ognia. Grube drzewa w jednej chwili wywrócone, jasnym buchały płomieniem, piętrowe kamienice przewracały się jak domki z kart za dmuchnięciem psotnego chłopcica, a szkło i żelazo topiło się, aby powiększać objętość lawy.

W takich więc warunkach, gdyby Pompei lawą była zalane, byłoby uległo najzupełniejszemu zniszczeniu, a choćby szczęśliwym zrządzeniem, mocniejsze domy były ocalały, toby odkopywanie ich było prawie niepodobnem, zastygła lawa bowiem, jest twardą jak granit i byłaby się w stanie płynnym, tak złączyła z murami, takby zresztą była pozapełniała, komnaty i piewnice domów, że bez zniszczenia wszystkiego, trudnoby ją było odłączyć od cegły lub kamienia, a tem mniej, od wyrobów delikatnych z brązu, marmuru lub szkła. Cóż mówić dopiero o szkieletach ciał ludzkich, które w tej gorącej kąpieli, byłyby zwęglaly i spopielały! — Zresztą nie trzeba było tych wszystkich dowodów, ale tylko zapytać się robotników pracujących około odgrzebywania ruin, albo popatrzeć się na ich pracę, aby zobaczyć, że odgrzebują popiół zmieszany z drobnymi kawałkami lekkich porowatych kamyczków, pomeksów, które pospolicie we Włoszech *lapilli* nazywają. Popiół spadający na Pompei, niesiony chwilę w powietrzu, nie był już nawet tak dalece gorącym, aby niszczył wszystkie organiczne ciała, a że był suchy i cienki, więc nadzwyczaj odpowiednim stał się czynnikiem, do zakonserwowania nam jak największej ilości zabytków starożytnych i przechowania ich w najlepszym stanie do dzisiejszych czasów.

Lekkością popiołu też tłumaczy się, że Pompei tak łatwo da się obecnie odgrzebywać i że z grubej warstwy tego mate-

ryału spoczywającej na starożytnem mieście, w ciągu wieków nie utworzyła się twarda ziemia, któraby z trudnością tylko odsunąć się dała.

Jak z jednej strony lekkość popiołu ułatwia nam odgrzebywanie Pompei, tak z drugiej strony, stała się ona przyczyną, że bardzo mało znajdujemy tam przedmiotów cennych, sprzętów, kosztowności i t. d.; gdy bowiem po wybuchu w r. 76 wulkan odpoczął i pierwszy przestraszył okolicznych mieszkańców, gdy nadto dawni pompejańscy obywatele, co się ucieczką od śmierci wyratowali, zaczęli myśleć o przyszłości i swoim mieście, co się pod nawałem skryło popiołów, natenczas wielu z nich zaczęło rozkopywać lekką powierzchnię i dostawać się do swoich domów, chcąc ztamtąd uratować wszystko, co się jeszcze uratować dało. Z tego też powodu, widzimy w domach pompejańskich wiele ścian przedziurawionych z jednego pokoju do drugiego, gdy bowiem ludzie szukający ukrytych skarbów, dostali się do jednej komnaty, a z tej nie było drzwi do komnat przyległych, natenczas robili dziurę w murze i w ten sposób łupili co złupić było można.

Wskutek tego też jak powiedziałem, Pompei tak mało posiada sprzętów i rzeczy wartościowych, nie w porównaniu mniej, aniżeli Herkulanum, tak dalece, że wszystkie cenniejsze zabytki, nagromadzone w neapolitańskim muzeum, pochodzą z Herkulanum, a nie z Pompei.

Zapytacie się jednak dlaczegoż w Herkulanum lepiej się to wszystko zachowało i czyżby Herkulanum w innych było warunkach? — Tak jest — rzeczywiście, najnowsze badania okazały, że Herkulanum było zamulone, gdy bowiem po wybuchu, wielkie spadły deszcze, gdy jak stare powiada podanie, bogowie na Tytanów piorunami rzucać zaczęli, całe rzeki wody płynęły ku morzu, zabierając ze sobą masy popiołu, które pozostały z wybuchu. Wskutek tego, powstały takie masy namułu, że miasteczko położone nad morzem, w tem miejscu, gdzie owa rzeka wody i mułu do morza spływała zupełnie zostało zasypane. Domy, kamienice, stanowiły właśnie tamę, o którą muł mógł się opierać i z szybkością wzrastać w rodzaj małego pagórka. Gdy więc żywioły się uciszyły, na miejscu Herkulanum zobaczono wielkie namulisko, a że takie namulisko, stanowiło zbitą masę, więc daleko tam trudniej było kopać, aniżeli w lek-

kim i suchym popiele. Zresztą dawniejsi mieszkańcy Herkulanum, wydiedziczeni przez okrutny Wezuwiusz, nie przypuszczali zapewne, że w tej toni błota i mułu, jakiegokolwiek sprzęty mogły się jako tako zachować i nie uleść zupełnemu zniszczeniu. Temu przypuszczeniu zawdzięczamy dzisiaj nadzwyczaj wiele cennych zabytków, w które obfituje Herkulanum. Na zasypanem miasteczku, istnieje dzisiaj inne miasto *Rezina* i ta okoliczność jest przyczyną, że około odkopywania Herkulanum tak powoli postępują, gdyby bowiem rząd chciał się energicznie wziąć do dzieła i całe miasteczko tak jak Pompei starać się wydobyć na powierzchnię ziemi, to musiałby wywłaszczać mieszkańców dzisiejszej Reziny i za drogie pieniądze kupować od nich grunta i kamienice. — W Herkulanum więc roboty idą bardzo pomalą, a zbita ziemia tworząca obecnie pewien rodzaj miękkiego piaskowca, dającego się kruszyć w palcach, ale dość silnego, aby w nim kopać górnicze ganki, daleko większe, aniżeli w Pompei, stawia kopiającym zapory. W tych gankach więc chodzi się z pochodniami jak w katakumbach i tutaj już nie ma się tego poglądu na całość miasta, jaką daje nieoszacowane Pompei.

Nowsi uczeni radzą rządowi włoskiemu, aby ograniczył roboty w Pompei, które prawdopodobnie już nauce nie wiele przyniosą pożytku, tem bardziej, że trzy czwarte części miasta są odkopane, a natomiast, aby się z całą energią rzucił na odkopywanie Herkulanum, zkażdy nauka nader obfite wyniosła plony. Gdyby дума włoska na to pozwoliła i gdyby otworzono w całym świecie na ten cel subskrypcyę, toby obce rządy i wielu prywatnych ludzi, z pewnością spieszyło ze znacznymi kapitałami, aby tylko co rychlej wydobyć ukryte skarby, które w ciągu wieków mogą uleść niepowetowanemu zniszczeniu.

V.

Pomiędzy ruinami.

I.

Dziwna rzecz, że dzisiaj, po kilkunastu wiekach, jak rzymskie runęło państwo, po dwu tysiącach blisko lat, od upadku wielkiego narodu, duch rzymskiej kultury tak potężnie panuje, w swem odwiecznem mieście, że jeszcze ciągle on tam jest królem, a jego dzieła jak olbrzymy sterczą, nad wszystkim, co po nim pozostało.

Gdyby nie Rafael i Michał Anioł, gdyby nie epoka odrodzenia, dziesiętnaście wieków musiałoby w Rzymie rumienić się przed starożytnością, musiałoby uznać swą niższość i upokorzyć się przed jej pomnikami. Ci dwaj mistrze, ocalili honor nowożytnej ery!

Po za dziełami „odrodzenia“ nie ma w Rzymie nic, coby przemawiało do duszy artysty, prócz wielkich klasycznych ruin, ale tych ruin jest tak wiele, takim cię one otoczą urokiem, że ci starczą za wszystko, co widziałeś, co pragniesz, co sobie wy-

marzyłeś w młodocianych snach. Gdziekolwiek cię tam uderzy piękność, potęga i klasyczny spokój, zapukaj a starożytność odpowie ci z omszałych marmurów, że dzieło do niej należy!

Jak chaty rybackie wbudowały się w otwory skał nadbrzeżnych, jak jaskółki przyczepiły swe gniazda do belek i gzymsów, tak nowożytny Rzym ukrył się w murach rzeczypospolitej i cesarstwa, od nich pożyczył sobie świetności, ich chlubą stoi do dzisiaj.

Najpiękniejsze świątynie, powstały w murach, pomiędzy którymi dawniej panowali Jowisze i Marsy, największe gmachy wzniosły się z okrucich starożytnej pracy, najwspanialsze pomniki są te, co je Tyber przymulił, i tym sposobem zachował przed wrogą ręką średnich wieków.

Ośmnaście wieków rzecz można, niszczone z wiedzą i bezwiednie, w ten lub ów sposób, ślady pogaństwa w Rzymie, a przecież jeżeli teraz wchodzimy do stolicy chrześcijańskiego świata, to jeszcze pomiędzy pogańskimi ruinami, miesiące błędzić możemy i najwspanialsze wśród nich zbierać wrażenia.

Nie dziwcie się więc, że na tytule rozdziału, w którym mam opisywać wspomnienia, napisałem słowa: „pomiędzy ruinami,“ chociaż bowiem wierny mej w tych szkicach przyjętej zasadzie, terażniejszość z przeszłością będę się starał pogodzić, przecież myślom, co powstały w skutek podziwienia Rzymian przeszłości, muszę zostawić pierwszeństwo.

Już sam wjazd do Rzymu, łączy nas ze starożytnością, i zaledwie pierwszy krok na klasycznej zrobiliśmy ziemi, już potęgą rzymskiego cesarstwa stoi nam przed oczyma, znajdujemy się bowiem w termach Dyoklecjana, a świst lokomotywy, krzyki konduktorów, posługaczy i omnibusów, odbijają się o zczerniałe mury w których świat rzymski wykwintnej używał rozrywki.

Dotychczasowy dworzec kolei żelaznej w Rzymie, służył chyba na to, aby na wstępie powiedzieć podróżnemu, że z terażniejszości tutaj nic szukać nie powinien, ten dworzec bowiem był tak nędzny, że na naszej czerniowieckiej kolei wobec niego znakomite widzimy gmachy. Nowy dworzec był już w r. 1872 na ukończeniu, a o ile sądzić było można z zarysów, nie będzie on niegodnym miejsca na którym się znajduje.

Kto nie chce płacić sum wygórowanych, zajeżdża w Rzymie oczywiście do hotelu Minerwy, idąc więc utartym już śladem

znalazłem się także po długiej omnibusowej peregrynacji, która mi zupełnie zamąciła wyobrażenia o oryentowaniu się we włoskiej stolicy, przed hotelem Minerwy, a pierwsze moje spojrzenie oparło się o starożytny obelisk postawiony na barkach wielkiego słonia znajdujący się na placu, do którego hotel przytyka.

Wieczór zapadł i zaledwie zdołałem rozgościć się w moim mieszkaniu, a już głośny dzwonek, obudził ogólne, przyjemne poruszenie w całym hotelu, zwoływał bowiem do *table d'hôte*.

Przy długich w podkowę ustawionych stołach, ze dwieście znalazło się osób, a nigdy może najróżnorodniejsze narodowości świata, w tak pokojowym razem się nie znajdują usposobieniu, jak w sali obiadowej włoskiego hotelu. Improwizowany kongres międzynarodowy, wcale przyjemne sprawiał wrażenie: zanim jeszcze posiadano do stołu, z tłumu nad wszystkie narodowości wznosili się Anglicy, wykarmieni na dobrych rostbeefach i mocnym porterze. Twarze ich rumiane, pogodne i spokojne, zachęcają do życia, świadcząc, że przecież są ludzie, którym się zdaje być dobrze na świecie, którzy bez troski patrzą w przyszłość, nie obarczają swej biednej głowy, tysiącami zmartwieńiami, na które są narażeni ludzie wrażliwi. W wielkim koncercie europejskich ludów, Anglik zawsze mi się zdaje być przeznaczonym na prezydenta, na człowieka, co najbezsronniej i najspokojniej patrzy na świat i daleko może mniej ma egoizmu, aniżeli Niemiec wypchany filozoficznymi abstrakcjami, albo Francuz wiecznie tylko sobą zajęty, jak niskiego rzędu kokietka, przeglądająca się w każdym zwierciadle, choćby ich było pięćdziesiąt w salonie.

Gromadka takich żywo giestykułujących i prawiących grzeczności swoim damom Francuzów, znalazła się także z jednej strony stołu, była najgłośniejszą w całej sali, i krytykowała bez litości wszystko co się nawinęło, od tartego parmezanu co leżał na stole, aż do statui zranionego Galla na kapitolu. Dekorowany generał, ubrany po cywilnemu, zdaje się jeden z hohatyrów upadłego cesarstwa, chciał przekonać wszystkich otaczających go Włochów, o dobroci jakiegoś nieznanego włoskiego wina, i jego wyższości nad winem Asti lub Veletri. Włosi przez grzeczność dla cudzoziemca, z cierpliwością słuchali stanowczych wywodów francuskiego generała, ale spojrzenia cichaczem na siebie rzucane, dowodziły, że p. generał wdał się nie w swoje rzeczy, i możeby

lepiej mógł oceniać *Bordeaux* lub wino burgundzkie aniżeli szumiące wino Italii.

Niemieckich hofratów nie brakło także, różnorodnych emerytów zacząwszy od Berlina i Monachium, a skończywszy na Wiedniu i Gracu, którym widocznie późny obiad nie przypadł do smaku, i którzy tęschnili już za domowym stołem, co z uderzeniem drugiej po południu się nakrywa. Niemcy w ogóle nie lubią *table-d'hôtów*, a nieboszyk Safir jeszcze, jeden ze swoich najpopularniejszych wykładów miał przeciw temu zwyczajowi obiadowania, mówiąc: że sławny osieł *Buridana*, co padł z głodu pomiędzy dwoma wiązkami siana, musiał jeść przy *table d'hôte*. Nad półmiskiem pieczystego, chciał wówczas Safir nmieścić smutny napis: że tutaj spoczywają resztki śmiertelnego kapłona, a co do wina przestrzegał że:

Zwischen Lipp' and Bechers Saum
Liegt noch ein grosser Raum.

To też idąc za słowem swoich proroków, Niemcy, a osobiście Wiedeńczycy nie mogą przemódz na sobie, aby zasiadać do *table d'hôtów*, i zawsze im się zdaje, że zachodnie narody tylko manną żyją, gdy tymczasem do francuskich i włoskich *table d'hôtów*, prelekcyja p. Safira, bynajmniejby się zastósować nie dała.

Prawdziwa ozdoba włoskich *table d'hôtów* są młode małżeństwa, których się nigdzie na świecie tyle co tam nie spotka. Obok pogodnych twarzy angielskich, są tu najjaśniejsze punkta na tym składanym ze wszystkich stref horyzoncie, a gdyby młodzi ludzie często przy włoskich siadali stołach, toby jednego nie było starego kawalera. Tam bowiem widzi się małżeństwa które w tej chwili, o niczem nie mają do myślenia jak tylko o sobie, jak tylko o sprawieniu sobie przyjemności, i czerpaniu z pełnej czary życia.

W Wenecyi są hotele, które się utrzymują prawie tylko z młodych małżeństw, co jak wędrownie ptaki, w pewnych porach do Włoch przylatują i naturalnie bardzo dobrze płacą.

Dowódzca lokai, marszałek stołu, w hotelu Minerwy, wskazał i mnie jakieś miejsce, zapisawszy poprzednio dokładnie numer mego pokoju. Po prawej ręce zastałem już siedzącą damę

wcale przyjemnej powierzchowności z małym chłopczykiem, po lewej, miejsce było założone, i widocznie oczekiwało na gościa co od dawniejszego czasu mieszka w hotelu. Dzieci najlepiej ułatwiają przypadkowe poznanie, czekałem więc tylko chwili, rychło mnie mój mały sąsiad łokciem uderzy, albo wodą obleje, aby usłyszeć z ust młodej mamy przeproszenie, mogące już być zawiązkiem dobrej rozmowy. W tej też myśli nalałem wody sąsiadowi, gdy sobie z karafką rady dać nie mógł, ale niestety wkrótce do smutnego doszedłem przekonania, że zapoznanie się jest nie możebnem, albowiem na moich kilka słów po francusku powiedzianych odpowiedziała mi sąsiadka w imieniu synka, z bardzo przyjemnym wprawdzie uśmiechem, ale po hiszpańsku, coś, czego ja nie a nie nie rozumiałem i w najsmutniejszej byłem kolizyi. Zaczynałem trochę po włosku, ale i włoski język był obcym prawowiernej hiszpance. Znajomość więc rozpoczęta sympatycznymi ukłonami, skończyła się wkrótce na poruszeniach ramion, a w duszy zazdrościłem kilku znajomym, co służyli w szeregach cesarza Maksymiliana, że umieją po hiszpańsku, i że na mojem wówczas miejscu, byłiby się daleko lepiej znaleźli.

Razem z zupą na stół, przyszedł nieznamy dotychczas sąsiad na lewo. Na Hiszpana nie wprawdzie nie wyglądał, bo był wysokim, dobrze wyglądającym blondynem, o krótko strzyżonych włosach i niebieskiem oku, ale Szwedem albo Duńczykiem mógł być bardzo łatwo, więc obawiałem się z drugiej strony znów wywoływać znajomość którąby się mogła tak niefortunnie skończyć jak z czarnooką Hiszpanką. Tym razem jednak mój sąsiad był odemnie ciekawszym i zaczął mi się łamaną francuszczyzną pytać, jak długo jestem w Rzymie, i jak mam program zwiedzania osobliwości? Po kilku jednak zdaniach przekonałem się, że sąsiad jest Niemcem, wskutek czego z wielką jego uciechą rozmowa przemieniła się na niemiecką. Znajomość ta była przyjemniejszą, że mój Niemiec, mieszkał stale w Wiedniu, był nawet za młodych czasów kilkakrotnie we Lwowie i len kupować, na rachunek jakichś czeskich, czy morawskich przedsiębiorstw. Zrobiwszy jednak majątek a będąc nie młodym już kawalerem zaczął p. L. wojażować dla przyjemności, najeździwszy się za dawniejszych czasów z potrzeby. Nie było kraju w Europie, gdzieby nie był i o których nader trafnych, na własnym doświadczeniu opartych nie opowiadał spostrzeżeń.

W dzisiejszych czasach coraz częściej się spotyka z typem starego kawalera, *per excellence* podróżnika, co nie mając żadnych obowiązków, pół swego życia przepędza na jeździe po świecie, w celu zbierania nowych wrażeń, których w domu już oddawna znaleźć nie może. W taką podróżomanję wpadają zwyczajnie ludzie szlachetniejszych popędów, i większego wykształcenia, ludzie którzy przypadkowemi wyparci tylko okolicznościami z kolei swych zajęć nie oddali się na bezpośrednie usługi swemu społeczeństwu.

Zamiast więc siedzieć w klubie i całe dni grać w wista lub bezika, ludzie tego rodzaju pędzą pospiesznemi pociągami od stolicy do stolicy, ciesząc się jaką taką zmianą w jednostajnym życiu, którego nieprzerywa ani kaprys jejmości, ani złe postępy syna, wielkie dawniej rokującego nadzieje.

Mój Niemiec był typem takiego starego kawalera, co już jedynej przyjemności szukał tylko w podróżach i dobrej książce, a pomimo że nie dawno lnem handlował, przecież bardzo się znał na sztuce, i znakomite artystyczne miał wykształcenie.

Miałem też w nim towarzysza w wielu po Rzymie wycieczkach.

Wieczór już był gdym porzucił obiadowe towarzystwo, więc pierwsze odwiedziny Rzymowi trzeba było oddać na Corso, gdzie przy gazowym oświetleniu, najwięcej życia i najpiękniej się to życie przedstawia.

Oświecone Corso należy niezaprzecznie do najpiękniejszych ulic w europejskich stolicach. Na ćwierć milowej a może i dłuższej przestrzeni, w prostej linii ciągnie się ulica, do której przytykają pyszne pałace, bogate sklepy, ozdobione rzesistemi płomieniami gazu, mnóstwem towarów i wyrobów jubilerskich, dochodzących w Rzymie do wysokiej doskonałości. Wieczorem Corso zamienia się w salon, powozów bowiem zwyczajnie bardzo już mało na ulicy, omnibusy nie krążą, a natomiast strojna i gwarna publiczność, nie mogąc się pomieścić na wązkich trotuarach, zajmuje i środek ulicy. Jest to godzina poobiednia, dzienne prace pokończone, więc zniknął z widoku nieznośny pośpiech, i pewna swoboda rozlała się na twarzach publiczności. Na placu *Colonna* wojskowa muzyka przygrywa, a cały plac wygląda jak sala koncertowa, z przyległych bowiem kawiarni powynoszono krzesła, a garsony zwijają się, roznosząc lody i le-

moniadę. — Ogłada towarzyska w wysokim stopniu wpojona jest nawet w najniższe klasy włoskiego ludu, skoro bez zbytniego czuwania policyi, nikt tutaj nie zamąci ogólnej zabawy i nigdzie się oko nie spotka z czemś, coby raziło dobre wychowanie. Niechby w podobny sposób zechciano przemienić wieczorem wie-deński „Graben,“ albo berlińskie „pod lipami“ w demokratyczny salon, bez opłacania wstępu i podwójnej straży, a z pewnością mało ktoby wyszedł z tamtąd z łańcuszkiem u zegarka, a kobietom przyzwoitego towarzystwa, nie możliwaby tam była zabawa.

Życie na Corso w późną się przeciąga noc i stanowi jedną z najprzyjemniejszych chwil u prawdziwego Rzymianina. Chociaż nie powiem, żeby ich to życie i cudzoziemca nęcić nie miało, toteż jakby w neapolitańskim albo w genueńskim porcie, najróżnorodniejsze usłyszeć tam można języki.

Z powrotem do hotelu musiałem przechodzić, chcąc sobie skrócić drogę, koło *Collegium romanum*, ogromnego ciemnego gmachu, będącego do ostatnich czasów, najznakomitszą akademią Jezuitów, punktem środkowym, z kąd się na cały świat rozchodzili uczniowie Lojoli.

Ulica była pusta, zczerniałe mury Collegium, nadawały jej smętnego pozoru. Szedłem powoli, rozmyślając nad wrażeniami całego dnia, gdy nagle zobaczyłem przed sobą kilkanaście z bocznej ulicy wychodzących postaci, szybkim zbliżających się krokiem. Boso, w długich pąsowych sukniach, ze spiczastymi kapturami na głowie, tak że twarzy widać nie było, a tylko na oczu, dwa były zostawione otwory; z powrozem około bioder, postępowali ci ludzie niosąc na przemian, coś nakształt lektyki czarnem przykrytej sukniem. Mimowoli zatrzymałem się uderzony dziwaczem zjawiskiem, a obraz wieków średnich stanął mi żywo przed oczyma, i zdawało mi się, że widzę przed sobą postacie *Giotta*, *Ghirlandaja* i *Sandra Botticellego*, które jeszcze świeżo miałem w pamięci. Jak upiory, jak duchy w tych murach zakłete, przesuwały się te czerwone postacie, zamiast oczu głębokie tylko mające otwory, a snadź spieszo im było, na jakąś ucztę grobową, którą miały odprawiać o północy, na ruinach starego Rzymu, bo co tchu starały się przebiez ulice.

Im się spieszyło, aby krainie duchów jednego przysporzyć

mieszkańca, a trupa co nieśli na barkach, czemp prędzej ziemi oddać na własność.

To nowe spotkanie, przypomniało mi podobny orszak, który za czasów studenckich widziałem na Kaźmierzu w Krakowie. Wiatr pędził chmurami po niebie, zasłaniając co chwila niepewne światło księżyca; obszarpane albo w gruzach stojące domy, kryły się w cieniach, jakgdyby były szczęśliwe, że ich nikt nie widzi. a kilku żydów z rozpuszczonemi na wiatr brodami, w śmiertelnych koszulach, przesuwało się cichaczem załkami, zabobonnie niosąc ofiarę śmierci.

Zwyczaj wynoszenia trupów cichaczem, a często i w nocy, jest bardzo rozpowszechniony we Włoszech, i wiele w tym celu istnieje pobożnych towarzystw, które w ten sposób swym członkom sprawiają ostatnią posługę. Dziwaczne jednak kostiumy tych towarzystw, ich pąsowe, niebieskie, zielone, białe lub czarne habity i kapuce twarz zupełnie zakrywające, oryginalny przedstawiają widok. Znakomite nieraz osoby, należące do towarzystw dobroczynności, kryją się pod sukienną kapucą, i stoją przed kościołami z puszką, zbierając dla ubogich jałmużnę.

Wspomnienia średnich wieków, odprowadziły mnie do snu, pamiątki starożytności powitały mnie zaś nazajutrz, skoro tylko wyszedłem na plac przed hotelem. W pobliżu Minerwy stoi jeden z najpoważniejszych, a zarazem najlepiej zachowanych gmachów, jakie nam pozostały po Rzymianach, a mianowicie słynny Panteon Agrippy, który już jako dzieło architektury prawdziwe musi wzbudzać podziwienie. Podanie powiada, że gdy prefektowi rzymskiego państwa, *Meneniusowi Agrippie* powierzył senat dowództwo armii mającej toczyć bój z Persami, objawiła mu się we śnie matka bogów *Cybela*, i powiedziała mu: że gdy jej wybuduje świątynię, zniszczy nieprzyjaciół. — Agrippa ślubował wystawić wspaniałą świątynię i pobił Persów, a my z łaski *Cybelli* i *Agrippy* mamy tak znakomity pomnik starożytnego budownictwa.

Ogromna sklepiona rotunda, z wielkim na środku sklepienia otworem, oto kształt Panteonu. U głównego wejścia portyk oparty na szesnastu korynckich słupach wysokich na 36 stóp, oto cała téj rotundy ozdoba. Te słupy wszakże, te skamieniałe olbrzymy, co stojąc przed świątynią matki bogów i ca-

tego jęj pokolenia, strzegły jęj dotąd, dopókiąd nie skamieniały, na widok upadku rzymskiego państwa, na widok krzyża, który śmiało na jego gruzach się rozpościerał.

Jest coś niewymownie poważnego w poczerniałych murach Panteonu, a człowiek czuje się niskim i niedoświadczonym, wobec tego starca co pamięta rzymskich cesarzy, pod którego okiem, rozwijała się cała potęga papieżkiego państwa, który spoglądał na czyny Grzegorza VII, żelazną ręką fundującego wszechświatową władzę pontyfikatu, i na wielki charakter Juliana II, wznoszącego świątynię nad świątyniami — kościół św. Piotra. Na to wszystko spoglądał Panteon jako doświadczony starzec, co nie jedną już widział skruszoną potęgę, nie jedną ideę złamaną, powtarzając słowa Salomona: *vanitas vanitatum et omnia vanitas!* —

Dziwnem losów zrządzeniem, utrzymywał się Panteon nie zniszczony w owych czasach, kiedy zwyciężkie chrześcijaństwo, chciało zatracić nawet pamięć pogańskiej starożytności. Panteon stał nietknięty, kolczalne drzwi brązowe zamykały go przed widokiem pospolitej tłuszczy. — Lud tylko rzymski powtarzał, że we wnętrzu tej świątyni zamknęły się wszystkie złe duchy pogańskie, których chrześcijaństwo jeszcze zniweczyć nie zdołało, i że tam jak w obronnej twierdzy, bronią ostatniej piędzi ziemi, nędznych okrucich swego panowania. — Papież więc Bonifacy IV, z początkiem siódmego wieku, postanowił duchom starożytności i to ostatnie odebrać schronienie, a idąc za zaprowadzonym w katolickim kościele zwyczajem, rozkazał oddać starożytną świątynię w posiadanie takim świętym chrześcijańskim, którzyby odpowiadali dawnym tej świątyni właścicielom; a więc zamiast posągu Cybeli, zawieszono w Panteonie obraz Matki - Boskiej, a zamiast całego pokolenia pogańskich bogów, wprowadzono tam nazwiska wszystkich katolickich świętych. Świątynia wszystkich bogów, stała się świątynią wszystkich świętych, a lud rzymski utrzymywał, że gdy pierwszy raz na dniu 13 maja 604. roku słowo katolickiego kapłana, odbiło się o zgrzybiałe mury, ducby starożytnych bogów z przekleństwem uciekały przez otwór w sklepieniu, aby znaleźć sobie gdzieindziej miejsce w wszechświecie, skoro je ztąd niegościnna wyprosiła ręka zdobywcy.

Odtąd zwał się Panteon „*Sta. Maria ad Murtyres*,“ a idea która przewodniczyła jego założeniu w starożytności, stała

się początkiem jednego z najpoetyczniejszych świąt chrześcijańskich; dnia wszystkich świętych i dnia zadusznego, Z rzymskiego Panteonu rozszedł się na całe chrześcijaństwo zwyczaj obchodzenia pamięci wszystkich świętych, i wpoił się głęboko w religijne pojęcia, albowiem był połączony z pamięcią osób drogich, za których się modły składa na cmentarzu.

Zanim to święto jednak przybrało dzisiejsze poetyczne szaty, zanim odziało się w wieńce z nieśmiertelników, przeszło ono przez wszystkie stadya średniowiecznego barbarzyństwa. Dość jeszcze dzisiaj przejść się w dzień zaduszny po podziemnych kaplicach niektórych rzymskich kościołów i przypatrzeć się tak zwanym „*Reppresentazioni*,” aby ze zgrozą odwrócić oczy od dzieł skoszlawionej wyobraźni rzymskiego ludu.

Jest kaplica umarłych „*alla Morte*“ przy moście *Sirto*, a pod nią dziwaczne miejsce. Jest to niby komnata, mająca przypominać człowiekowi, że prochem jest i w proch się obróci, ale chcąc myśl tę wywoływać w nim w straszny, a zarazem oryginalny sposób. Jakby mozaiką, cała kaplica wyłożona jest ludzkimi kośćmi; gwiazdy, arabeski, gierlandy po ścianach, wszystko to z resztek szkieletów; co więcej amatorstwo w tym względzie szło tak daleko, że świece się palą w lichtarzach z piszczeli, a pajak u sklepienia wiszący, zgrabnie z ludzkich złożony jest resztek. Słusznie ktoś powiedział, że patrząc się na to zбочzenie fantazyi, na ten kaprys religijny, mimowoli na myśl przychodzi, że tę dziwną mozaikę, składał jakiś mnich asceta, który w swej celi dostał obłąkania, i w chwilach napadu szaleństwa, z kościotrupów misterną układał mozaikę.

Kilka podobnych kaplic w Rzymie się znajduje, a początek ich odnieść należy do owych czasów w dziewiątym i dziesiątym wieku, kiedy ludzie formalnie się bawili szczątkami umarłych, a handel relikwiami należał do najznakomitszych zatrudnień mieszkańców Rzymu. Wówczas na ołtarzu ludzkości stał nagi kościotrup zamiast słów miłości, zimne swe do świata wyciągając ręce; z całej kuli ziemskiej zbiegali się ludzie, do Rzymu, aby ztamtąd wynieść kawałek kości ludzkiej, która im była sprzedaną za drogie pieniądze, jako resztką ciała jakiegoś świętego lub męczennika. Królowie prowadzili wojny, o niepewnej wartości relikwie, palec mniemanego świętego, stawał się powodem zazdrości całych narodów. Stróże katakomb i kościo-

łów w Rzymie, czuwali cały nocy, aby odpędzać handlarzy relikwii, co jak hyeny zakradali się do grobów, i rozwłóczyli ztamtąd szczątki umarłych po całym świecie. Gdyby Bismark był we Włoszech w dziewiątym lub dziesiątym wieku, toby był nałożył na wieczne miasto, kontrybucyę wypłacalną w ludzkich kościach, a myśl ta wówczas nie byłaby była dziwaczną. Książęta longobardzcy, jak po złoto do Kaliforni, udawali się do Rzymu po relikwie, jeden książę z tego rodu (Astolf) korzystał z obleżenia Rzymu, ażeby z tamtąd wywieść do Lombardyi, kilkanaście wozów ludzkich kości — jako najznakomitszą wojenną zdobycz.

Odwróćmy jednak oczy, od tych zbrodni ludzkiego umysłu, wyjdźmy z ponurych kaplic, na gwarne ulice Rzymu, rozciągające się po nad Tybrem w tysiącznych zakrętach. Fizyognomia tych wązkich uliczek oryginalne, nie powiem, żeby zbyt piękne, nosi na sobie piętno, zaledwie bowiem zejdziesz z głównej ulicy, zaledwie porzucisz *Corso* albo *Ripettę*, a już widzisz przed sobą poprzeciągane od kamienicy do kamienicy sznury z porozwieszaną bielizną, albo też ku wielkiemu zdziwieniu, zobaczysz z marmurowych oddrzwi, wyzierający ogon poczciwej krowy, która nie ma dość głębokiej stajni, aby się całkiem pod dachem pomieścić. Sklepy z jarzynami, serami i wędlinami, taką wonią napełniają powietrze, że głodny nakarmiłby się tutaj samym tylko oddychaniem. Pomiędzy szparagami i zielonym groszkiem, siedzi zwykle otyła włoszka, z włosami ugarnirowanymi pierzem i resztkami jarzyn, albo dwóch potomków ludu Grachów i Maryuszów patrzą sobie bystro w oczy, grając w ulubioną *morę*. Czasem, czasem, ale nie tak często jak ci się zdaje, szanowny czytelniku, wyjrzy z za kapusty i kalafiorów, towarzyszka godna *Fornariny* i pociągnie cię mimowolnie swym magnetycznym wzrokiem. Stajesz więc, chcesz się przypatrzeć tej pięknej Rzymiance, o której tyle się nasłuchałeś, ale chrypliwy głos zazdrosnego opiekuna, powie ci z boku „*passate via*“ i jak nie pyszny musisz iść dalej i do woli się przypatrywać pięćdziesięcioletnim pięknościom.

Jeżeli przypadkowo omnibus, krążący między Watykanem a kościołem Jezuitów, albo fiakier, wiozący ciekawego cudzoziemca, wjedzie ci w drogę, to musisz schronić się pod mur, aby nie uczuć niemiłego spotkania, a wtedy masz czas przy-

patrzeć się, jak w otwartych na ulicę pracowniach, robią ślusarze i stolarze, jak przy wciśniętym gdzieś w kąt ulicy marmurowym bassenie kilkanaście praczek najwygodniej z mydłem i z farbką ma do czynienia, lub jak z otwartej szynkowni, kilku znajomych, raczy się czerwonym winem, rozłupując ostrygi, albo krając séry.

Wychodząc raz z tych uliczek, na szersze cokolwiek i jaśniejsze ulice, usłyszałem nie zwykły krzyk, rozdzierające wrzaski, jak gdyby się gdzieś paliło, albo jak gdyby w jasny dzień *briganti* napadli na bezbronnych mieszkańców. Pobiegłem więc w stronę, z kąd krzyk wychodził, i jakież było moje zdziwienie, gdym zobaczył, jadącą krok za krokiem doróżkę, w niej stopy gazet, na których stał jeden starszy redaktor z rozłożoną gazetą w ręku, drugi praktykant redaktorski, w takiej samej pozycji umieścił się koło niego, trzeci siedział na kozle, a cała gromada mniej więcej obdartych uliczników, otaczała doróżkę z pakami gazet w ręku. Od redaktora stojącego w doróżce, aż do najdalszego ulicznika, wszyscy w niebogłosey krzyczeli: „*Il Popolo! il Popolo!*“ — „*dieci centesimi! dieci centesimi!*“ — i wpychali każdemu przechodniowi świeży numer dziennika, szarpiąc go za poły, i wydobywając takie głosy, jak gdyby sami głusi, chodzili tylko po ulicy.

Dziennik mieścił jakąś wiadomość o porażce karlistów w Hiszpanii, co lud obchodziło, lubiący dzisiejszego króla i jego rodzinę; ztąd więc taki nadzwyczajny dziennikarski ferwor obliczony na kieszenie przechodniów. — Przypomniały mi się nasze wyborcze agitacye, gdzie swego czasu we Lwowie, grono za nadto skwapliwych agitatorów, przechodziło także przedmieścia z okrzykami *vivat Smolka!* wtrącając niewinnych przedmieszczan do omnibusu, aby ich zawieźć w tryumfie do oddania głosu, na plac boju, do ratusza!

Rozprzedaż dzienników w Rzymie, odbywa się zwyczajnie w cokolwiek wprawdzie spokojniejszy, ale zawsze dość krzykliwy sposób: o pewnych bowiem godzinach, gdy dzienniki wychodzą, kilkudziesięciu kolporterów, biegnie wzdłuż Corso, z rozłożonym dziennikiem, jakby sztandarem w ręku, i próbuje w ten sposób szczęścia u publiczności.

W ogóle reklama we Włoszech doszła do wysokiego stopnia doskonałości, a nie masz podobno zdolniejszych do niej lu-

dzi jak synowie Italii. Lada jaki ulicznik, który nie ma pojęcia o retoryce i zapewne poprawnie pisać nie umie, gdy wpadnie na przedmiot, który go zajmuje, tak umie wymownie rzecz przedstawić, tak przekonywająco rozwija swoje dowody, tyle ognia zdoła wlać w mowę o karczochach, że nie jeden mowca parlamentarny, do lepszej sprawy, pozazdrościłby mu daru wymowy. Wszystkie pochwały, sypią się tam w superlatywach, jak w rogu obfitości; stopni średnich, nie zna uliczna włoska wymowa; w niej każdy śpiewak jest „*nostro divino*,” a każde mydło do wywabiania plam, lub szwarc do czyszczenia butów „jedyny, nadzwyczajny, nieporównany, niezbędny, konieczny” tak, że gdy wysłuchasz tego potoku słów i zachwałeni, musisz przyjść do przekonania, że bez tego mydła, i bez tego szwarcu, ani dnia jednego dłużej istnieć nie możesz.

Kilka razy na placu Minerwy, wychodząc z hotelu, zatrzymałem się, aby posłuchać takich ulicznych krasomowców. Za ledwie krok zrobiłem za hotel, a już mały chłopak, daje mi zielony drukowany afisz, z wielkim napisem *Il legittimo Grasso Lucido*.“ Jeszcze czasu nie miałem, rozpatrzyć się co to jest za nadzwyczajne ogłoszenie, a już widzę grupę ludzi rosnącą w oka mgnieniu około obelisku, gdzie o gzyms opiera się z pompatyczną miną jakiś mówca ludowy i wzrokiem znamionującym ważność swego posłannictwa, mierzy publiczność. Mówca z ogorzałą twarzą, czapką połataną, w surducie wytartym i zmasmarowanym oliwą, w jednym bucie i jednym trzewiku, trzyma jakiś czarny stoik w ręku i powtarza piorunującym głosem kabalistyczne słowa: „*Il legittimo Grasso Lucido*.“

Cóż to jest więc to Grasso Lucido? — czyż jeszcze nie wiecie? — oto ów sławny szwarc, co na paryzkiej wystawie, dostał złoty medal, co jest znany od Lizbony do Konstantynopola, a tajemnica, w jaki się sposób wyrabia przechowała się jeszcze z czasów egipskich, i była do dziś dnia w posiadaniu pewnej rodziny, do której mówca należy. Ów szwarc nie mieści w sobie witryolu, nie psuje skóry, nadaje jej połysk, o jakim żaden but nie marzył, słowem: jest to jedyny największy w tegoczesnym świecie wynalazek, równający się z wynalazkami takimi, jak koleje, balony i telegrafy.

Tak! nie spodziewaliście się nawet, że ów szwarc może mieć związek z ekonomią polityczną, z cywilizacją, pogodą, ze

słońcem, z księżycem, i gwiazdami — posłuchajcie tylko ze dwie godzin, mówcy pod kolumną, a o tem wszystkiem dowiecie się i mnóstwo usłyszycie dowodów.

W pierwszej chwili przystępujecie do mówcy z niedowierzaniem, po kwadransie „*legittimo Grasso Lucido*“ zaczyna was interesować, a gdy już jesteście blizkiemi tego, aby kupić słoiczek nadzwyczajnego szwarcu, mowca zmienia głos i przedstawia obok siebie poważnie dotąd stojącego mężczyznę, jako profesora i doktora uniwersytetów w Pizie i Bolonii, który piętnaście tomów napisał o *Grasso Lucido*, i zamierza w tej mierze w Rzymie starać się o katedrę. — „Ty więc szanowny profesorze — mówi dalej mówca, zwracając się do przedstawionego przez siebie mistrza — ty profesorze! co całe życie poświęciłeś badaniu nadzwyczajnych skutków mego szwarcu, powiedz, poświadcz, czy ten preparat nie należy do największych dobrodziejstw, jakimi cywilizacya ludzkość obdarzyła, i czy najgrubsza bawoła skóra, szwarcem tym pociągnięta, nie staje się miększą od aksamitu, co zdobi piękny biust tej oto siniory, powiedz profesorze i poświadcz, że kłamają ci, co utrzymują, że w tym szwarcu może być witryol, że szwarc ten pali skórę. Czyż myślicie państwo, że człowiek jest w stanie połykać witryol, i że nie popali sobie wnętrzości? czyż myślicie, że ktoś bezkarnie może żartować z tym piekielnym płynem? — a więc profesor wam dowiedzie, że w tym szwarcu nie ma witryolu.“

Następuje wielka pauza, a szanowny doktor i profesor skwapliwie połyka prawie pół słoika szwarcu, ku wielkiemu zdumieniu otaczającej go publiczności, która po takich dowodach, nie może się wstrzymać, aby nie kupić jak największej ilości znakomitego czernidła.

Mówca jednak nie traci przytomności do końca, on chce sprzedać wszystek swój towar, on chce mieć dzisiaj dobre makaroni, polente i butelkę wina na obiad, więc do odchodzących woła: „bierzcie słoik *Grasso Lucido* za 40 centimów! co mówię, bierzcie za 35! nie, nieprawda kupujcie za 30! co powiedziałem,? skłamałem, dla was, dla przyjaźni, dam po 25 centimów słoik!“

Więc też dla przyjaźni bierze publiczność pozostałą resztę słoików, a mowca i profesor, udają się znów na inny plac,

aby zachrypłym głosem sławić dalej zalety, jakie ma „Grasso Lucido.“

II.

Po Panteonie cześć należy złożyć grobowcowi Hadryana, słynnemu zamkowi św. Anioła, co zrazu przeznaczony, na pomnik rzymskiego cesarza, stał się później potężną fortecą, tak ważną odgrywającą rolę w dziejach papieży. Najtragiczniejsze to mury świata, a nie było w papieżkim Rzymie dziejowego dramatu, któryby się nie odgrywał w grobowcu Hadryana. Od czasów *Belizara* i *Totili*, *Albrechta* i *Marozii*, od *Grzegorza VII* i *Cezara Borgii*, aż do najnowszych czasów, ciemne sklepienia zamku św. Anioła, słuchały albo jęków śmierci potężnych dawniej władców, albo poważnych westchnień mężów wielkiej duszy, albo też śmiechów i śpiewów pijanego żołnierstwa, co sztandar zwycięzki zatchnęło na baszcie.

Jedną z najpotężniejszych postaci, jaką grobowiec Hadryana pamięta, był żelazny Grzegorz VII, który upokorzywszy Henryka IV w Canossie i położywszy swą stopę na zgiętym karku niemieckiego cesarza, później sam musiał się schronić przed tym samym cesarzem, do zamku św. Anioła, patrzeć się przez wązkie okienko jak cesarz do Watykanu innego wprowadzał papieża i słuchał głosu dzwonów Laterańskiej bazyliki, ogłaszającej światu zwycięstwo Henryka, a upokorzenie potężnego niedawno Grzegorza, Grzegorza co nie zużytą jeszcze bronią kłatwy, przerażał świat cały.

Postać Grzegorza VII stoi w dziejach, obok takich ludzi jak Cezar lub Napoleon I; nie jest to postać spokojnego reformatora, ale męża kutego ze stali, męża, co mógł powiedzieć z Bismarkiem, że wielkie zadania dziejowe, krwią i żelazem się rozwiązują. Całe też jego panowanie jedną było walką, mającą na celu ugruntowanie potężnego papieżkiego mocarstwa, coby swemi żelaznemi obręczami, swą niezrównanie zorganizowaną hierarchią, ścisłało świat cały. — I rzeczywiście, zadanie mu się udało, wprawdzie wielki papież umarł na wygnaniu, wpra-

wdzie do przywrócenia władzy papieżkiej w Rzymie, sprowadził Saracenów i odwieczne miasto w gruzach pozostawił, ale jego uniwersalne państwo teokratyczne, jego silna organizacya istniała długo i reformacya dopiero zatrzęsała jego podstawami. W dzisiejszych czasach, kiedy wielka dewiza „siła przed prawem“ na bramie dziejowej jest napisana, w dzisiejszych czasach, kiedy po za działami Kruppa i planem Moltkego, innej nie znamy potęgi, dziwnym się rzeczywiście wydaje sposób, w jaki genialna siła Grzegorza, zapewniła panowanie kościelnej hierarchii.

Państwo księży, co broni w rękę nie mieli, prócz krzyża i ewangelii, prócz błogosławieństwa i klątwy, większy zbudza podziw, aniżeli nadzwyczajny wzrost azyatyckich i rzymskich zdobywców. Państwo rzymskiej hierarchii, można potępiać albo nienawidzić, ale w każdym razie, zostanie ono jedynem zjawiskiem moralnej potęgi, a podstawy tej potęgi, a kamień węgielny do wielkiego gmachu położył niezaprzeczenie mnich Hildebrandt, Grzegorz VII jako papież.

W zamku więc św. Anioła, na grobowcu rzymskiego cesarza, kościelna hierarchia chrzest swój obchodziła, a stojący naprzeciw kościoł św. Piotra jest świadectwem jej rozkwitu, koroną jej władzy, ale zarazem i zapowiedzią upadku idei Grzegorza.

Nad świętym Piotrem pracował Bramante, Michał Anioł i Rafael — trzy geniusze podległe silnej ręce Juliusza II. Wtedy hierarchia oparta na czynach Grzegorza, stała najwyżej, wtedy się mogła pokusić, o tak nadzwyczajne dzieło. Juliusz II kazał zburzyć dawną poważną bazylikę św. Piotra, w której nawach błąkały się wspomnienia chrześcijaństwa z dwunastu wieków. Na słowo papieżkie znikła świątynia, jak znikło państwo Konstantyna i stary kościół Sylwestra. Nowa epoka musiała wznieść nową świątynię, dla zmienionej ludzkości, dla zmienionych wyobrażeń. Lecz gdyby Juliusz II był przeczuwał, jak fatalną budowa tej świątyni dla hierarchii miała być wróżbą, byłby był wzrok odwrócił od ulubionych planów Bramantego, i byłby był wstrzymał młot, co miał burzyć starą bazylikę.

Wiadomo, że wybieranie datków na budowę św. Piotra, stało się powodem tysiącznych nadużyć, będących bezpośrednim powodem niemieckiej reformacyi. To też historyk trydenckiego koncilium, mógł złożyć takie świadectwo: „Materyalna budowa

św. Piotra, spowodowała zwalenie się znacznej części jego moralnej budowy; albowiem ażeby zebrać te wszystkie miliony, które pochłonęło ogromne dzieło, musiał następca Juliusza to czynić, z czego wypłynęła herezya Lutra, a ta pozbawiła Kościół wielu milionów dusz“ (Pallavicini Storia del Concil. di Trento I c. i.)

To też wspinałe musi być to dzieło, co potrafiło zatrząść monarchią Grzegorza, a jakiegokolwiek ten kościół może podlegać krytyce, przecież zostanie on świątynią nad świątyniami, świadectwem potężnej myśli epoki odrodzenia.

Jak Tytan, podniósł Michał Anioł sztukę, zagrzebaną w ruinach starego Rzymu, i stworzył taką kopułę św. Piotra, takiego Mojżesza na grobie, Juliusza II. i taką Syxtynę — a dzieła te były dostateczne, aby iskra odrodzenia przeleciała świat, aby nowy duch zawiął od Italii, aby ludzkość zwróciła się do starożytności i na jej doświadczeniu oparta, robiła zdobycze.

Michał Anioł to ów duch potężny, co staje się drogoskazem dla zbłąkanej myśli ludzkiej, to towarzysz Dantego i Kolumba, Bethowena i Szekspira; a dość się przypatrzeć sufitowym freskom Syxtyny, dość podumać nad grobowcami Medyceuszów we Florencyi, aby pojąć, jakimi zasobami ducha, człowiek ten rozporządzał, jaki ogrom posiadał fantazy!

Losy sprzyjały wielkiemu mężowi, bo za jego czasów, w jego nawet przytomności wydobyto arcydzieło starożytnej rzeźby: Grupę *Laokoona* i *Apollina* stanął w Belwederze, więc też duch Michała Anioła, mógł zaczerpnąć siły ze starożytności i mógł do tak wielkiej wzbąć się wysokości.

Nie raz się już gniewałem na fotografie, na drzeworyty, że wpajają w nasz umysł pewne wyobrażenia nibyto prawdziwe, a przecież nie odpowiadające istocie rzeczy, przedstawiają nam kształty i rysy pewnej budowli, pewnego gmachu, ale nie dają wyobrażenia o jego wielkości, a nawet na zupełnie fałszywe drogi kierują naszą fantazyę. Widząc przed sobą po raz pierwszy kościół św. Piotra dzięki fotografiom, doznaje się pewnego rozczarowania, to rozczarowanie jednak trwa tylko małą chwilę. Zdawało nam się, że zobaczymy przed sobą coś niezmiernego, coś o tak potężnych rozmiarach, o jakich zaledwie marzyć wolno; tymczasem po pierwszym wejrzeniu, zapytujemy się mimowoli, i to ma być ów św. Piotr? — i to mają być owe niezmierniezo

kruźganki? — Jak powiedziałem jednak rozczarowanie to trwa bardzo krótko, skoro tylko bowiem zaczynamy mierzyć te rozległości własnymi krokami, skoro tylko zdołamy już wracać naszą uwagę na szczegóły, a nie na całość budowy, natychmiast uderza nas owa wielkość o której tyleśmy słyszeli, i przekonujemy się, że stoimy w progu największej co do rozmiarów świątyni chrześcijaństwa.

Błądząc pod kolumnami u św. Piotra, podziwiając stanze i loggie watykańskie, przedstawia się umysłowi jak nigdzie indziej charakter i wielkość epoki odrodzenia. Duch ożywiający tę epokę wiał krótko, ale potężnie, Rzym za Juliusza II i Leona X. stał się po raz wtóry pochodnią rozpalającą nową cywilizację na wszystkich kończynach świata. Duch czasu, charakter wieków, który później pozostawał na dworze Ludwików, albo rodził się z krwawych czynów francuzkiej rewolucyi, miał z początkiem 16 wieku na dworze papieskim swoją kolebkę, wtedy postęp był w Watykanie — idee zacofane, przeżyte kryły się w poczerniałych murach łupieżkich baronów. Gdy spojrzymy na freski Rafaela, na malowidła Michała Anioła, dziwić się zaiste musimy, jak dalece dwór papieżki był wówczas postępowym, jak dalece chwycił się nowych idei, z jaką tolerancją zwracał się ku pogańskiej kulturze, uznając jej wyższość i przekształcając ją w duchu chrześcijańskim. — Cały Olimp sprowadził się podówczas do Watykanu, bogowie pogańscy zaludnili ściany papieżkich komnat, idee pogańskie z ideami chrześcijańskimi najzupełniejsze miały uprawnienie.

Proszę się przypatrzeć freskom w *Stanza della Signatura*, gdzie Rafael przedstawił cały łańcuch nieprzerwanej ludzkiej myśli i ludzkiej cywilizacji. Jest tam filozofia i teologia, jest prawodawstwo i poezya. Zbawiciel zasiadł z patryarchami, apostołowie, papieże i średniowieczni święci z ateńskimi filozofami. Apollo i muzy zgadzają się z nowożytnymi poetami, *Justinian* i *Trebonianus* z papieżem, wydającym dekretalia, z Grzegorzem IX., Tomasz z *Aquinu* i *Sawanorola* na tej samej mieszczą się ścianie. Nowożytny chrześcijaństwo podaje rękę, starożytnemu państwu, na papieżkim dworze.

Nic tak nie uwydatnia ducha tej epoki, jak *Stance Raffaella*, a to co tam widzimy, znajdujemy potwierdzone w ówczesnych dziejach. Papieże do tego stopnia przejęli się wówczas

starożytną cywilizacją, że np. Juliusza II. nie uderzyło to, gdy jakiś kaznodzieja, w wielki piątek, porównywał go do Jowisza, a Chrystusa do *Decyusza* albo do *Kurcyusza*. Kardynałów zwano podówczas z rzymska senatorami, świętych bez ceremonii bogami (dii i deae), a tytuł starożytny „*divus*“ do papieży był zastósowany. Konserwatorzy Rzymu, odnawiając cysternę na kapitole, napisali na niej jak starożytni Rzymianie: „Napełnij deszczem o Jowiszu, to naczynie, któreśmy ufundowali, i spuść łaskę swą na naczelników tej skały.“

Odrodzona sztuka, nie święciła większego tryumfu jak na dworze Leona X. Medyceusza. Dzieje nie pamiętają dworu świeckiego monarchy, któryby tak dalece przedstawiał wszystkie zalety i wady swej epoki jak dwór papieżki. Muzyka, rzeźba, malarstwo, przedstawienia sceniczne, piękne kobiety, wszystko to jednoczyło się, aby Watykan otoczyć nieporównanym blaskiem, zamienić go w pałac, w którym dowcip i intryga, wielkie myśli i wielkie dzieła, harmonijnym były związane węzłem.

Dziwna rzecz, że w dziejach najświetniejsze epoki pod względem sztuki i literatury zwykle graniczą z epoką moralnego upadku społeczeństwa. Zjawisko to kilka razy w historii się już powtórzyło: świetne czasy rzymskiej literatury za Augusta graniczą o miedzę, z czasami największego zepsucia i zdemoralizowania rzymskiego społeczeństwa, czasy Ludwika XIV słyną zarówno znakomitymi pisarzami jak i kobietami, które o dowcip, ale nie o cnotę posądzać można; malarze tacy jak Delacroix, Ary Chefer, pisarze jak Dumas, George Sand, Wiktor Hugo, Lamartine poprzedzają Sedan, i żyją w czasach, gdzie damy dworu, biorą mody od paryskich gryzetek. — To też nie dziw, że i za Juliusza II piękna *Imperia z Ferrary*, zgromadzała u siebie cały dwór papieżki, a na wieczorach u niej były odczytywane nowelle Boccaccia. Jej salony tak dalece jaśniały, przepysznyimi kobiercami, obrazami, wazami, pięknymi książkami i meblami w stylu odrodzenia, że poseł hiszpański, plunął tam raz w twarz lokajowi, nie chcąc powalać rzadkiego dywanu. Kobiety poważne jak *Veronica Gambarra* albo *Vittoria Colonna*, wyjeżdżały z Rzymu za Leona X. albo zamykały się w klasztorach, nie chcąc się w towarzystwie spotykać z kobietami, co w myśl ducha czasu, w myśl epoki odrodzenia, chciały także wskrzesić nazwę rzymskiej hetąry.

Cała część Rzymu za Tybrem od strony Watykanu, od mostu św. Anioła, aż po krańce *Lungary*, nosi na sobie do dziś dnia piętno odrodzenia, i dowodzi, że papieże stali na czele tej wielkiej epoki i jej dziełami się otaczali. Juliusz II. z gorączkową gwałtownością, chciał według swego planu, cały Rzym przeistoczyć, a namiętność wznoszenia nowych budowli, odziedziczył po *Roverach*, po swym wuju Syxtusie. Ogromne koszty, brak pieniędzy, niedozwoliły mu doprowadzić tego przedsięwzięcia do skutku; dlatego też tylko najbliższe okolice Watykanu, radykalnym uległy zmianom. Juliusz odnowił ulice *Julia*, *Celsi*, *Judäorum*, *delle botteghe oscure* i *Lungarę*. *Bramante* na wielką skalę składał plany, a *Domenico Massimi* i *Geronimo Pichi* byli jego edilami. *Lungarę*, co dzisiaj na każdym kroku świeci ubóstwem, chciał Juliusz zamienić na jedną z najpiękniejszych ulic; u końców *Lungary* pozakładał kardynał *Farnesa* i rodzina *Riarii* pyszne wille i ogrody, a bankier papieżki *Agostino Chigi* wznosił willę, słynną do dziś dnia pod nazwą *Farnesiny*. Bankier ten jest najznakomitszym mecenasem epoki odrodzenia; odziedziczywszy ogromny majątek zrobiony jeszcze za czasów Borgiów, pomnażał go ciągle, miał stosunki handlowe z całą Europą, a w Oryencie zwano go „wielkim chrześcijańskim kupcem.“ Osobisty przyjaciel Juliusza, pożyczył mu bez procentu 400.000 dukatów, na zastaw tiary Pawła II. Takiemu więc potentatowi pieniężnemu udało się pozyskać Rafaela, dla malowania obrazów dla jego willi; Chigi przejęty ideami odrodzenia, widząc doskonałość tylko w starożytnej sztuce i w starożytnej tradycyi, nie rad był w swej willi, znieść nic coby przypominało Chrystyanizm, ale chciał ją napęłnić pamiątkami greckich i rzymskich podań. Temu życzeniu potężnego bankiera, zawdzięczamy Galetę Rafaela, i jego sławną kompozycję przedstawiającą *Amora* i *Psychę*.

Willa Chigi, stała więc, obok loggii i stanzów watykańskich, jako najznakomitsze dzieło epoki odrodzenia, w dziedzinie malarstwa; po śmierci jednak Agostina, zachwiała się fortuna Chigich, willa była sprzedana Kardynałowi Aleksandrowi *Farnesa*, później zaś przeszła na własność, książąt *Parmy*, zawsze pod nazwiskiem „*Farnezy*.“

Niecierpliwy Juliusz, chciał przez jedną noc przeistoczyć ciężkie gmachy Watykanu, chciał połączyć z nimi *Belweder* i

wznieść wspaniały cyrk na turnieje i sceniczne przedstawienia. Bramante plan wykończył, nocami pracowano nad jego przeprowadzeniem, śmierć jednak zaskoczyła znakomitego papieża, wykonanie planu, zostało przerwane: wszystko jednak co architektonicznie piękniejszego, znajduje się w gmachach watykańskich, zawdzięcza swój początek, owym czasom gorączkowej pracy Bramantego i żelaznej woli Juliusza.

III.

Jest podanie, że gdy w średnich wiekach, wykopano pierwszą statwę starożytnej Wenery przybiegł do niej rzymski młodzian i zachwycony piękną postacią, włożył jej swój pierścień na palec. Wenus jednak zagięła palec i pierścień przy niej pozostał. Legenda ta w prześliczny sposób, przedstawia nam, owe zaręczyny starożytnej sztuki ze średniowiecznym geniuszem, z których wyszła epoka odrodzenia. Geniusz Michałów Aniołów i Dantów, pokochał młodą, zawsze starożytność, a zaiste miłość ta nie mogła się zrodzić gdzieindziej jak na włoskiej ziemi, nie mogła gdzieindziej jak u stóp Kapitolu w jasny wybuchnąć płomień.

Bo też ów Kapitol, wielki swą potęgą, swą wielkością, zdumiewał świat cały, do niego przywiązały się najpiękniejsze Rzymian tradycye, na nim jeszcze naród obchodził swe gody, na Kapitolu odgrywał się dziejowy dramat, którego aktorami byli Cezary, Maryusze, Sulle i Grachy; tam stała świątynia Jowisza, najznakomitsza w państwie rzeczypospolitej, a średniowieczna legenda, chcąc wyrazić znaczenie tej świątyni powiada: że w niej było tyle posągów, ile prowincyj hołdowało potężnemu Rzymowi. Każdy posąg miał u szyi zawieszony dzwonek, a jeżeli która z prowincyi powstała, posąg będący jej przedstawicielem, magiczną poruszony siłą, potrząsł głową i zadzwonił tak, że augurowie będący w świątyni, mogli zwołać senatorów i oznajmić im, że niebezpieczeństwo zagraża rzeczypospolitej.

Przez długie wieki więc ów Kapitol rządził światem, dyktował prawa narodom, a swym przepychem dodawał blasku odwiecznej Romie.

Gdy jednak państwo rzymskie runęło, gdy chrześcijaństwo zakłamało krzyż na miejscach gdzie dawniej cesarow orły się unosiły, Kapitol zamienił się w gruzy, mchem porósł, a mirty i akacje wybijały na tych miejscach, gdzie dawniej senatorowie stanowili o losach ludów. Grobowe milczenie pokrywało więcej jak pięć wieków najpoważniejsze miejsca historycznej ziemi, a smętny spokój zdołał te ruiny. W IX dopiero wieku, skromny kościółek św. Maryi na Kapitolu, powstał na gruzach i przypominał Rzymianom wielkie ich dzieje. To też skoro tylko Rzym zaczął się cokolwiek otrząsać z barbarzyństwa w jaki popadł w pierwszych wiekach po Chrystusie, skoro tylko poczucie obywatelskie w ludności rzymskiej kiełkować zaczęło, natychmiast Kapitol stał się znów punktem środkowym spraw municypalnych, a w XI wieku tam zwoływano ludność na wiece i do broni. Był to jednak nader słaby odblask dawnej chwały, jaki zaczął otaczać omszałe gruzy, uśmiech losu, wobec dawnej potęgi!

Najżywsza wyobraźnia nie wystarczyłaby, aby odmalować grozę tych ruin, oplecionych bluszczem i powojem, a mnich Kapitoliniński siedzący na złamanej kolumnie świątyni Jowisza, mógł tam snadnie dumać nad znikomością dzieł ludzkich. Był czas, gdzie papież mnichom darowali Kapitol, a mnisi sadzili tam kapustę, odmawiali różańce i biczowali się dla chwały Bożej. Naród rzymski tak wówczas upadł (za Anakleta II), że nie czuł nawet zniewagi wyrządzonej jego przeszłości, iż własność publiczną, miejsce narodowej chwały, rozdano pomiędzy prywatnych właścicieli.

Jeden znakomity mąż wieków średnich, *Cola di Rienzo* zrozumiał całą wagę przywiązaną do Kapitolu tradycyi, wiedział on, że gdy się oprze na tarpejskiej skale, gdy pamięć trybunów wskrzesi w rzymskim ludzie, to choć na chwilę zdoła poruszyć w nim narodową dumę, choć na chwilę wyrwać go z otępienia. Na Kapitolu założył ostatni trybun swoją siedzibę, z tamtąd chciał zniszczyć dumne rody Orsinich i Colonnów, z tamtąd zamierzył orłem wylecieć w pole i postawić dawną, potężną rzeczpospolitą rzymską. Cola nie obliczył się jednak z siłami, za wysoko stawiał ówczesny lud rzymski, zdemoralizowany nędzą i domową wojną, więc jako bohater upadł pod brzemieniem fatalizmu, musiał opuścić Kapitol i marzenie o wolnym Rzymie, a pozostawić ojczyznę ua łup możnych rodzin, które zbroczone krwią,

własnego kraju, jak sępy się kryły w nieprzystępnych murach, dopóki ich nie dosięgła prawica takich Grzegorzów i Juliuszów.

Na dzisiejszym Kapitolu znów spoczywa myśl Michała Anioła, znów jak w Watykanie i u św. Piotra, duch wielkiego męża wybił na tych murach swe piętno. Trzy wielkie gmachy, zamykające z trzech stron kapitoliniski pagórek, na który się z czwartej strony po wspaniałych, kolosalnych wychodzi schodach, oto dzisiejszy Kapitol, wykonany po największej części według planów Michała Anioła.

Schody prowadzą na podwórze ze sławną brązową statuą Marka Aureliusza, w gmachu po prawej stronie znajduje się *Walhala* sławy, nowożytnych Włoch, a marmurowe biusta znakomitych mężów, od Petrarcki, Arnolda z Brescii i Dantego aż do Mazziniego, mają nauczyć młode pokolenia, jak marzyć i gdzie dążyć ma. W tym samym gmachu, są bióra rzymskiego municypium i galeria obrazów. Gmach znajdujący się naprzeciwko, mieści muzeum sztuki plastycznej, gmach zaś środkowy salę municypalną i inne publiczne miejskie lokalności.

Z boku za muzeum ukrył się mały kościółek Śta Marya in Araceli, z którego założeniem następująca się wiąże legenda.

Gdy rzymscy senatorowie widzieli piękność i potęgę Oktawiana, przyszli do niego i powiedzieli mu, że go chcą ubóstwiać, widocznie bowiem któryś bóg w nim zamieszkał. Oktawian zadziwiony tym nadzwyczajnem poselstwem prosił ich o kilka dni zwłoki i tymczasem poszedł się radzić Tiburtyńskiej Sybilli. Sybilla trzy dni pościła, a po takim przygotowaniu, odpowiedziała mu, że prawdziwy Bóg, król wieków przyjdzie wkrótce z nieba. Gdy Oktawian słuchał Sybilli, niebo się otwarło i wielki głos zawołał: „oto jest ołtarz Syna Bożego“. Więc rzymski cesarz wznosił ołtarz na Kapitolu, a lud rzymski mówił, że to góra „*ubi est ara filii Dei*“, z kąd później nazwa *Araceli* powstała.

Wieki średnie chętnie wiązały legendą epokę chrześcijaństwa z pogańskimi czasy, i nietylko Oktawiana. ale co więcej postać Wirgiliusza przerobiły po swojej myśli, kazały mu w starożytności przepowiadać przyjście nowej ery, a udzieliwszy mu raz już nadprzyrodzonej siły, mówiły o nim, że jako czarnoksiężnik żyje pomiędzy średniowiecznym ludem i jak dzisiejszy żyd wieczny, tuła się po świecie, najczęściej po Rzymie i Neapolu.

Przejęty wielkością dziejów Kapitolu, wchodziłem z poważną myślą na schody Michała Anioła; często jednak bywa, że najpoważniejsze chwilę w życiu wiążą się z faktami, wprowadzającymi nas wprost przeciwne usposobienie. I mnie się też tak stało na Kapitolu. Zastawszy bowiem o rannej godzinie zamknięte jeszcze muzeum, poszedłem oglądać biusty Dantów i Mazzinich; jakież było jednak moje zdziwienie, gdy w przedsiönku narodowych pomników włoskiego ludu, zobaczyłem ze trzydzieści nianiek z dziećmi wesoło rozmawiających w najróżnorodniejszych grupach. Z przyległego pokoju słychać było tak przenikliwy głos dziecka, że ten głos mógłby pobudzić do życia kapiolińskie posągi.

I cóż to było za zgromadzenie nianiek i dzieci. — zapytanie; — na Kapitolu? szczepiono ospę. Tam gdzie Maryusz rozkazy wydawał, tam z kąd *Cola di Rienzo* przemawiał do ludu, cyrulik zręcznie lancet zapuszczał, a śmiechy wesołych Włosek rozległy się po najpoważniejszym gmachu w świecie.

Kapitol nosi już ślady nowych rządów, a rada miasta Rzymu, mówiąc po naszymu, kazała wmurować w gmach, w którym jest muzeum, wielką marmurową tablicę, opowiadającą, że dnia 31 grudnia 1870 r. ztamtąd pokazał się Wiktor Emanuel po raz pierwszy rzymskiemu ludowi. Rok 1870 zresztą zaprowadził znaczne zmiany w Rzymie w nazwach ulic, placów — a jak nie ma żadnego miasteczka we Włoszech gdzieby nie było ulicy, albo placu, Cavoura i Garibaldegò, tak i w Rzymie dwaj ci mężowie nowych Włoch, zajęli w tym względzie zaszczytne miejsca.

Po Kapitolu i po Wiktorze Emanuelu, przypomniałem sobie dzisiejszy włoski parlament, otóż sala obrad znajduje się nie pomnę już w jakim pałacu, w pobliżu placu Cavoura. Dowiedziawszy się, że się posiedzenia odbywają, poszedłem oglądać zastępców włoskiego ludu i porównywać ich z wiedeńskimi ojcami banków, kolei żelaznych — a przytem i narodów.

Wielki sztandar włoski, powiewał nad parlamentem, przybite ogłoszenia zapowiadały początek posiedzenia na godziną drugą po południu. Po długiej peregrynacji po wschodach i korytarzach znalazłem się sam jeden tak na galeryi jak i w całej sali, miałem więc czas przypatrywać się wielkiemu portretowi Wiktora Emanuela, zawieszonemu nad krzesłem prezydenta i

biustowi następcy tronu. Sala świeża, nowa, tak jak i parlament, widocznie prowizorycznie tylko urządzona, ale wielkim odznaczająca się gustem. Dwa tylko kolory panują w całej sali: naturalny kolor politurowanego drzewa i niebieskiej materyi na ławkach, krzesłach i oparciach. Urządzenie całe proste, ale nadzwyczaj gustowne, a ci co stawiali prowizoryczną budę wiedeńskiej rady państwa, mogliby do Rzymu pójść na naukę, że i tymczasową salę obrad można ze smakiem urządzić.

Przypatrzwszy się dokładnie i sufitowi i posadzce i krzesłom i oknom, skonstatowałem, że już w pół do trzeciej, a w sali jeszcze pusto i muchę przelatującą możnaby słyszeć; spoglądałem więc raz jeszcze na ogłoszenie przybite na ścianie, czy się przypadkiem nie pomyliłem, co do dnia i godziny i czy panowie posłowie nie mają dzisiaj wakacyj. — Ale nie! — przecież portyer mnie wpuścił i służący na górze odebrał bilet wstępu, więc oczywiście będzie posiedzenie, tylko się panom posłom nie spieszy. Ze zwątpienia więc i gorąca oparłem się o miękki fotel i nawet nie spostrzegłem się, jak zacząłem marzyć o różnorodnych parlamentach: a Pitt, Favre, nieboszczyk Mühlfeld i Berger, Lanza, Visconti-Venosta i p. Zyplikiewicz układali mi się w pompatyczny obraz. Jakieś stuknięcie przebudziło mnie! — a to kapelusz spadł mi pod ławkę; dzięki więc kapeluszowi nie usnąłem zupełnie, spojrzałem na salę i zobaczyłem jednego, jedynego posła w całej sali, który z założonemi na krzyż rękami, także o czemś marzył, a tylko zapewne nie o Mühlfeldzie i p. Zyplikiewiczu. — Ów poseł był tak łysy, ale tak łysy, że w całej Galicyi nie widziałem równie łysego człowieka, miał twarz zupełnie ogoloną, długi nos, grube usta i brązowy surdut, a dzisiaj go jeszcze mam przed oczyma, bo się mu przypatrywałem przeszło pół godziny. Gdyby nie ów poseł, byłbym był stracił cierpliwość i nie czekał na otwarciu posiedzenia, on mnie jednak nauczył cierpliwości, jemu mam zawdzięczyć, że widziałem wcale nie ciekawy włoski parlament.

Koniec końców, około czwartej, a więc we dwie godzin po zapowiedzianym terminie, zaczęła się sala zaludniać. Kilkudziesięciu posłów zajęło miejsca i przy bardzo szczupłym komplecie zaczęło obradować nad jakąś ustawą zupełnie podobną do naszej ustawy o „Kopytkowem dla Stanisławowa“, chodziło tam podobno o małe miasteczko Normę, w górach Wolsków położone.

Bogatych wrażeń więc nie odniosłem z włoskiego parlamentu, świetnych mów nie słyszałem; szkoda że Włosi nie potrzebują rok rocznie przechodzić febry adresowej debaty, w takim razie, może miałbym był sposobność świetniejsze z ich parlamentu wynieść wspomnienie.

Znudzony wracając z parlamentu, spotkałem mojego Niemca, owego starego kawalera; towarzysza *table d'hôte*, a gdym mu zaczął opowiadać o smutnie spędzonych kilku godzinach, Niemiec chciał mnie za cierpliwość wynagrodzić i obiecał mnie zaprowadzić do znajomego włoskiego malarza, z którym mieliśmy pójść oglądać — modele.

Któż nie słyszał o rzymskich modelach, o owych pięknych Transtewerankach, których portrety pod tysiącami postaciami, widzimy w najróżnorodniejszych obrazach. W malowniczych kostiumach Rzymianek, albo Neapolitanek, siadają owe modele na schodach hiszpańskiego placu, i ztamtąd się rozchodzą po malarskich pracowniach, aby dzisiaj przedstawiać westalkę, jutro Wenere, Madonnę lub bachantkę, Psyche albo pokutującą Magdalenę, boginię lub niewolnicę. Biedna dziewczyna, wiecznie musi być posągiem, po kilka godzin nieporuszenie w jednej stać pozycji, już to w przepysznych szatach, jakiej Matyldy Toskańskiej, lub angielskiej Elżbiety, już to w skromnem ubraniu Beatricy Cenci, już to nareszcie przybierać sobie najwłaściwszy sobie kostium wieśniaczki z Kampanii lub mieszczki z Rzymu i Albano.

Gdyby jaki *Musset* albo *Murger* zechciał dotknąć życia tych istot, które całą swą młodość za bierne służą ideały, znalazłby w niem może więcej poezyi, jak w życiu paryzkich gryzetek, sławnych z pięknych powieści, ale nie istniejących już od czasów drugiego cesarstwa.

Jak fotograf, gdy ustawia swoją ofiarę, podnosząc jej głowę, układając rękę, poprawiając fałdy na sukni, stara się ją o ile możliwości zbliżyć do swoich artystycznych pojęć, tak malarz rzymski zanim usiedzie przed sztelugą, tyle natrapi ów biedny na wieczną cierpliwość skazany model, że patrząc się na to, rzeczywiście na myśl przychodzi, iż zarobek dziewczyny-modela, jest jednym z najcięższych zarobków.

Fotograf swemu klientowi każe czekać kilkadziesiąt sekund, malarz jednak wymaga, aby model kilka godzin nieporuszony

w jednej pozostawał pozycyi, można sobie więc wyobrazić, jakim zasobem cierpliwości trzeba być zaopatrzonym, aby miesiące i lata móżdż znosić malarskie kaprysy.

Ćwiczenie jednak we wszystkim do nadzwyczajnych doprowadza rezultatów, to też żywe modele, już nietylko co do cierpliwości: ale i co do układania się w malowniczych pozycjach, co do plastyczności w ruchach, nie zwykłą osiągają doskonałość. Nie pomnę już jak się nazywa jeden z najświetniejszych w Rzymie przedsiębiorców, dostarczających modeli do malarskich pracowni, który w grupowaniu różnych scen, w znajomości perspektywy, doszedł do takiego mistrzostwa, że znakomici nawet malarze, zasięgają jego rady i wiele bardzo szczęśliwych mu zawdzięczają pomysłów.

Ponieważ nie każdy z początkujących zwłaszcza malarzy, jest w stanie opłacać piękny model, więc kilku jest przedsiębiorców, mających własne sale amfiteatralnie urządzone, w których za niewielką opłatą, kilkudziesięciu malarzy może w jednej chwili zdejmować rysunek z jednego modelu.

Do takiej sali zaprowadził mnie znajomy Niemiec, a było to na Via Claudiana.

Uzbrowiwszy się w teki i ołówki, aby mieć pozór malarzy, weszliśmy do niepokazanej kamienicy, a jakiś chłopak zaraz nam pokazał drzwi do sali i wywołał przedsiębiorcę. — Kampania się już rozpoczęła, rylec i ołówki były w pełnym ruchu, więc cichaczem weszliśmy do sali i stanęli przy bocznych pulpitych. Oryginalniejszego widoku, trudno sobie wystawić: na środku sali, na podwyższeniu, zielonem przykrytem suknem stał model przedstawiający Dianę; model żywy, piękny, bez żadnego stroju. W około z pięćdziesięciu przynajmniej malarzy w różny sposób zdejmowało z niego rysunek.

Jakiś długowłosy artysta, miał cały szaflik miękkiej gliny koło siebie i właśnie mozolił się nad wyrównaniem ramienia swojej glinianej Dianie: nalepiał, zeskrobywał i znów nalepiał, ale miał jakieś nieszczęście do tej pracy, bo model nie w porównaniu kształtniejszem szczył się ramieniem, aniżeli posąg artysty. — Inny, siwy już staruszek — podobno Anglik, miał przed sobą skończoną gipsową Dianę i jeszcze ją tylko wykończył. Bardzo on model wyidealizował, a z wielkiem zajęciem pracował właśnie nad wielkim palcem u nogi wystającym z rzym-

skiego sandałka. Myśmy zapóźno nadeszli, więc nie najlepsze nam się dostało miejsce, i gdybyśmy byli malarzami, to umielibyśmy rysować chyba artystycznie z tyłu ułożoną fryzurę, bogini łowów, rzymskiego jej nosa, w żaden jednak sposób nie bylibyśmy mogli przenieść na papier, model bowiem nos i oczy miał zwrócone, do artystów, naprzeciwko nas siedzących.

Po chwili jednak opróżniło się jedno miejsce naprzeciwko, więc poszedłem tam i mogłem sobie już wyrobić zdanie o całości Diany, która jak posąg stała nieporuszona i oko jej tylko padało chwilami na jakiegoś garbatego rzeźbiarza, który widocznie skamieniałą Dianą w dobry wprowadzał humor.

Prawdziwie jednak komiczną była scena, gdy po skończonej godzinie gospodarz zarzucił płaszcz na Dianę, a bogini spiesznie uciekała do przyległego pokoju, szczęśliwa zapewne, że na dzisiaj jej zadanie spełnione...

IV.

Palnę pierwszeństwo, co do powagi, wielkości i wspomnień, wydiera Kapitolowi Forum Romanum i Palatyńskie wzgórze. Jest to część miasta, dzisiaj prawie nie zamieszkała dawniej zaś będąca środkiem życia, nie tylko Rzymu, lecz całego świata. Archeolodzy obdzierają wszędzie we Włoszech starożytne ruiny z ich najpiękniejszych ozdób; prowadząc systematycznie roboty około ich odkopywania. Ruiny tak są związane z mchem, powojem, krzakiem akacyi i bukszpanu, że odejmując im otaczający je świat roślinny, połowę im odejmujemy uroku.

Niestety nigdzie się to bardziej nie daje uczuć, jak na Forum i na Palatynie. Gdy pierwsze na Forum rzucimy spojrzenie, przychodząc z Corso wązkimi uliczkami, przedstawia się nam mała pagórkami otoczona dolina, na której tuż koło nas, głęboko jednak pod brzegiem, wznosi się łuk tryumfalny *Septima Severa*, po prawej ręce prześliczne trzy kolumny, będące jednym z najcenniejszych zabytków starożytnej architektury; tu i owdzie jeszcze jakieś szczątki połamanych marmurów, a na środku, ogromnej wielkości doły, w których pracują robotnicy, jak gdyby kopali fundamenta i piwnice na gmachy, co tam powstać

mają. Wprawdzie w skutek pracy tych robotników, wiemy gdzie stała bazylika Julia, gdzie było „rostro“, kędy prowadziła „via sacra“, ale zieloność znikła na całej dolinie, a chcąc oku dać odpoczynek, musimy spojrzeć na leżące na wzgórzu przed nami farnezyjskie ogrody.

Wysokie w pobliżu siebie leżące pagórki, poprzedzielane głębokimi dolinami, oryginalną starożytnemu Rzymowi nadawały postać. W dolinach skupiały się domy i kamienice ludzi niezamożnych, na wzgórzach się rozsiadały patrycyuszowskie pałace. Najwybitniejsza część była właśnie około miejsca, gdzie dzisiaj rozkopują ruinę Forum, tam w bliskości siebie zgromadziły się trzy najważniejsze pagórki, a mianowicie wzgórze kapitolińskie, stromo skałą tarpejską spadające ku dolinie, na której było Forum; wzgórze palatyńskie, siedziba Cezarów i arystokracji, tudzież wzgórze Esquilińskie, również stanowiące część miasta, zamieszkałej ludności. Dzisiejszy Rzym, a mianowicie ów las ulic i uliczek, zajmujący całą przestrzeń od Kwirynału i Kapitolu, aż po Tyber, stoi na miejscu pustem jeszcze za Rzeczypospolitej i jako pole marsowe, służącem na wojskowe popisy młodzieży. Dopiero za czasów cesarzy, domy zalały tę całą równinę, a punkt ciężkości demokratycznego miasta przeniósł się z pod pagórków nad szeroki Tyber. Rzym jednak Rzeczypospolitej był praktyczniej i zdrowiej położony aniżeli Rzym Cesarów, wylewy bowiem Tybru i Malarya najbardziej się w ciągu wieków dawały czuć w części miasta położonej na polu marsowem i nie jednokrotnie straszne tam sprawiały spustoszenie.

Starożytny Rzym był nadzwyczaj ubogi w obszerne place i szerokie ulice, a Forum, które ze wszystkimi swymi gmachami, według dzisiejszych wymiarów, mieściło się na dolinie 300 łokci długości, a od 50—100 łokci szerokiej, miało jeszcze największe wolne przestrzenie. Można sobie więc wyobrazić, jak wązkie musiały być uliczki plebejuszowskiego Rzymu i jak się tam ludność cisnęła.

Więcej może jak Forum, ciekawy byłem zobaczyć Palatyńskie wzgórze, z którym się wiąże historia rzymskich cesarzy, tak tragiczna, tyle wielkich, a zarazem strasznych mieszcząca w sobie postaci. Na Palatynie mieszkał Cezar, August, ów Talma czy Dawison rzymskiego cesarstwa, nieporównanie grał tam swoją komedię życia, w tych murach Tyberyusz zgryźliwy i

skryty, wszystkich podejrzywał i ufał tylko temu, kto mu własnego syna zamordował; na tem wzgórzu, Nero myślał nad zamordowaniem własnej matki i Caligula szalał w rozpuście; tamtędy przesunęły się widma Galby i Domicjana. Ta ziemia więc niejedną umiałyby opowiedzieć tragedję, która mimo strasznych annalów Tacyta lub Swetoniusza, nie doszła do naszych czasów.

W średnich wiekach, na gruzach pałaców cesarzy, kardynał Farneze założył ogrody, dotąd jego noszące nazwę. Prócz ogrodów ze dwa klasztory z winnicami, mieszczą się na ludnem niegdys wzgórzu — o to spokojna terażniejszość Palatynu!

Archeologia jednak i tutaj rozpoczęła swoje potrzebne spustoszenia, a gdyby kardynał Farneze był przeczuwał, jak niemiłościwie uczeni dziewiętnastego wieku, popsują mu jego ogrody, toby był je stawiał na mniej historycznem miejscu. Tych uczonych jednak po części trzeba uniewinnić, tradycya bowiem pozostała, że w farnejzyjskich ogrodach Michał Anioł odszukał Laokona, a złe języki, które niestety i w historii istnieją — powiedziały: że Rafael, szukając tam starożytnych zabytków, natrafił na otwór, prowadzący do komnat zagrzebanego w gruzach pałacu Nerona. Tam Rafael przypatrzył się freskom starożytnym, których w średnich wiekach, nikt przed nim nie widział, zasypał szczelnie otwór i — w Loggiach watykańskich, wiele rzeczy wymalował, które starożytny zdradzają początek.

Jak mówię jednak, zdanie to pochodzi od złych języków, proszę się zatem na mnie nie oburzać, jeżeli powtórzyłem, że Rafael czasem pozwalał sobie rzeczy cudze za swoje wydawać. Widać, że się to zdarza nietylko zwyczajnym ludziom, ale i potężnym geniuszom.

Nieznośna archeologia więc, porozkopywała podobnie jak Forum, całe Palatyńskie wzgórza, i ażeby turyście wszelką jeszcze odjąć iluzję, poumieszczała napisy takie, jak na grządkach w botanicznym ogrodzie: że na tem miejscu była świątynia Fortuny, Cybeli lub Junony, tam znów był pokój Augusta, ówdzie komnata Tyberjusza lub Nerona i t. d. Z pomocą więc tych tabliczek mieszczących zwyczajnie jeszcze tekst wyjęty ze starożytnych pisarzy odnoszący się do miejsca, które wskazują, możesz orientować się w labiryncie zabudowań, co niegdys na tych miejscach istniały.

Mówią, że na Palatynie zaprzągnięty był Romulus ów sławny pług, z którym mu się tak dobrze powiodło, że oborał sobie małe tylko miasteczko, a to miasteczko urosło w stolicę świata. Ale też Romulus mądrze ten pług uprzągnięty, tak bowiem orał, aby skiba szła do środka, a tem samym żyzną wewnątrz murów zostawiała ziemię; co więcej: do pługa zaprzęgnięty wołu i krowę, wół szedł na zewnątrz koła, które pługiem zakreślał, krowa zaś z tej strony, gdzie skiba padła; a miało to znaczyć, że na zewnątrz ma panować siła i odwaga, wewnątrz ma być dostatek a ziemia mlekiem ma płynąć.

Romulus miał szczęśliwą rękę, bo rzeczywiście jeżeli już nie w całym Rzymie, to na Palatynie, po najpóźniejsze wieki panował dostatek, a nawet bogactwo. Plebs nigdy się nie považał mieszkać na wzgórzu Romulusa uświęconem tradycją. Za czasów rzeczypospolitej mieszkali tam najznakomitsi mężowie: Grachy, Cicero, Agrippa mieli tam swoje pałace, aż nareszcie całe prawie wzgórze zajęli cesarze, a co więcej połączyli znajdujące się tu cesarskie pałace z pałacami na sąsiednim wzgórzu, na Esquiline tak, że jakiś dowcipniś za czasów Nerona musiał powiedzieć Rzymianom: „Wynoście się zawczasu tam zkądeście przyszli — do Veji, bo tutaj wkrótce cesarskie pałace zajmą cały Rzym, jeżeli nawet i Veji jeszcze nie zagarną.“

Isniejąca dotąd w części kilkopiętrowa galerya i kolumnady, które wzdłuż całej doliny, pomiędzy jednym a drugim wzgórzem ciągnęły się, aby Cezar mógł po marmurach i dywanach przejść z jednego pałacu do drugiego, świadczą jeszcze o ogromie tych zabudowań i o ich świetności. Augustus mieścił się jak mógł na Palatynie i tam miał swój pałac, Neronowi już było za ciasno, więc dwa pagórki zabudował swemi pałacami, łączył je krużgankami, po pod które jak po pod mosty, zwyczajni śmiertelnicy, z jednego przedmieścia na drugie przejeżdżać mogli. Przepychem przewyższał inne pałace tak zwany „Złoty Dom“ Nerona, którego ślady znajdują się na Palatynie. Do dziś dnia zachowanych jest w całości kilka komnat, z mozaikami i świeżemi jeszcze freskami, świadczących o wspaniałości całego gmachu. Muzea watykańskie i kapitolńskie wzbogaciły się głównie rzeźbami, znalezionemi w gruzach tych pałaców i palatyńskich świątyń. Nero jako budowniczy, miał znakomite pomysły,

a lubiąc przepych, nie mógł się pomieścić w pałacach, które dla Augusta jeszcze były wspaniałe.

Przyzwyczajiliśmy się wierzyć, że Nero Rzym podpalił, aby mieć widok palącej się Troi i że z lirą w ręku, przypatrywał się straszemu płomieniowi pożerającemu miasto. Skutkiem tego przyzwyczajenia, nie możemy sobie już inaczej przedstawić okrutnego cesarza, jak w ten sposób, w jaki go obecnie znakomity młody malarz niemiecki p. Wildbrandt przedstawił, z wieńcem laurowym, kroczącego po zgłiszczach stolicy, którą poświęcił chwilowej swojej fantazyi. — Nieraz przykro nam bywa, gdy się musimy rozstać z pewnymi historycznymi wyobrażeniami, gdy świetna i poetyczna tradycya ustępuje przed ścisłą krytyką. Przypominam sobie, jak przed laty p. Łepkowski gniewał się w jakimś piśmie na p. Rogawskiego, który chciał mogiły Wandy i Krakusa obedrzeć z ich tradycyi i inną zupełnie wywieść ich historję, aniżeli tę, która się ugruntowała w polskim społeczeństwie i zyskała sobie najzupełniejsze prawo obywatelstwa.

Otóż i niejednemu miłośnikowi rzymskich dziejów, niejednemu przyjacielowi czasów, w których chrześcijanizm rozszerzać się zaczął, muszę powiedzieć, że według najnowszych badań, a w szczególności badań słynnego angielskiego dziejopisarza *Merrivalla*, okazuje się, iż Neronowi nie śniło się o podpalaniu Rzymu, że on owszem wskutek owego strasznego pożaru, który zniszczył stolicę za jego panowania, nie jedną przykrą przebył noc, obwiąjąc się do rozpaczyprowadzonego ludu. Nerona nawet nie było wtedy w Rzymie, gdy się pożar rozpoczął i możebnem jest tylko, że dopiero przy końcu pożaru się przypatrywał, gorejącemu Rzymowi. Chociaż z drugiej strony, nie byłby miał wówczas ochoty do przypatrywania się, albowiem i gmachy cesarskie nie były przed pożarem bezpieczne, a znaczna część pałacu stała się pastwą płomieni. Pożary i przed Neronem były największą plagą Rzymu, ulice bowiem nadzwyczaj wąskie, domy na małej przestrzeni ściśnięte stawały się łatwą pastwą płomieni, a służba ogniowa prawdopodobnie bardzo źle była zorganizowana.

Zwykle bywa po wielkich klęskach, że lud chce mieć kogoś, na kogo by złożył winę przebytych nieszczęść; a że Nero znany był ze swego okrucieństwa, że lud go nie lubił, więc naturalnie jego winnym zrobiono. Pogłoska ta powstała zaraz po

pożarze: że cesarz kazał miasto podpalić, zatrwożyła cesarza, więc ludzie dworscy ze swej strony chcieli na kogoś innego złożyć winę pożaru; a że podówczas pomiędzy ludem rzymskim nienawidzona była sekta tak zwanych „Christianów“, więc im przypisano winę. Neron był szczęśliwy, że się ta pogłoska przyjęła i że z niego na chwilę winę zrzucano, a chcąc lud utwierdzić w tem przekonaniu, kazał Chrześcijan prześladować jako mniemanych podpalaczy. Rzymskie ówczesne społeczeństwo nie lepsze miało o chrześcijanach wyobrażenie, jak my o komunistach i petrolezach, ustalonym było mniemanie, że to sekta sprzeciwiają się wszelkiemu społecznemu porządkowi, że to sekta nienawidząca ludzi bogatych, dążąca do zrównania wszystkich stanów, nie wierząca w idee uświęcone tradycją i powagą wieków, słowem, że to sekta „nihilistów“ mówiąc po dzisiejszemu. Podejrzenie takie tem łatwiej się przyjmowało w poważnych rzymskich kołach, że chrystyanizm przyjmował się najbardziej u ludzi ubogich, nie mających nic do stracenia. że się ukrywał po spelunkach i bocznych uliczkach, gdzie go nawet czujna policja cesarska znaleźć nie mogła. Proszę sobie wyobrazić, jak dalece niebezpieczną musiała się zdawać nauka Chrystusa, zamożnemu Rzymianinowi, jeżeli usłyszał słowa Zbawiciela, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho iglane, aniżeli bogaczowi wniknąć do królestwa niebieskiego!“ rzeczywiście Rzymianin sądził, że ci co tak uczą, muszą być niebezpiecznymi niwelatorami społecznymi, których na wszelkie sposoby tępić i nieszkodliwymi czynić należy.

Nero może nigdy tyle energii w dobrem nie okazał, co po wielkim pożarze, kazał bowiem natychmiast ze skarbu państwa według jednolitego planu całe miasto odbudować, pomiędzy lud rozdać żywność i pieniądze, tak dalece, że do dwóch lat, ulice Rzymu szersze i wyprostowane, stały o wiele piękniejsze, aniżeli były przed pożarem. Pokazuje się, że i wtedy umiano szybko budować, że i wtedy cesarze mieli swoich Hausmanów, którzy na wielką skalę wydawali plany. Z amatorstwem jednak poświęcił się Neron przebudowywaniu cesarskich pałaców, które wskutek pożarów ogromne poniosły szkody; a gdy skończył swoje znakomite dzieło, powiedział „że po raz pierwszy będzie mieszkał jak człowiekowi przystoi.“ Widać więc, że pod tym względem Nero miał wysokie o człowieku wyobrażenie; gdy-

by pod względem moralnym, dążył był do tak świetnych rezultatów, nazwisko jego błyszczałoby pomiędzy imionami najszlachetniejszych ludzi.

Obok ruin pałacu cesarzów, urządzone małe muzeum, w którym mieszczą się po większej części tylko odłamy marmurów i sztukaterii, nie mające wielkiej wartości, wszystko, co zdradzało jakąkolwiek artystyczną wartość, zabrano do watykańskiego lub kapitolńskiego muzeum.

Archeolodzy mają nie mało kłopotu, aby ze szczątków arkad, a gdzie niegdzie tylko fundamentów, rozpoznać jaki gmach na tem miejscu stał i przez którego stawiany cesarza, możni mieszkańcy bowiem Palatynu ciągle coś przebudowali, a co jednemu było piękne, to drugi znosił i znów nowe gmachy stawiał. Ba nawet złoty dom Nerona nie długo istniał w swej świetności, albowiem Wespazyan kazał zburzyć tę świetną rezydencję, a pałace Nerona na Esquiline kazał zamienić w termy.

Jest epoka rzymskiego cesarstwa, gdzie prawie każdy panujący, stawiał łaźnie i coraz to pyszniej je urządzał dla użytku wszechwładnego rzymskiego ludu. Tytus, Caracala, Dioclecjan, Konstantyn, wszyscy stawiali termy. — Lud rzymski przez długie wieki źle wychowywany, że się tak wyrażę, tak był rozgrymaszonym dzieckiem, że trzeba mu było ciągle dawać jeść i zabawek mnóstwo, aby nie zrobił jakiej psoty i cesarza na Palatynie nie zamordował. Toteż cesarze prócz teatrów i cyrków, stawiać mu musieli łaźnie, których głównem przeznaczeniem było zgromadzenie ludu na pogadanki, a kąpiele uboczne tam miały tylko znaczenie.

Palatyńskie wzgórze, panuje nad pobliskimi wzgórzami, stąd też widok ztamtąd nieporównany. Z jednej strony bowiem, wzrok sięga aż po Tyber, z drugiej opiera się o Kapitol, o Forum, o najznakomitsze zabytki rzymskiej starożytności, Z Palatynu możemy w ruinach przegłądać całą historję Rzymu. Trzeźwa, a potężna Rzeczpospolita, oparła się o Tarpejską skalę; sama nieugięta, spiżowa, wytwarzająca charaktery Katonów, na potężnym stanęła fundamencie; — epoki cesarstwa zaznaczone są budowlami, które z ich czasów pozostały: arkady złotego pałacu, szczątki świątyń na Palatynie, to zabytki groźnych, w okrucieństwie oryginalnych cesarzy — to ród Claudyuszów zagrzebał tam swoją potęgę. Najpiękniejszy plac cesarskiego Rzymu, Fo-

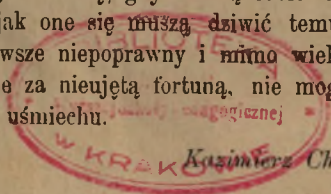
rum Trajana, przypomina nam po większej części łagodny i mądry ród Flawiuszów, przypomina nam początki chrystyanizmu; a jako słup graniczny, między żydowstwem a chrześcijaństwem, stoi poważnie łuk tryumfalny Tytusa.

Po drugiej stronie tam, gdzie słynne Coloseum spoczęło, rozpiął się wspaniały łuk Konstantyna — to słup graniczny pomiędzy pogaństwem a chrześcijaństwem, to znak nowej ery. Ów znak chrześcijaństwa spogląda z dumą na Coloseum, na ową kamienną czarę — jak ją ktoś nazwał — w której państwo rzymskie, gromadziło przez długie wieki krew wszystkich narodów! Krwawe to były dzieje, co takiej potrzebowały czary!

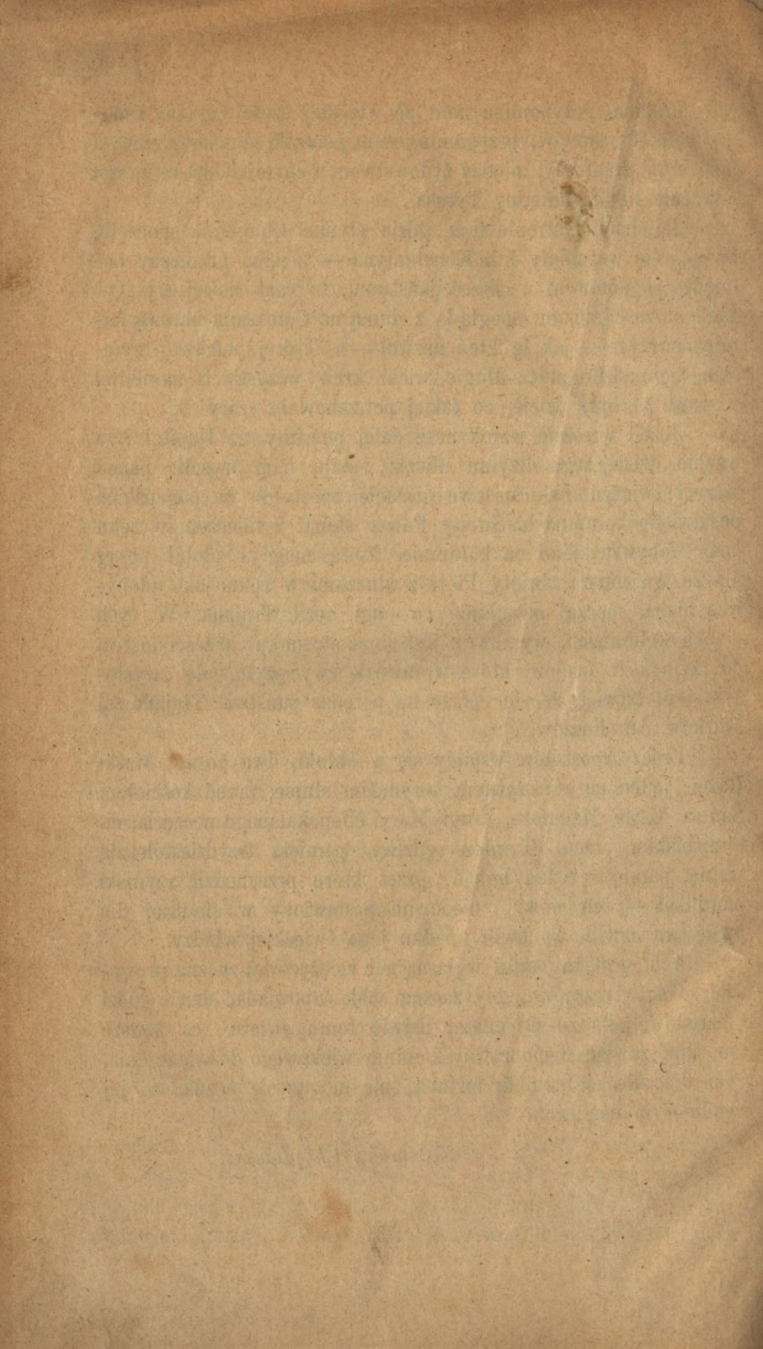
Jeżeli wreszcie wzrok nasz dalej puścimy, za Kapitol i za wązkie dzisiejszego Rzymu uliczki, stają nam wysoko ponad szczyty świątyń dwie spiżowe postacie apostołów na pogańskich postawione kolumnach. Święty Paweł stanął z mieczem w rękę jako zdobywca ziemi na kolumnie, którą niegdyś zdobył posąg Marka Aureliusza, święty Piotr z kluczami w rękę, jako zdobywca nieba, spoczął na słupie co ongi nosił Trajana. W tych dwóch kolumnach, wymowny jest obraz stosunku chrześcijaństwa do rzymskich dziejów, które wprawdzie zwyciężyło, ale zwyciężyło tem łatwiej, że się oparło na potędze państwa Trajanów i Marków Aureliuszów.

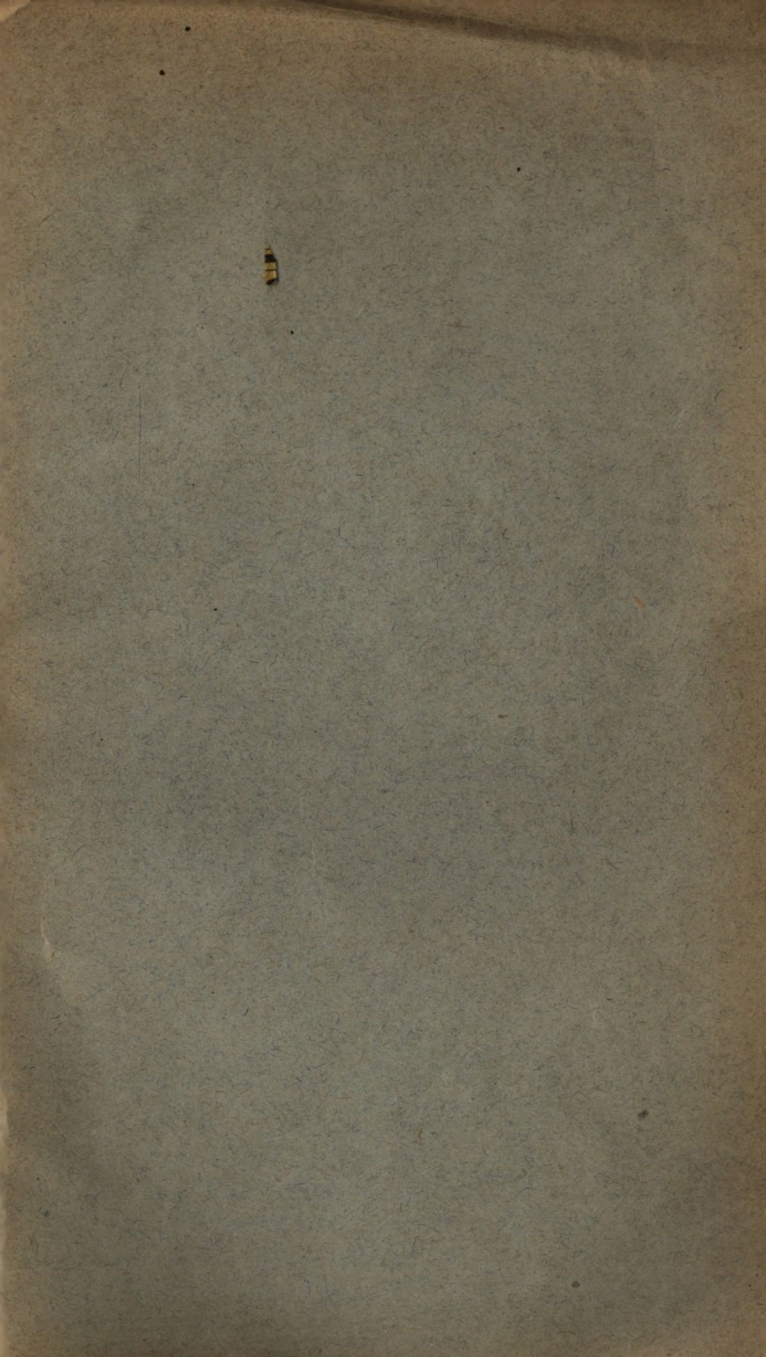
Prócz Apostołów wspięły się w obłoki, dwa posągi Matki Bożej; jeden na starożytnym korynckim słupie, przed kościołem Sancta Maria Maggiore, drugi Maryi Niepokalanego poczęcia, na hiszpańskim placu. Tamten sędziwy, pamięta trzydziestoletnią wojnę, pamięta różne koleje, przez które przechodził rzymski pontyfikat — ten nowy, niedawno postawiony w smutnej dla papieżstwa chwili, w chwili upadku jego świeckiej władzy.

Ach, gdy te posągi w jasną noc księżycową, zaczną prowadzić ze sobą rozmowę, gdy zaczną sobie opowiadać dzieje ludzi i narodów, jak one się muszą dziwić temu światu, co zawsze ten sam, zawsze niepoprawny i mimo wiekowego doświadczenia, goni wiecznie za nieujętą fortuną, nie mogąc się poznać na jej zwodniczym uśmiechu.



Kazimierz Chłędowski.





3045

